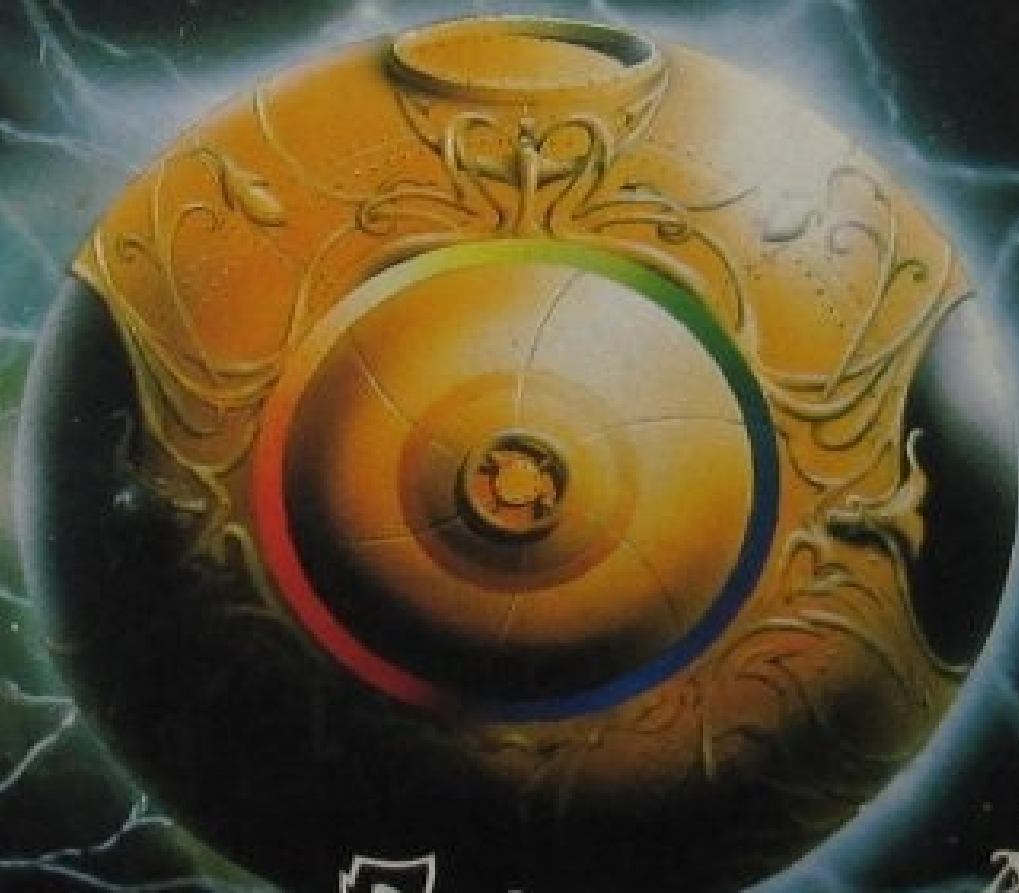


**JAMES P. BLAYLOCK**

**MASZYNA LORDA**

**KELVINA**



**Fantasy**

**AMBER**

James P. Blaylock

# **Maszyna lorda Kelvina**

(Lord Kelvin's Machine)

*Dla Viki  
oraz dla Marka Dunkana,  
Dennisa Meyera i Boba Martina*

*To, co najlepsze jest we krwi - to nie przypadek I nawet siebie nie możemy uważać za stałą: w strumieniu spraw wydaje się, że nawet nasza tożsamość podlega ciągłym zmianom, i nierzadko stwierdzamy, że nasze przebranie jest najdziwniejszym na całej maskaradzie.*

*Robert Louis Stevenson  
Crabbed Age and Youth*

## Prolog

Morderstwo w Seven Dials padający od wielu godzin deszcz zamienił Trakt Północny w wijącą się w ciemnościach błotnistą wstęgę. Powóz, trzęsąc się i podskakując na nierównej drodze, z trudem utrzymywał kierunek, a mimo to Langdon St. Ives nie miał zamiaru zwolnić. Ściskając mocno lejce, spozierał spod runda ociekającego strumieniami wody kapelusza. Byli dwie mile od Crick, gdzie mogliby wymienić konie, jeśli do tego czasu będą ich jeszcze w ogóle potrzebować.

Chmury zakryły księżyc, pogrążając świat w nieprzeniknionej czerni. St. Ives usiłował wyłowić z mroku podążający gdzieś przed nimi drugi zaprzęg. Liczył na to, że dogonią go, zanim dojadą do Crick, a wtedy już nie koni będą szukać, lecz trumny dla nieboszczyka.

Nie mógł zebrać myśli. Zdawał sobie sprawę, że jedynie strach i nienawiść pozwalały mu przewyciężyć zmęczenie. Zmusił się, by skupić uwagę na powożeniu. Przełożył wodze do lewej ręki, przetarł twarz i potrząsnął głową, by odzyskać jasność umysłu. Stan ośpienia jednak nie ustępował; czuł się jak odurzony. Zaciskając mocno powieki ponowił próbę, a wtedy nagły zawrót głowy omal nie zwałił go z kozła. Co się dzieje? Czyżby był chory? Przez moment rozważał, czy nie lepiej zatrzymać się i pozwolić Hasbro, swemu służącemu, by go zmienił. Może powinien pofolgować sobie na resztę nocy, wejść do środka i spróbować się zdrzemnąć.

Wodze wysunęły się z bezsilnych nagle dłoni i upadły mu na kolana. Konie, korzystając ze swobody, galopowały dalej, wlokąc za sobą kołyszący się na resorach powóz. Naprawdę coś bardzo złego się z nim działo; to nie mogła być zwykła słabość. Próbował zawołać swoich przyjaciół, ale głos miał przytłumiony i słaby, niby we śnie. Usiłował pochwycić wodze, ale bez skutku. Czuł się jakby był z waty, a może z mgły...

Przed powozem pojawiła się postać mężczyzny w kapeluszu. Biegł od strony pól pokonując nasyt, by znaleźć się na drodze. Wymachiwał rękami i wykrzykiwał coś w nocną ciszę, jakby prowadził rozmowę z wiatrem. Przez głowę St. Ivesa przemknęła myśl, że ten człowiek może być zwiastunem kłopotów. A jeśli to pułapka? Podrygując bezradnie na kozle, starał się na nim jakoś utrzymać, choć mięśnie miał jak z galarety. Jeśli to rzeczywiście pułapka, to sprawa wyglądała beznadziejnie, ponieważ nie byłby w stanie

uczynić nic, żeby ich uratować.

Powóz przejechał tuż obok mężczyzny, który trzymał w ręku skrawek papieru - mogła to być jakaś wiadomość. Deszcz smagał twarz osuwającego się na bok St. Ivesa, wyzwalając w nim resztki sił. Zdołał jeszcze sięgnąć po papier; w tym momencie, jeszcze zanim stracił przytomność, spojrzął w twarz nieznanego i zrozumiał, że tak naprawdę nie był to wcale ktoś obcy. To on, we własnej osobie, stał tam na poboczu z kartką w dłoni. Z obrazem własnej przerażonej twarzy pod powiekami stracił resztki świadomości i pograżył się w ciemnej otchłani.

Przebyli od czwartej po południu prawie szesnaście mil, ale dalsza podróż wydawała się bezcelowa. Noc była czarna i zimna, a bębniący wciąż o dach powozu deszcz zamienił Holborn Hill w spływający do Seven Dials potok. Przemoczone konie, zwiesiwszy łby, stały po pęciny w wodzie. Opustoszałe ulice i sklepy tonęły w mroku, podczas gdy Langdon St. Ives, przy akompaniamencie werbla spadających kropli, śnił, że jest bezradną istotą tkwiącą w wiadrze z węglem i że leci na niego czarna lawina węglowych brył.

Przebudził się gwałtownie; była druga nad ranem. Ubranie miał powalane zimnym błotem. Na jego kolanach spoczywał załadowany rewolwer - miał zamiar użyć go jeszcze przed upływem tej nocy. Ich powóz wywrócił się niedaleko od Crick, przez co stracili cenne godziny. Co zaś miała oznaczać ta zjawą-sobowtór na drodze - St. Ives nie znajdował odpowiedzi.

Najpewniej to, że było z nim bardzo źle. Może to skutek desperacji, może po prostu był chory albo ze zmęczenia miał halucynacje - jednak ta słabość przyszła tak nagle, by później ustąpić całkowicie. Po przebudzeniu, leżąc w błotnistym, przydrożnym rowie, mógł tylko zastanawiać się, jak, u licha, się tam znalazł. Zanadto się jednak niepokoił, by się tym specjalnie interesować.

Wiele godzin upłynęło od tamtego zdarzenia; przez ten czas Ignacio Narbondo mógł z łatwością wywieźć Alicję w nieznaną. Naprawdę mógł... St. Ives wpatrywał się w ciemność, starając się o tym nie myśleć. Pościg przywiódł ich tu, do Seven Dials i teraz wierny Bili Kraken, który złamał rękę podczas wywrotki, przeszukiwał miejscowy hotel. Narbondo tam jest, a z nim Alicja - powtarzał w myślach St. Ives, bezwiednie gładząc zimny metal pistoletu. W jego głowie kłębiły się myśli czarniejsze niż noc za oknem. Prawdę mówiąc, St. Ives nie należał do ludzi, którzy sami wymierzają sprawiedliwość, ale tu, na zalanej deszczem ulicy, czuł, że nikt nie może tego zrobić za niego - mimo że naprzeciwko siedział Hasbro, pograżony w głębokim śnie, otulony płaszczem i zaopatrzonego w broń.

Odczucia St. Ivesa były nie tyle pragnieniem zadośćuczynienia sprawiedliwości, ile raczej zimną żądzą mordy. Nie odzywał się od trzech godzin, ale chyba nie pozostało już nic do powiedzenia, a i pora była

nieodpowiednia. Pograżony w ponurych rozważaniach, nie miał zresztą ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Dwie przeciwstawne myśli opanowały jego umysł: o morderstwie i o Alicji; jednak żadnej z nich nie potrafiłby wyrazić słowami. Gdyby przynajmniej mieli pewność, gdzie ona jest, dokąd ją zabrał... Seven Dials stanowiło dla niego labirynt - ta plątanina ulic, zaułków, stłoczonych domów wydawała się nie do rozwikłania nawet przy świetle dziennym, a co dopiero w noc taką jak ta. Ale ten człowiek był gdzieś blisko; Kraken na pewno go wywęszy. St. Ives był przekonany, że wyczuje obecność Narbonda nawet w otaczającej go ciemności.

Obserwował ulicę zza zasłony deszczu. Gdzieś za nimi, w oknie pierwszego piętra, świeciła lampa otoczona mglistą aureolą. Będzie ich coraz więcej, bo wkrótce zacznie świtać; nagle St. Ives po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że bynajmniej nie pragnie nadejścia tego poranka. Kolejny dzień bez Alicji - to było nie do zniesienia. Śmierć Narbonda - do diabła z tym! Zabicie go sprawiłoby satysfakcję nie większą, niż zabicie robaka. Leżący na kolanach pistolet wydał mu się teraz czymś żalonym. Jedynie życie miało znaczenie. Życie Alicji. Tylko ono zawierało w sobie barwę i treść; życie londyńskich ulic w kwietniowy ranek było mirażem.

Zastanawiał się, czy pisane mu jest podzielić smutny los swego ojca i w końcu trafić do domu wariatów. Tylko Alicji zawdzięczał, że pozostawał przy zdrowych zmysłach. Rok temu taka refleksja zdumiałaby go. Żył wtedy w świecie liczb i naukowych instrumentów, ale nic nie trwa wiecznie i trzeba się z tym pogodzić.

Ktoś zagwizdał. St. Ives usiadł i zacisnąwszy palce na rękojeści rewolweru nasłuchiwał w deszczu. Wychylił się mocno przez drzwi i powóz zakołysał się lekko na resorach, przemoczone zaś konie zadrżały w nerwowym oczekiwaniu, że może w końcu ruszą z miejsca, dokądkolwiek, byle dalej od tej powodzi. Nagle rozległ się krzyk, a tuż po nim odgłos szybkich kroków. Jeszcze jeden krzyk i Bili Kraken, wyglądający jak topielec, wyłonił się zza deszczowej kurtyny. Gnał co sił i wymachiwał gwałtownie rękami, wskazując za siebie.

- Tam! - krzyczał. - Tam, to on!

St. Ives wyskoczył na ulicę i puścił się pędem za Krakenem. Biegł ciężko, oślepiiony przez ulewę.

- Powóz! - krzyknął Kraken niemal bez tchu. Obrócił się gwałtownie i chwycił St. Ivesa za ramię. Gdzieś terkotał wóz i stukwały końskie kopyta. Nagle z ciemności wypadł chybotliwy jednokonny kabriolet; woźnica na koźle moknął na deszczu, natomiast pasażer był częściowo schowany za firanką zawieszoną w poprzek kabiny o kształcie trumny. Dorożka szerokim łukiem wjechała na zalaną ulicę; spod nóg koni wytryskiwały pióropusze wody, a powożący, Ignacio Narbondo, wściekle szarpiąc wodze, wbijał stopy w

przednią barierkę, by nie wypaść. St. Ives skoczył i próbował uwiesić się szyi konia, wołając coś bełkotliwie. Palce jego prawej dłoni zacisnęły się na końskiej grzywie i wkrótce stracił grunt pod nogami. Szorując stopami o mokrą jezdnię, wymachiwał pistoletem trzymany w drugiej ręce, aż w końcu jakiś wóz przemknął tuż obok, odrzucając go do tyłu w wodę. Z naładowanej wcześniej broni wystrzelił w powietrze; przekreślił się na bok, odbezpieczył i wystrzelił znowu, mierząc w umykający cień dorożki. Czyjaś dłoń ścisnęła go za ramię.

- Powóz! - Kraken zawołał jeszcze raz. St. Ives wydostał się z trudem z rowu pełnego wody i pognął w ślad za Krakenem.

Hasbro zaciął konie, jeszcze zanim wspięli się do środka; zaprząg pomknął wąską uliczką za znikającą dorożką, która w szalonym pędzie zmierzała w kierunku Holborn. St. Ives gdy tylko odzyskał równowagę, otworzył drzwi i wychylił się, próbując dojrzeć cokolwiek przez bryzgi wody strzelające spod kół i kopyt. Rzucano nim na boki w trzęsącym powozie tak mocno, że nie był w stanie utrzymać broni na celu wystarczająco długo, by warto było naciskać spust.

Narbondo nie mógł już im umknąć. Ich szybka akcja doprowadziła go do desperacji i zmusiła do niebezpiecznej brawury. Muszą jednak trzymać się wystarczająco blisko, by nie pozwolić mu na ucieczkę. St. Ivesa ogarnęło okropne przeczucie, że stanie się coś złego. Zacisnął jednak zęby i nie poddawał się. Mijali jakieś ciemne budynki. Już niedługo, pomyślał, już niedługo będzie po wszystkim; co ma być, to będzie. Ledwo ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy kabriolet, gnający sto jardów przed nimi, spadł w pełną wody dziurę na drodze.

Koń potknął się i zatoczył, tracąc równowagę. Lekkim pojazdem rzucało jak dziecinną zabawką, więc Narbondo puścił lejce, by przytrzymać się barierki; wysunięty do połowy na zewnątrz, machał teraz nogami w powietrzu. Wóz niemal rozpadł się na dwie części, a mokrą zasłonę kabiny zerwał silny wiatr. Kobieta - Alicja! - wypadła bezwładnie na ulicę. Miała związane ręce. Kabriolet zwałił się na nią przygważdżając ją do ziemi. Narbondo zerwał się niemal natychmiast i ślizgając się w błocie, ruszył ku leżącej bez ruchu Alicji.

St. Ives krzyknął przeraźliwie - nie mógł znieść tego widoku, jakby na jawie przeżywał najgorszy senny koszmar. Alicja odzyskała przytomność i usiłowała uwolnić się spod przewróconej kabiny kabrioletu. Hasbro powściągnął konie; St. Ives nie chciał dłużej zwlekać. Zeskoczył na drogę z toczącego się jeszcze powozu. Odzyskawszy równowagę, brnął naprzód przez szalejącą ulewę. Dwadzieścia jardów dzieliło go od Narbonda, który zdołał już wspiąć się na rozbity wóz; leżący na ulicy, wstrząsany drgawkami koń próbował się podnieść, ale bezskutecznie - jedną nogę miał wykreconą do tyłu pod nieprawdopodobnym kątem.

St. Ives wymierzył i strzelił, ale pocisk minął Narbonda i tylko koń zarżał spłoszony. Profesor z desperacją otarł wodę z twarzy i ruszył naprzód. Znow strzelił, nie trafił i wtedy zobaczył, że klęczący przy uwięzionej kobiecie Narbondo trzyma w ręku pistolet. Podtrzymując Alicję jedną ręką, przyłożył lufę pistoletu do jej skroni. St. Ives, przerażony, wypalił natychmiast, ale odgłos innego strzału usłyszał wcześniej, niż ogłuszający huk własnej broni. Poprzez zasłonę deszczu ujrzał rozgrywającą się przed nim tragedię. Narbondo, ugodzony w ramię, zdołał jeszcze stanąć na nogi; zaśmiał się chrapliwie, zanim ostatecznie legł w poprzek strzaskanego wozu, który wciąż więził ciało Alicji.

St. Ives upuścił pistolet w błoto i padł na kolana. Nie obchodziło go już, co się stanie z Narbondem.



## Część pierwsza

### Czas komety

Andy Peruwiańskie, dwa lata później Langdon St. Ives, podróżnik i naukowiec, przytrzymując owinięty wokół ramion koc z alpaki, wpatrywał się w bezkres kamiennego płaskowyżu i poszarpane wulkaniczne szczyty. Sploty jasnokremowej wełny skutecznie chroniły go przed suchym, przejmującym wiatrem, zrodzonym z arktycznego Prądu Peruwiańskiego i wiejącym ku Peruwiańskim Andom od Zatoki Guayaquil. Szeroka, leniwa rzeka, szarzielona pod niskim niebem, toczyła swe wody przez rozległe łąki w dole za jego plecami. Z tej perspektywy widział malutki sterowiec, przypominający zacumowany pośród kęp trawy i krzewów tola statek z obcej planety. Srebrzył się w popołudniowym słońcu; na szczycie prowizorycznego masztu powiewała flaga Zjednoczonego Królestwa.

St. Ives stał na usianym kamieniami obrzeżu wulkanicznego stożka góry Cotopaxi. Wewnętrzna ściana opadała dwa tysiące stóp ku otwartym, parującym szczelinom żarzącego się krateru, który przypominał cybuch gigantycznej fajki. St. Ives pomachał ociężale ręką do swego towarzysza, Hasbro, przykucniętego we wnętrzu stożka jakieś sto jardów niżej - obsługiwał tam sprężarkę mechaniczną systemu Rawls-Hibblingsa. Zwoje gumowego węża wiły się od pulsującego urządzenia, by zniknąć w pęknięciach rozpalonej pokrywy wulkanu.

Dało się słyszeć jakby gwałtowne westchnienie i obłok zaprawionej siarką pary wystrzelił nagle z krateru. Czerwone ogniki nieregularnych szczelin migotały coraz słabiej; gdzieś tam już zamarli, przypominając zimne, mgliste oczodoły. St. Ives pokiwał głową i skontrolował wskazówki kieszonkowego zegarka. Lewe ramię, nie tak dawno draśnięte przez kulę, jeszcze mu dokuczalo. Było późne popołudnie. Cienie rzucane przez odległe szczyty objęły już otaczające zbocza i zwiastowały nadchodzącą noc.

Mężczyzna pracujący w kraterze przestał manipulować urządzeniem i dał znak; St. Ives odwrócił się i powtórzył go. Sygnał ten - szeroki gest naśladujący ruch skrzydeł wiatraka - obserwowały tysiące Indian zgromadzonych na równinie poniżej.

- Wszystko gra, Jacky - powiedział do siebie St. Ives. Po chwili do jego uszu dobiegły niesione ostrym wiatrem angielskie słowa, powtórzone w

narzeczu Kiczua, a następnie rezonujący odgłos maszerujących równym krokiem prawie pięciu tysięcy ludzi. St. Ives wyczuwał pod stopami rytmiczne wibracje. Odwrócił się, schylił głowę i odmówiwszy krótką, cichą modlitwę, wcisnął dźwignię cylindrycznego detonatora.

Rzucił się płasko na ziemię i przyłożył ucho do twardego podłoża. Łoskot maszerujących nóg przetaczał się po górskich zboczach jak grzmot podziemnego wodospadu. Wtedy właśnie głęboka i rozległa eksplozja, stłumiona przez grubą warstwę skał, sprawiła, że ziemia zafalowała gwałtownie. St. Ives, patrząc ze swego „orlego gniazda” u szczytu wulkanu, odniósł wrażenie, że rozpościerające się pod nim łąki to gigantyczne dywany, z których bogowie postanowili wytrzepać kurz. Maszerująca horda rozsypała się; ludzie wpadali bezładnie jeden na drugiego, przewracając się jak kostki domina. Gwiazdy po wschodniej stronie nieba zawirowały przez moment w tańcu, jakby cała planeta została zepchnięta ze swojej orbity. Wreszcie ziemia powoli przestała się trząść.

St. Ives uśmiechnął się po raz pierwszy chyba od tygodnia, ale był to gorzki uśmiech człowieka, który chociaż wygrał wojnę, to jednak przegrał zbyt wiele bitew. Przynajmniej na razie miał wszystko za sobą i mógł odpocząć. Mignęła mu myśl o Alicji. Od jej śmierci minęły już dwa lata, bronił się jednak rozpaczliwie przed tymi wspomnieniami; bał się, że pograży się w nich i nie będzie mógł znaleźć drogi powrotnej. Nie mógł myśleć o Alicji nigdy więcej, o ile nie chciał doprowadzić się do szaleństwa.

Hasbro z trudem wspiał się ku niemu po zboczu, wlokąc za sobą sprężarkę. Razem obserwowali, jak kolor nieba przechodzi z błękitu w fiolet i jak na tym tle odcina się blada poświata Drogi Mlecznej. Na horyzoncie świeciło, niczym przesłonięta muślinem latarnia, mgliste półkole - pierwszy nieśmiały przebłysk wschodzącej komety.

Dover, kilka tygodni wcześniej

Lokalne rumowisko Zamkowego Nabrzeża, szerniało od wilgoci, majaczyło we mgle. Poniżej, na ciemnych falach ustępującego cal po calu odpływu Morza Północnego, tańczyły kępy wodorostów, by w końcu spocząć na usianych pajdami kamieniach, skąd małe brunatne kraby czmychały niepewnie, jak gdyby szukając w ciemnych szczelinach osłony przed ludzkim wzrokiem. Langdon St. Ives, odziany w płaszcz i wysokie buty, podniósł do oka lunetę i skierował ją na pomoc, ku Dokom Wschodnim.

Morze i niebo były ledwo widoczne przez szarą zasłonę wirującej w podmuchach wiatru mgły. Jakies sto pięćdziesiąt jardów dalej można było jednak dostrzec zmagający się z wysoką falą parowiec H.M.S. „Ramsgate”. Garstka jego pasażerów już jakiś czas temu wyruszyła ku jednemu z zajazdów rozmieszczonych wzdłuż Castle Hill Road. Dokładnie mówiąc - wszyscy z wyjątkiem jednego. St. Ives miał wrażenie, że stoi już od wieków na szczycie

skały i obserwuje ten opustoszały statek.

Opuściwszy lunetę zapatrzył się w morską otchłań. Uświadomił sobie, że tylko ta cieśnina dzieli go od Belgii, natomiast za nim, w odległości strzału z łuku, znajduje się Dover. Miał nieodparte wrażenie, że grunt kołysze się pod jego stopami, a on sam tkwi na dziobie żaglowca penetrującego wody widmowego oceanu. Spienione fale załamywały się na krawędziach skalnego nasypu i przez pełną napięcia chwilę St. Ivesowi wydało się, że spada w dół.

Czyjaś silna dłoń przytrzymała go za ramię. Gdy zdołał odzyskać równowagę, otarł rękawem płaszcz zroszone potem czoło.

- Dziękuję - potrząsnął głową, by powrócić do rzeczywistości. - Jestem bardzo zmęczony.

- Niewątpliwie, sir. Proszę się uspokoić.

- Moja cierpliwość już się wyczerpała, Hasbro - rzekł St. Ives do stojącego obok mężczyzny. - Jestem przekonany, że statek, który tam widzimy, jest pusty. Nasz człowiek ulotnił się i prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż kiedykolwiek jeszcze ujrzę ten przekłety parowiec.

- Cierpliwość jest cnotą, sir - zauważył służący.

- Zapewne moja nie dorównuje twojej - St. Ives, patrząc na rozmówcę, wyjął z kieszeni płaszcz sakiewkę, a z niej fajkę i porcję tytoniu. - Myślisz, że Kraken dał za wygraną?

Ugniótł kciukiem poskręcany czarny tytoń i po chwili w wilgotnym powietrzu zasyczał płomień zapalniczki.

- Wiem tyle, że to do niego niepodobne, sir. Jeśli nasz człowiek zszedł na ląd tam w dokach, to nawet w przebraniu zdradził go garb i Kraken depcze mu teraz po piętach. Gotów jestem założyć się, że Narbondo o tak późnej porze nie zdecydował się wyruszyć do Londynu, lecz zatrzymał się w oberży, podczas gdy Kraken czeka gdzieś na zewnątrz. Jeśli zaś skierował się na północ, to Jack już go ma, tak więc na jedno wychodzi. Najlepiej...

- Posłuchaj!

Byłoby zupełnie cicho, gdyby nie pomruk fal bijących o skały nabrzeża i przytłumione dźwięki dochodzące z doków. Obaj mężczyźni wstrzymali oddech w oczekiwaniu. Unoszący się z fajki St. Ivesa dym natychmiast roztopił się w otaczającej mgłę.

- Tam! - wyszeptał St. Ives, wskazując kierunek. Dobiegł ich miękki odgłos uderzających o wodę i skrzypiących w dulkach wiosł, zbyt rytmiczny, by wziąć go za naturalną muzykę fal. Profesor ostrożnie przeszedł na sąsiednią skałę, aby wejść do niewielkiej, zamieszkałej przez kraby groty. Z trudem dostrzegł przez trójkątny otwór cienką, szarą linię horyzontu, na której coraz wyraźniej rysowała się sylwetka łodzi, a w niej dwóch ludzi, z których jeden wiosłował, a drugi, owinięty w ciemny koc, przykucnął na ławce. Czarne, mokre loki opadały mu bezładnie na ramiona.

- To on... - wyszeptał Hasbro wprost do ucha St. Ivesa.

- Bez wątpienia, lecz co z tego wynika? Założę się, że płynie do Hargreavesa. Mieliśmy rację. Ten wybuch w Natvik nie był naturalną erupcją, tylko detonacją. Sprawa się niezwykle skomplikowała.

Właściwie to mam ochotę dać temu potworowi wolną rękę. Obrzydł mi ten świat, Hasbro. Może lepiej będzie, jak on wreszcie rozniesie go w pył?

St. Ives nie ruszał się z miejsca, choć łódź zniknęła już w oparach mgły. Jego własne słowa zdumiały go; nie dlatego, że Narbondo był do tego zdolny, ale że on sam, St. Ives, mógł tak pomyśleć. Co nim powodowało? Zemsta? Obowiązek?

- Może szklanka piwa coś tu pomoże - zauważył Hasbro, chwyciwszy St. Ivesa za łokieć. - Mogę się mylić, ale myślę, że piwo, a do tego porcja cynaderek w cieście, pomogą znaleźć odpowiedź na każde pytanie na temat marności tego świata. Po drodze zabierzemy Krakena i Jacka. Mamy dosyć czasu, by wybrać się do Hargreavesa po wieczery.

St. Ives zerknął na służącego.

- Na pewno - powiedział - ale chyba wyślę was samych. Wystarczy jakieś dziesięć godzin snu, abym doszedł do siebie. Te okropne koszmary... Jutro rano znów podejmę walkę z tymi demonami.

- To już brzmi lepiej, sir - podsumował zawsze trzeźwo myślący Hasbro i obaj mężczyźni, przeskakując ze skały na skałę, ruszyli w zapadającym mroku ku ciepłym światłom Dover.

- W życiu nie byłem tak głodny - stwierdził Jack Owlesby, biorąc z talerza dwa plasty bekonu. Twarz zastygła mu w szerokim uśmiechu, jakby bezskutecznie chciał zapomnieć o poprzedniej nocy, kiedy to był chyba zbyt radosny. - Czy są jeszcze jakieś jajka?

- Całe kopy - odparł Bili Kraken z ustami pełnymi zimnego tosta i sięgnął po stojącą obok tacę. - Jajka znakomicie pomagają na humor, jeśli wiesz o czym mówię, drogi panie. W żółtku pełno jest rozmaitych niezbędnych substancji.

Widelec zastygł w połowie drogi do ust Owlesby'ego. Rzucił Krakenowi wymowne spojrzenie, świadczące, że nie był zachwycony tym wywodem.

- Wybacz, chłopcze - zmiarkował się Kraken - nie mogę się powstrzymać, kiedy porwie mnie wir naukowych rozważań. Zapomniałem, że nie przepadasz za taką rozmową przy śniadaniu. Zresztą, co tam płyny i cała reszta, kiedy ta kometa zmierza tu, by nas roznieść na strzepy...

St. Ives udał, że się zakrztusił i atakiem kaszlu zagłuszył ostatnie słowa wywodu Krakena.

- Mówże ciszej, człowieku!

- Niech pan się na mnie nie gniewa, profesorze. Czasem przestaję myśleć. Pan mnie zna. Czyż ta kawa nie smakuje jak trutka na szczury? Do tego nie najlepszego gatunku, jakby pański człowiek dodał zawartość swego garbu.

- Nie próbowałem jej jeszcze - St. Ives uniósł filiżankę do ust. Widok smolistej substancji przywołał w jednej chwili obraz nieprzeniknionych wód przypiływu, gdy schodząc z falochronu poślizgnął się i o mało nie zsunął do morza. Nie musiał już próbować kawy, wystarczył mu jej słaby, metaliczny zapach.

- Masz te tabletki? - zapytał służącego.

- Wziąłem po kilka sztuk każdego rodzaju, sir - odpowiedział Hasbro. - Lepiej bez nich nie wybierać się za granicę. Wydawałoby się, że sztuka parzenia kawy mogła przeskoczyć te parę mil z Normandii do Wysp Brytyjskich, ale wiemy przecież, że tak się nie stało.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył niewielką fiolkę wyglądających jak landrynki pigułek.

- Czy może być mokka, sir?

- Bardzo chętnie. Mówią, że mokka to najlepsza kawa. Hasbro wrzucił jedną tabletkę do podsunętej mu filiżanki i natychmiast całe pomieszczenie wypełnił wspaniały, odurzający aromat prawdziwej kawy, wypierając chemiczny fetor nędznego surogatu w pozostałych naczyniach. St. Ives jakby się ocknął; wystarczył moment, by ten zapach przywrócił mu całkowicie siły.

- Na Boga - westchnął Kraken - co tam jeszcze ukrywasz?

- Naprawdę niezłą mieszankę wiedeńską oraz produkt brazylijski, za który całkowicie ręczę, sir. Mam także espresso, ale tego jeszcze nikt nie próbował.

- A więc pozwól mi ją sprawdzić - zawołał podniecony Kraken i wyciągnął rękę po pigułkę. - Można by na tym zarobić miliony funtów - zauważył, gdy proszek z pluskiem wpadł do filiżanki. Wpatrywał się w nią jak zauroczony, czekając na efekt.

- To jest sztuka, a sztuka jest wartością samą w sobie - zaproponował St. Ives. Zanurzył w kawie rąbek białej chustki i oglądał teraz poplamione płótno w padającym przez okno słonecznym świetle. Pokiwał głową z zadowoleniem, skosztował napoju i skinął głową raz jeszcze. Od dwóch lat, od wydarzeń w Seven Dials, poświęcił się wyłącznie pracy nad tymi małymi białymi pigułkami, wykorzystując zdolności i naukowy instynkt do udoskonalenia kawy. Był to dość lekkomyślny sposób wydatkowania energii i umysłowego wysiłku, ale, aż do ubiegłego tygodnia, stanowiło to dla niego największe wyzwanie.

Pochyliwszy się nad stołem, zwrócił się do Krakena, choć słowa najwyraźniej kierował do całego zebranego grona.

- Nie wolno nam, Bili, okazywać strachu w związku z tym... przybyszem z nieba, ani popadać w metafizyczny ton. Dziś rano obudziłem się z cudownym samopoczuciem. Czułem się jak odnowiony. Uświadomiłem sobie, że rozwiązanie leży przede mną. Stało się tak za sprawą tego niegodziwca, którego ścigamy. Panowie, teraz naszym jedynym rzeczywistym wrogiem jest czas... ale także nasze lęki. - St. Ives przerwał, wypił łyk kawy i utkwiał wzrok w filiżance. Za chwilę odezwał się znowu: - Największą katastrofą byłby teraz przeciek informacji. Jeśli ludzie dowiedzą się, co im zagraża, zapanuje chaos. Nikt nie jest w stanie spokojnie znieść wizji Ziemi rozbitej na pojedyncze atomy. To zbyt dużo dla prostego człowieka. Musimy wziąć pod uwagę skłonności ludzi do paniki, do wpadania w szaleństwo i załamывania rąk wtedy, gdy niezbędne jest opanowanie.

Profesor potarł podbródek, wpatrując się w resztki na talerzu. Nachylił się do nich i dodał ściszym głosem:

- Jestem przekonany, panowie, że nauka tym razem nas ocali, o ile wcześniej nas nie zniszczy. Niebezpieczeństwo jest bardzo realne i jeśli wieść o zagrożeniu ze strony komety pójdzie w świat, przyniesie to opłakane skutki.

Uśmiechnął się do trójki skonfundowanych towarzyszy. Kraken otarł brodę z resztek jajka, a Jack zacisnął usta w zamyśleniu.

- Muszę się dowiedzieć czegoś o Hargreavesie - kontynuował St. Ives - a wy też pewnie chcielibyście zrozumieć coś z mojego gadania. Ale tu nie miejsce na to. Wyjdźmy na zewnątrz.

Na te słowa mężczyźni powstali z miejsc. Kraken dopił jeszcze kawę, a widząc, że Jack zostawił pół filiżanki swojej, wysączył ją też, po czym, podążając w ślad za kompanami ku wyjściu, mamrotał coś o głodujących i o marnotrawstwie.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy doktora Ignacia Narbondo. Popijając herbatę obserwował tył głowy Hargreavesa, schylonej nad płachtą papieru pokrytą liniami, cyframi i notatkami. Narbondo zastanawiał się, po co takiemu człowiekowi w ogóle potrzebne jest powietrze. Hargreaves oddychał przecież nienawiścią - czuł odrazę do wszystkiego, co czyste i niewinne. Z rozkoszą budował bomby tylko dla zaspokojenia swoich nieludzkich odchyleń. Nie robił tego dla idei; chciał jedynie zniszczenia i masakry. Gdyby mógł zbudować urządzenie wystarczająco potężne, by obrócić w perzynę całą tę okolicę i do tego wiszące nad nią słońce, nie spocząłby przed osiągnięciem celu. Czuł obrzydzenie do herbaty. Czuł wstręt do kurzych jaj. Czuł wstręt do brandy. Nienawidził dnia i nienawidził nocy. Nienawidził nawet dzieła tworzenia swoich diabelskich urządzeń.

Narbondo rozejrzył się po niemal pustym pokoju. Na podłodze leżał wygnieciony siennik, gdzie Hargreaves zasypiał na tyle często, aby nie mieć z niewyspania nocnych koszmarów. Narbondo niespodziewanie zagwizdał

wesoło, co sprawiło, że Hargreaves zastygł w bezruchu - najwyraźniej cierpiał słysząc tę melodię, która przerwała bezładną wędrówkę jego myśli. Odwrócił się - jego zarośnięta twarz wyrażała bezbrzeżną nienawiść, a oczy były zupełnie pozbawione blasku, jak księżyc podczas zaćmienia. Oddychał z trudem. Narbondo trwał w oczekiwaniu, unosząc w zdziwieniu brwi.

- Niech będzie przeklęty ten, kto gwizdże - rzekł Hargreaves cedząc słowa. Wytarł usta kantem dłoni, obejrzał ją, jakby spodziewał się tam znaleźć Bóg wie co i odwrócił się powoli do stołu. Narbondo, szczerząc zęby w uśmiechu, nalał sobie kolejną filiżankę kawy - w sumie był to przecież wspaniały dzień. Hargreaves, nie zastanawiając się długo, zgodził się pomóc w zniszczeniu planety. Przystał na to z nietypowym dla niego zadowoleniem, jakby to miało być pierwsze od lat naprawdę sensowne przedsięwzięcie. Narbondo zastanawiał się, dlaczego on po prostu nie poderżnie sobie gardła, by skończyć z życiem raz na zawsze.

Nie byłby tak chętny do pomocy, gdyby wiedział, że Narbondo nie myśli o zniszczeniu, że jego jedyną motywacją jest chciwość. Chciwość i żądza zemsty. Jego groźba, że pchnie Ziemię na tor kolidujący ze zbliżającą się kometą, nie mogła zostać zlekceważona. W Akademii Królewskiej niektórzy wiedzieli, że on jest w stanie to zrobić; w dodatku wierzyli, że może się na ten krok zdecydować. Byli tak samo krótkowzroczni jak Hargreaves i taki sam był z nich pożytek. Narbondo przez lata ciężko pracował na to, by ludzie go znienawidzili, ale także aby się go bali i szanowali.

Niespodziewany wybuch wewnątrz Mt. Hjarstaad przeraziłby ich. Zastałby ich przy śniadaniu - niejedne usta rozdziawiłyby się ze zdziwienia, niejedna broda by zadrzała. Powstałyby natychmiast podejrzenia. Gdzie jest Narbondo? Widział go ktoś w Londynie? Nie, już od miesiący nikt go nie spotkał. Czyż nie groził właśnie wybuchem za kołem podbiegunowym - tylko po to, by pokazać, że nie żartuje i że los świata leży w jego rękach?

Wkrótce, za kilka zaledwie dni, kometa przejdzie na tyle blisko od Ziemi, żeby ten nędzny motłoch mógł sobie obejrzeć wyjątkowe przedstawienie. Ziemskie pole magnetyczne przyciągnie żelazny rdzeń komety na tyle silnie, że dojdzie do kolizji, po której planeta, a wraz z nią niezliczona rzesza niedowiarków, rozpadnie się na pojedyncze atomy. A co się stanie, jeżeli ktoś świadomie skieruje Ziemię jeszcze bliżej ku nadchodzącej gwiazdzie i zamieni groźbę katastrofy w pewność? Przy takim postawieniu sprawy przez Narbonda szantaż nabrał innego wymiaru.

Cóż, to właśnie doktor Ignacio Narbondo we własnej osobie zamierza tego dokonać. Czy jest do tego zdolny? Roześmiał się. Dwa tygodnie temu członkowie Akademii drwinami przyjęli jego oświadczenie, ale Mt. Hjarstaad zetrze te szydercze uśmiechy z ich twarzy, które zamienią się w ponure maski. Co na ten temat rzekł poeta? „Grawitacja jest tajemniczą siłą podtrzymującą

ciało, a ukrywając słabość umysłu.” Nic dodać, nic ująć. Grawitacja spełniała swą rolę przez pewien czas, ale kiedy straci moc - przyjdzie za to zapłacić. I to drogo. Narbondo spróbował zagwizdać raz jeszcze, tym razem z czystej radości, ale zaniechał tego szybko - nie chciał znowu zdenerwować Hargreavesa, skoro najwyraźniej doprowadzało go to do szału. Głupotą byłoby zniszczyć tego człowieka, zanim dokończy swego dzieła.

Nagle przypomniał sobie o St. Ivesie. Tego profesorka doprawdy trudno zgubić. Setki razy Narbondo żałował, że zabił tę kobietę w deszczowy londyński poranek przed dwoma laty. Nie chciał jej zabić. Zamierzał tylko uzyskać coś w zamian za jej życie. Był zdesperowany, dlatego działał w sposób tak chaotyczny. Nie popełnił zbyt wielu błędów, ale te, które popełnił, były znamienne w skutkach. Pozostało mu mieć nadzieję, że St. Ives zrozumie z czasem swoje postępowanie: gdyby wtedy pofolgował, jego kobieta żyłaby dziś i spędzałby z nią teraz beztroskie dni, plewiąc ogródek. Gdyby była sprawiedliwość na tym świecie, to St. Ives powinien mieć pretensje tylko do siebie. Zresztą rola męczennika akurat do niego pasuje.

Narbondo skrzywił się na samą myśl o przeciwniku. Starał się o nim zapomnieć, ale wciąż, gdziekolwiek się nie odwrócił, nadmorski wiatr przynosił słowa: „St. Ives, St. Ives...” Uporawszy się z mrocznymi myślami, sięgnął po płaszcz i cicho opuścił pokój, zabierając ze sobą filiżankę. Wyszedł na ulicę i uśmiechnął się ponuro do pomarańczowego słońca, którego blask przenikał unoszące się poranne mgły. Po chwili przerzucił filiżankę wraz z resztką herbaty przez obrośnięty winem kamienny mur i pomaszerował dalej przez Archcliffe Road, redagując w pamięci list do Akademii Królewskiej.

- Niech to szlag! - wymamrotał Bili Kraken spod przyciśniętej do ust dłoni. Z wściekłością usiłował pozbyć się fusów i wytrzeć herbatę, która spływając mu po szyi dostała się za kołnierz. Filiżanka, która trafiła go w ucho, rozbiła się spadając na kamienie ogrodowej ścieżki. Spoglądając ponad murem, Kraken zdołał jeszcze rozpoznać oddalającą się sylwetkę winowajcy i w duchu doliczył tę niezamierzoną obrazę do listy niegodziwości, których zaznał z rąk Narbonda w ciągu ostatnich lat.

Ale przyjdzie i na niego kolej. Kraken zastanawiał się, dlaczego St. Ives nie pozwolił mu zatłuc tego potwora Hargreavesa. To istny diabeł, bez dwóch zdań. Mogli po prostu skorzystać z jego arsenału. Jak to mówią - kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie... Jego szczątki znaleziono by później pośród szczątków tych piekielnych urządzeń, zbudowanych jego własnymi rękami. Świat miałby dług wdzięczności wobec Billa Krakena. St. Ives jednak utrzymywał, że Narbondo i tak znajdzie sobie chętnego współnika. Hargreaves był zaledwie pionkiem, a pionkiem można wykonać odpowiedni ruch, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Profesor nie chciał łamać swoich zasad, nie chciał działać poza prawem ani przekraczać reguł uczciwej gry. Wszystko się



właściwie do tego sprowadzało. Profesor nauczył się umiejętności czuwania, by trwać przy własnych motywacjach, by emocje nie przesłoniły mu celu; przestrzegał tego tak bezwzględnie, że czasem wydawało się to nieludzkie.

Kraken wychynął zza muru i ruszył w ślad za doktorem, czekając po drugiej stronie ulicy, gdy ten wszedł do składu papierniczego. Później uskokzył za budynek poczty, gdy zobaczył, że Narbondo właśnie tam zmierza. Stąpając w ciemnościach odnalazł tylne wejście, szykując wymówkę na wypadek konfrontacji. Wszedł do niedużego pustego pomieszczenia, gdzie znalazł dogodną kryjówkę za stertą skrzyń. Mógł stamtąd przez szpary obserwować niezmiernie grubego, przygarbionego jegomościa, który wtoczył się ciężko do pokoju tylko po to, by wrzucić list Narbonda do drewnianego pudła, po czym od razu wyszedł. Kraken chwycił przesyłkę i ukrył ją za pazuchą, a gdy tylko znalazł się na zewnątrz, rozerwał woskową pieczęć. Dziesięć minut później stanął przed szerokim obliczem pracownika poczty i ponownie nadał list doktora.

- On z pewnością blefuje - wyraził swoją opinię Jack Owlesby, patrząc z ukosa na St. Ivesa. Siedzieli we czterech na ogrodowych krzesłach w miejskim parku, słuchając bez entuzjazmu rzępolenia zmęczonej orkiestry. - Na co on liczy zawiadamiając „Timesa”? Wybuchnie panika. Jeśli chodzi mu o okup, to w ten sposób nie przybliży się do celu.

- Chyba że obróci tę ewentualność na swoją korzyść - odparł St. Ives. - Jeśli nawet jego zapowiedź, że zepchnie Ziemię na tor komety, nie zostanie potraktowana poważnie, to mogą przerazić się samego pomysłu poinformowania ludzi o wzajemnym magnetycznym przyciąganiu Ziemi i komety. Szantaż do kwadratu - jeden lepszy od drugiego. Uwierz mi. Panika może wybuchnąć w każdej chwili, jeśli zręcznie podana informacja dotrze do odpowiedniego, a raczej nieodpowiedniego, dziennikarza.

St. Ives przerwał i potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się tych ponurych myśli.

- Jak nazywał się ten drań, który cztery lata temu puścił w świat wieść o zagrożeniu epidemią?

- Beezer, sir - odpowiedział Hasbro. - Wciąż pracuje dla „Timesa” i musimy liczyć się z tym, że w dalszym ciągu ma jakiś kontakt z doktorem. Wystarczy pomachać przed nim zakrwawioną koszulą i już należy do pana.

- Przyznaję ci rację - oświadczył St. Ives. - Temu człowiekowi należałoby złożyć wizytę. Siedząc tu w Dover niewiele zdziałamy. Narbondo dał Akademii cztery dni na odpowiedź. Nie ma powodu, żeby w to nie wierzyć; nadmierny pośpiech nic by mu nie dał. W końcu do spotkania z kometa pozostało dziesięć dni. Musimy przyjąć za dobrą monetę jego oświadczenia. Zło, panowie, prowadzi do głupoty i nie sposób zgadnąć, jak daleko nasz doktor posunął się na tej drodze. O której mamy najbliższy pociąg

do Londynu, Hasbro?

- O drugiej czterdzieści pięć, sir.

- A więc jedziemy.

Londyn i Harrogate N, należący do Królewskiej Akademii Nauk Bayswater Club znajdował się naprzeciw parku Kensington. Gdy St. Ives wyjrzał z okna na drugim piętrze, urzekł go widok starannie utrzymanych trawników, różanych krzewów i zgrabnie przyciętych drzew. Słońce, niczym gigantyczna pomarańcza, tkwiło tuż poniżej zenitu; jego gorące promienie przenikały podwójne okna klubu. Kwietniowa aura była tak zachwycająca, że wynagradzała perspektywę niesmacznego lunchu. St. Ives próbował rozbawić kelnera o kamiennej twarzy, zamawiając żartem piwo i mielonego kotleta, lecz ten nie widział w tym nic śmiesznego. Na jego obliczu dało się zauważyć zdegustowanie.

St. Ives westchnął z zalem. Wolałby w tej chwili, wraz z tłumem ludzi, spacerować po słonecznym parku. Uświadomił sobie nagle, że tego parku i tego tłumu za tydzień może już nie być. Wypił do dna kielich czerwonego wina i przyjrzał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Parsons, od niepamiętnych czasów sekretarz Akademii, pochłaniał zupę z takim entuzjazmem, że St. Ives poczuł się dziwnie. W talerzu pływało coś, co przypominało małe, poskręcane robaczki; były to zapewne jakieś orientalne grzybki, których nie pożałował kucharz-dowcipniś. Parsons wylawiał je teraz z namaszczeniem.

- Tak więc nie musi się pan niczego obawiać - zagaił sekretarz, dotykając brody serwetką. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, przywołujący na myśl psa, któremu udało się podać panu kaptcie nie dziurawiąc ich przy tym. - Najtęższe umysły naukowego świata głowią się nad tym problemem.

Kometa minie nas nie powodując jakichkolwiek zaburzeń. To rzeczywiście kwestia sił elektromagnetycznych. Kometa z łatwością mogłaby zostać przyciągnięta przez Ziemię, tak jak pan mówi, co miałoby katastrofalne konsekwencje. Chyba że - spróbujmy to sobie wyobrazić - pole magnetyczne Ziemi zostanie całkowicie wyłączone.

- Wyłączone?

- Właśnie. Powiedzmy przerwane. Currens interruptus. - Parsons puścił oko.

- Ależ to niepodobieństwo! - zaoponował St. Ives.

- Historia zna jednak takie przypadki. W powszechnym przekonaniu bieguny magnetyczne odwracały się już nieraz. Przez ten czas, gdy ustalało się ich nowe położenie, Ziemia była całkowicie pozbawiona pola elektromagnetycznego. Jestem nieco zaskoczony, że panu, fizykowi, trzeba taką rzecz wyjaśniać - Parsons spojrzał na swego rozmówcę znad binokli, po

czym wyłowił z zupy włókna jakiegoś warzywa. - To wodorosty - wyjaśnił przyglądającemu się ze zdumieniem St. Ivesowi, po czym wepchnął ociekające zielsko do ust.

St. Ives przytaknął ze zrozumieniem, ale przeszył go dreszcz. Różowa pierś kurczaka, spoczywająca na jego talerzu pod zwiędłymi liśćmi sałaty, przepełniła go nagle dziwnym wstrętem. Każdy lunch z Parsonsem w końcu do tego prowadził. Sekretarz miał zawsze przewagę już na starcie, właśnie z powodu tych potraw.

- Więc co naprawdę zamierzacie? Czy chcecie wywołać to zjawisko samą siłą woli?

- Ależ nie! Budujemy maszynę - zaprzeczył sekretarz z dumą.

- Maszynę?

- Zamierzamy odwrócić bieguny Ziemi, by przeciwdziałać wzajemnemu naturalnemu przyciąganiu jej i tej komety.

- To niemożliwe! - St. Ives czuł, jak zaczyna kiełkować w nim ziarno zwątpienia i strachu.

- Tak pan sądzi? - sekretarz z rozbawieniem machnął widelcem, po czym użył go, by podrapać się po nosie. - Sam lord Kelvin nad tym pracuje, choć teoretyczne podstawy są w całości zasługą Jamesa Maxwella. Jego szesnaście równań rachunku tensorowego wykazało w stopniu granicznym z pewnością, iż grawitacja jest jedynie formą elektromagnetyzmu. Jego wnioski niosą ze sobą jednak tak dramatyczne implikacje, że nigdy ich nie opublikowano. Lord Kelvin, oczywiście, ma do nich dostęp i wierzę, że w tak godnych rękach nie zostaną one wykorzystane do celów innych niż tylko naukowe. Na przykład - do tymczasowego odwrócenia ziemskich biegunów i „wyłączenia” prądów, które mogłyby przyciągnąć tę kometę. Może nam pan ufać. To zagrożenie, jak pan je określa, nie jest już aktualne. Może pan spokojnie poświęcić swe rozliczne talenty sprawom znacznie pilniejszym.

St. Ives przez chwilę siedział w milczeniu zastanawiając się, czy jakiegokolwiek argumenty dotrą do sekretarza, całkowicie pochłoniętego chrupaniem zielska. Mała nadzieja, ale St. Ives nie miał wyboru, musiał próbować dalej. Dwa dni wcześniej, kiedy zapewniał w Dover swych przyjaciół, że z łatwością pokrzyżują szyki doktorowi Narbondo, nie brał tego pod uwagę. Czy jest możliwe, że śmiałe projekty lorda Kelvina i Akademii mogą stanowić większe zagrożenie niż zamysły doktora? To przecież nie do pomyślenia. A przecież siedzi tu przed nim ten Parsons ze swymi rewelacjami o odwróceniu ziemskich biegunów. St. Ives musiał wreszcie przemówić. Odnosił wrażenie, że tkwi w nieustającym konflikcie z innymi naukowcami.

- To... urządzenie poskładaliście w ciągu ostatnich kilku tygodni, zgadza się? - zaczął.

Parsons robił wrażenie niewymownie zaskoczonego:

- To nie zostało „poskładane”. Ale jeśli już pan pyta, to odpowiem - nie. Chyba bez obaw mogę panu zdradzić, że jest to uwieńczenie pracy, której lord Kelvin poświęcił całe swe życie. Wszelkie inne przedsięwzięcia na polu elektryczności były tylko podstawą i dodatkiem. To właśnie tej maszynie poświęcił cały swój geniusz.

- To znaczy, że przez całe życie miał ambicję, aby odwrócić ziemskie bieguny? W jakim celu? Nie powie mi pan przecież, że od czterdziestu lat przewidywał nadejście tej komety!

- Nic takiego nie powiedziałem. Lecz gdybym zdradził panu całą prawdę, czego nie chcę zrobić, i tak by pan w to nie uwierzył, co najwyżej zdziwiłby się wielce. Powiem panu tylko, że ten człowiek gotów jest poświęcić swoje ambicje dla dobra ludzkości.

St. Ives pokiwał głową, trącając przy tym bezmyślnie palcem leżącego na półmisku kurczaka, który równie dobrze mógł być jakimś morskim paskudztwem. Ambicja. Jemu też jej nie brakowało. Od dawna podejrzewał, nad jakiego rodzaju aparatem pracuje lord Kelvin w swej szopie w Harrogate. Parsons wyjawiał mu prawdę, lub przynajmniej jej część. A wynikało z tego, że on sam, nie wiedział jeszcze w jaki sposób, musi wejść w posiadanie tej niezwyklej maszyny.

Problem w tym, że już sam ten pomysł był nie do przyjęcia. Różne wiatry kierują człowiekiem, wiodąc go na dalekie morza; bywa, że kierują jego czynami, lecz nie powinny odmieniać jego duszy. Weź przykład z Robinsona Crusoe - powiedział sobie w duchu.

Pomyślał o Alicji i o ich krótkim wspólnym życiu. Teraz byłby gotów nawet wrywać chwasty w jej warzywnym ogródku. Gdy wrócił do rzeczywistości, poczuł przygnębienie. Utkwił wzrok w pozostawionych na talerzu resztkach, gdy tymczasem Parsons z zadowoleniem patrzył w okno, dłubiąc przy tym paznokciem w zębach. Spokojnie, zaczniemy od początku - pomyślał St. Ives. A więc chcą odwrócić bieguny Ziemi...

- Czytał pan prace młodego Rutherforda? - zapytał.

- Chodzi o Pinwinie Rutherforda z Edynburga?

- Nie, mam na myśli Ernesta Rutherforda z Nowej Zelandii. Spotkałem go w Kanadzie. Przeprowadził bardzo ciekawe badania nad promieniami świetlnymi, jeśli można to tak nazwać. - St. Ives zdołał oderwać skrawek kurzego mięsa i już niósł je do ust, lecz przyjrząwszy mu się raz jeszcze, zmienił zdanie. - Na podstawie pewnych przesłanek można sądzić, że biegnące od Słońca promienie alfa i beta prześlizgują się wzdłuż ziemskiego pola magnetycznego i nie czyniąc nam szkody, docierają do biegunów. Pozornie wydaje się, że gdyby nie to pole, mielibyśmy tu radioaktywną łaźnię, bo nie odchylone promienie docierałyby do naszej planety bez przeszkód. Spowodowałyby to niewyobrażalne mutacje. Mam teorię, że dinozaury

wyginęły w taki właśnie sposób. Ich zagłada była następstwem zamiany biegunów i związanego z tym procesem zaniku pola magnetycznego.

Parsons wzruszył ramionami.

- To oczywiście tylko teoria, natomiast kometa przybędzie tu za osiem dni, co już przenosi nas w sferę rzeczywistości. To nie brontozaurus, przyjacielu; to potężna bryła żelaza, która może zrobić z nas miazgę. Siedzi pan sobie teraz za stołem, a z tej pozycji łatwo jest kwestionować osiągnięcia nauki i techniki... Ośmielam się jednak wyrazić przekonanie, że lord Kelvin obejdzie się bez pana pomocy, tak jak czynił to do tej pory.

- Jest lepszy sposób - stwierdził krótko St. Ives. Szkoda było tracić nerwy na przełamywanie uprzedzeń Parsonsa.

- Czyżby?

- Myślę, że Ignacio Narbondo właśnie nam go podpowiedział. Parsons zakrztusił się i upuścił łyżkę. St. Ives uniósł dłoń.

- Zapewniam pana, że jestem świadom jego gróźb i że te groźby nie są tylko cczą gadaniną. Zamierzacie mu zapłacić?

- Nie wolno mi rozmawiać na ten temat.

- On tę groźbę spełni. Już poczynił pierwsze kroki.

- Zdaję sobie sprawę, szanowny kolego, że pan i doktor jesteście śmiertelnymi wrogami. Ten człowiek dawno powinien był zawisnąć. Gdybym miał takie możliwości, sam bym mu wymierzył sprawiedliwość, ale szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, gdzie on teraz może być. Ostrzegam pana, że sprawa tej komety nie może posłużyć prywatnym interesom. Mam nadzieję, że rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. Bierzmy przykład z lorda Kelvina.

St. Ives bardzo powoli policzył do dziesięciu. Będąc przy siedmiu zrozumiał, że Parsons był bardzo bliski prawdy, chociaż mówił nie całkiem na temat.

- Powtarzam raz jeszcze - rzekł z naciskiem - jestem przekonany, że istnieje lepsza metoda.

- A co taki obłąkaniec jak Narbondo może mieć wspólnego z tą „lepszą metodą”?

- Jeśli prawidłowo odczytuję jego zamiary, to planuje wstrzymać działalność pewnych bardzo aktywnych wulkanów w arktycznej Skandynawii poprzez wprowadzenie w szczeliny środków petryfikujących. Następnie, odpalając ładunki wybuchowe, doprowadzi do erupcji łańcucha wulkanicznych szczytów, górujących nad peruwiańską amazońską dżunglą. Skumulowana energia wyzwolona przez taki kataklizm powinna, w jego mniemaniu, wystrzelić nas jak chińską petardę na spotkanie komety.

- Biorąc pod uwagę budowę wnętrza Ziemi - odparł sekretarz, uśmiechając się lekko nad szklanką wody mineralnej - rezultaty tego

przedsięwzięcia w najlepszym wypadku będą bardzo wątpliwe. Być może...

- Czy znana jest panu teoria wydrażonej Ziemi? - zapytał St. Ives. Kąciaki ust Parsonsa drgnęły nerwowo. - Mam tu na myśli teorię McClung-Jonesa z Instytutu Geologii w Quebecku, tak zwany fenomen cienkiej skorupy.

Parsons ze znużeniem pokiwał głową.

- Możliwe jest - kontynuował St. Ives - że spowodowana przez Narbonda detonacja wywoła serię wybuchów wulkanów osadzonych w pustym rdzeniu planety. Potężne siły mogą wymusić erupcję w tak zwanym punkcie Jonesa.

- Cienka skorupa? - nie wytrzymał sekretarz.

- Chodzi właśnie o te peruwiańskie szczyty, na które Narbondo skierował swe chciwe oko.

- To ci dopiero - mruknął Parsons pokaślując w serwetkę.

- Zrobić z planety chińską petardę! - Sekretarz spojrział za okno mrużąc oczy, jakby z zadowolenia, że St Ives zakończył swą przemowę.

- Uważam - ciągnął jednak dalej St. Ives - że należy udaremnić plany doktora, a następnie wywołać ten sam proces, tylko w przeciwnym kierunku, tak, by tymczasowo zepchnąć Ziemię z jej orbity i w ten sposób sprawić, by kometa znalazła się poza jej zasięgiem. Jeśli obliczenia przeprowadzi się z wystarczającą precyzją - a zapewniam pana, że to jest możliwe - to wślizgniemy się z powrotem na naszą orbitę kilka tysięcy mil dalej. Nieznaczny to dystans w porównaniu z niezmierną przestrzenią, którą pokonujemy w naszej podróży poprzez kosmiczną próżnię.

St. Ives sięgnął do kieszeni płaszcza po cygaro. Oto Akademia Królewska, niewymownie przerażona machinacjami Ignacia Narbondo, nie wątpi w to, że jego pogroźki nie są tylko czczą gadaniną. Jeśli uwierzyli, że doktor może zniszczyć planetę przy użyciu wulkanów, to równie dobrze mogą uwierzyć i jemu, St. Ivesowi, że ocali ją w ten sam sposób. Co zresztą wszystkim wyszłoby na dobre. St. Ives głęboko odetchnął i mówił dalej:

- Przeprowadzono kiedyś badania dotyczące niszczącego wpływu maszerujących wojsk na mosty. Było to potrzebne dla celów militarnych. Moja własna teoria, zgodna z założeniami Narbonda, oparta jest właśnie na wynikach tych badań - wykorzystuje energię drgań rezonansowych, jaką wytwarza oddział maszerującego równym krokiem wojska.

Parsons skrzywił się. Nie mógł spokojnie słuchać o niecnym poczynaniach Narbonda. Uważał, że również teorie St. Ivesa, choć fascynujące, wielkiego pożytku przynieść nie mogą. Pewnie chodzi mu tylko o zaszczyty. A ten McClung-Jones - czyż nie był zamieszany w pewien odrażający eksperyment z jaszczurkami z New Hampshire?

- To była paskudna sprawa - wymamrotał smutno Parsons. - Mówię o jednym z pańskich fachowców od pustej skorupy ziemskiej. Zamówił w galerii

figur woskowych w Bostonie rozmaite mezozoiczne gady i utrzymywał potem, że znalazł je w jakiejś bezdennej jaskini. - Spojrzał przenikliwie na swego rozmówcę. Tutaj liczy się tylko prawdziwa nauka i od niej zależą losy ludzkości. Czyż lord Kelvin nie kończy właśnie budowy aparatu, o którym on, Parsons, właśnie mówił? Czy St. Ives w ogóle słuchał, co się do niego mówi? Parsons wzruszył ramionami. Dyskusje z tym człowiekiem zawsze były... jakby to ująć? odkrywcze. Lecz tym razem wypłynął chyba za daleko i Parsons zamierzał mu doradzić, by natychmiast zawracał ku brzegowi, najlepiej stylem klasycznym, aby nie tracić zbyt dużo sił. Poklepał St. Ivesa po ramieniu, ukazując pytającym gestem karafkę z winem.

St. Ives skinął przyzwalająco głową i obserwował teraz, jak sekretarz napełnia jego kielich. Z tym człowiekiem nie ma sensu dyskutować. Zresztą nie jest to czas na dyskusje. Trzeba działać i jak widać, będzie musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Rezydencja i laboratorium St. Ivesa znajdowały się mniej więcej trzy czwarte mili od letniego domu lorda Williama Thomsona Kelvina. Spokojna rzeka o nazwie Nidd przecinała w połowie rozległą łąkę na granicy tych dwóch posiadłości. Wierzby porastające brzegi tworzyły zieloną zasłonę, przez którą nie sposób było dojrzeć jeden dom z drugiego, chociaż z poddasza rezydencji St. Ivesa można było dostrzec szeroką, przysadzistą szopę u sąsiada, zbudowaną na trawiastym pagórku. Nieustannie kręcili się tam odziani w biel naukowcy lub umorusani mechanicy. Kryte platformy podążające wzdłuż High Road od strony Kirk Hammerton, wiozące jakieś tajemnicze urządzenia, sprawdzane były przy bramie przez zawsze czujnego człowieka w mundurze.

St. Ives obserwował całe to zamieszanie przez lunetę. Spojrzał ponuro na służącego.

- Stoję przed bardzo trudną decyzją, Hasbro.

- Słucham, sir.

- Musimy zabawić się w sabotażystów, ot co. Ciarki mnie przechodzą na myśl o takiej niegodziwości, ale stawka jest znacznie większa, niż nasz własny honor. Musimy w jakiś sposób zniszczyć maszynę lorda Kelvina.

- Tak jest, sir.

- Ciekawe... myślałem przedtem, że on buduje coś zupełnie innego. Jednak Parsons nie był w stanie mnie oszukać. Musimy założyć, że lord Kelvin postąpi dokładnie tak, jak mówią.

- Cokolwiek pan rozkaże, sir.

- Ten sabotaż nie tylko wymusi przeprowadzenie planu związanego z wulkanami, ale będzie wyrazem naszej niezachwianej wiary w jego powodzenie. Zniweczyć wysiłek największego z żyjących naukowców i wynalazców, aby dać w zamian nasze niepewne projekty - co za kolosalne zarozumiałstwo!

- Jak pan uważa, sir.
- Stawka jest wysoka, Hasbro, ale musimy o nią zagrać. To, w co się angażujemy, to ni mniej, ni więcej, tylko dzieło ocalenia naszej planety.
- Czy najpierw zjemy lunch, sir?
- Wędzone śledzie i korniszony, jeśli można. Przynies do tego dwie butelki Double Diamond... a przy okazji jedną lub dwie dla siebie.
- Wielkie dzięki. Jest pan niezmiernie hojnym człowiekiem, sir.
- Taak... - wymamrotał St. Ives, przechadzając się pod belkowanym sufitem. Zatrzymał się i mrużąc oczy obserwował pod słońce, jak kolejny wóz wtacza się z terkotem w otwartą bramę szopy lorda Kelvina. Przebranie chyba na nic się nie zda. Można by wprawdzie z łatwością wyładować wóz jakimś naukowym złomem - Bóg jeden wie, ile się tu tego poniewiera - i przyodziawszy jakieś stare łachy spróbować wjechać przez bramę. Strażnik nie miałby pojęcia, kim on jest. Co innego lord Kelvin. Sztuczny nos i przyprawiony zarost to zbyt duże ryzyko. Gdyby któryś z członków Akademii go rozpoznał, aresztowaliby go i oskarżyli, zresztą słusznie, o sabotaż. Niewątpliwie mógłby dochodzić swych praw w sądzie, licząc co najmniej na wstawiennictwo Rutherforda - ale przez ten czas Ziemia uległaby unicestwieniu. Nie, to nie jest sposób. A jeżeli aparat lorda Kelvina zostanie uruchomiony i spełni swe zadanie, to może się zdarzyć, że będą go sądzić mutanci - ława przysięgłych złożona z osobników o dwóch głowach i trójoki sędzia. Współczuliby mu prawdopodobnie, lecz cóż...

W obszernym wnętrzu szopy aż kipiało. Wyglądało jak bazar pełen tajemniczych części, zwojów miedzianego drutu, kadzi wypełnionych bulgocącym płynem. Gruby jak ludzkie ramię, zabezpieczony gumową izolacją kabel zwisał spod sufitu na kształt tropikalnych pnączy. Pośrodku stał niepozorny mosiężny pojemnik, z którego pokrywy wychodziły wiązki przewodów. A więc tak wygląda słynna maszyna - zwieńczenie wysiłku całego życia, ofiara, którą lord Kelvin składał dla ocalenia ludzkości.

Maszyna zajmowała niewiele miejsca - była na tyle mała, że można by jej użyć jako silnika do napędzania bryczki, gdyby komuś to było potrzebne. St. Ives ubawił się taką wizją, zastanawiając się, gdzie też człowiek mógłby udać się takim wehikułem. Pomyślał także, że oddałby cały swój majątek, by przez półtorej godziny pozostać sam na sam z tym urządzeniem. Nakazał sobie powagę, patrząc, jak trzech mężczyzn przystępuje do montażu na szczycie aparatu miedzianej piramidy o rozmiarach sporej psiej budy. Lord Kelvin, w białym kitlu i czepku, gestykulując i wykrzykując komendy zza swej obfitej brody osobiście nadzorował montaż maszyny, która pod jego dociekliwym okiem przybierała w świetle lamp ostateczny kształt. Obok naukowca stał Parsons, podpierając się okutą mosiądzem laską.

Szczęka mu opadła, gdy poznał Langdona St. Ivesa stojącego w



otwartych drzwiach szopy. St. Ives zerknął na Jacka i Hasbro. Bili Kraken gdzieś zniknął. Parsons gwałtownie wskazał im palcem drzwi; wytrzeszczał oczy tak mocno, że jego wypukłe czoło w zdumiewający sposób zniknęło pod grzywą siwych włosów.

- Doktorze! - krzyknął St. Ives uprzedzając sekretarza. - Pański człowiek na bramie jest do niczego. Przepuścił nas, gdy pokazaliśmy mu sfałszowany list podpisany rzekomo przez księcia Walii i opowiedzieliśmy jakąś historyjkę o kablu atlantyckim. Chciał koniecznie uścisnąć nam dłoń. Stać pana na kogoś lepszego, panie Parsons. Mógł przecież wpuścić kogokolwiek, złoczyńcę najgorszego gatunku, prawda? Nie było nam trudniej dostać się tutaj, niż na przykład mrówkom. Na szczęście dla Wspólnoty Brytyjskiej, jesteśmy przyjaznymi mrówkami. Jednym słowem przybyliśmy tu, aby oddać do dyspozycji nasze talenty.

St. Ives przerwał, by zaczerpnąć powietrza. Zauważył, że Parsons rzezi i poświstuje jak płonący lont przy bombie. Przez pełną napięcia chwilę istniała obawa, że w końcu eksploduje i padnie powalony apopleksją, a wtedy cały ich wysiłek doprowadzi tylko do śmierci nieszczęsnego starca. W końcu atak ustąpił. Parsons, gdy już całkiem się opanował, obrzucił całą trójkę badawczym spojrzeniem i stanął pomiędzy St. Ivesem a maszyną, jak gdyby jego wątła sylwetka, wychudzona przez lata wegetariańskiej diety, mogła uniemożliwić dostęp do niej.

- Chce pan powiedzieć, że jestem persona non grata! - St. Ives rzucił mu ostre spojrzenie, lecz zaraz tego pożałował. Nic nie zyska przez wrogą postawę.

- Pojęcia nie mam, jak okpiliście strażnika - zaczął sekretarz spokojnie, nie ustępując na krok - ale musicie przyjąć do wiadomości, że cała ta operacja została podjęta z pełnomocnictwem Jej Wysokości Królowej i uczestniczą w niej członkowie Królewskiej Akademii Nauk, która, o ile dobrze pamiętam, nie zalicza pana do swoich szeregów. Dziękujemy zatem za wspaniałomyślną ofertę pomocy i prosimy, byście panowie wszyscy opuścili to miejsce. Parsons odwrócił się oczekując poparcia ze strony lorda Kelvina, lecz naukowiec zajęty był właśnie dostosowywaniem położenia mosiężnej rury do innej, zwisającej z sufitu piętnaście stóp dalej.

- Lordzie - zwrócił się do niego Parsons i zakasłał znacząco, lecz nie uzyskał odpowiedzi. Dał za wygraną, gdy spostrzegł, że St. Ives zamierza przejść na drugą stronę aparatu.

- Czy musimy robić z tego problem? - zapytał. Usiłował zająć drogę St. Ivesowi, rzucając jednocześnie pełne niepokoju spojrzenia na Hasbro i Jacka Owlesby. Sprawiał wrażenie przekonanego, że ci dwaj wyciągną z zanadru jakiś straszliwy mechanizm i wysadzą tę szopę wraz ze wszystkimi.

St. Ives zatrzymał się i wzruszył ramionami. Dostrzegł Billa Krakena

umorusanego olejem, w roboczym kitlu, wynurzającego się zza sterty połamanych, wypełnionych słomą skrzyń. Kraken podszedł do lorda Kelvina, zmagającego się z mosięzną rurą. Chwycił przeciwległy koniec i zaczął mocować się z nią, szarpiąc to w jedną, to w drugą stronę, ku widocznej aprobacie jego lordowskiej mości. Puścił oko do St. Ivesa.

- No cóż - rzekł St. Ives tonem pokonanego. - Jest mi przykro, Parsons. Bardzo przykro. Chciałem tylko pomóc.

Sekretarz przyjął te słowa z widoczną ulgą i uśmiechnął się szeroko.

- Jesteśmy wdzięczni, sir - rzekł, kuśtykając w kierunku St. Ivesa z wyciągniętą ręką. - Gdyby nasze przedsięwzięcie znajdowało się dopiero w jego wstępnej fazie, zapewniam, że skorzystalibyśmy z pańskich fachowych rad. Ale teraz to już tylko kwestia dokręcenia śrubek.

Wyprowadził całą trójkę na słońce, uśmiechając się serdecznie. Patrzył za nimi aż do chwili, gdy znaleźli się za bramą i mógł mieć pewność, że niebezpieczeństwo minęło. Wtedy wydał polecenie, by zmieniono strażnika. Nie mógł go, co prawda, wychłostać, ale mógł za to dopilnować, by ten nieudacznik spędził pouczający rok patrolując ulice Dublina.

Londyn i Harrogate raz jeszcze Fleet Street zapadł późny wieczór. Noc była dość łagodna, jak na tę porę roku w Londynie; księżyc, który pojawił się na purpurowym niebie za kopułą katedry św. Pawła, promieniował delikatnym, ciepłym światłem. Gwiazdy były ledwo widoczne w tej księżycowej poświacie. Wraz z postępującym mrokiem stały się na tyle wyraźne, by przypomnieć St. Ivesowi, że wszechświat nie jest zupełnie pusty, że gdzieś tam, pośród planet, pędzi ku Ziemi olbrzymia kometa. Napędzana słonecznym wiatrem przemierza nieprzetarte szlaki kosmicznej próżni, ciągnąc za sobą łukowaty ogon - miliony kilometrów brył lodu. Jutro lub pojutrze, gdy ktoś spojrzy w niebo, by podziwiać gwiazdy, będzie mógł ją dostrzec. Czy będzie to piękny, zapierający dech w piersiach widok - wspaniała płomienna smuga na granacie nieba? Czy też ludzkość, która wciąż nie wyzbyła się średniowiecznych przesądów, zadrży z przerażenia?

Z rozmyślań wyrwał go odgłos zbliżających się kroków. Przy najmniejszej zmianie wyrazu twarzy czuł opór naciągniętej skóry pod przyklejonymi brwiami i brodą z końskiego włosia, które, wraz z mniszą peruką i przylepionym nosem z kitu, stanowiły bardzo stosowne przebranie. Ujrzał nadchodzącego Beezera, dziennikarza; prowadził on ożywioną rozmowę z jakimś jegomościem w samej tylko koszuli. Beezer żuł koniec niedużego cygara i szeroką gestykulacją usiłował zobrazować jakąś historię, którą opowiadał dziwnie zaciekle. Wydawał się nienaturalnie podniecony; St. Ives uzmysłowił sobie jednak, że ten człowiek, którego prawie nie zna, może zawsze wymachuje ramionami i zlorzeczy w ten sposób.

St. Ives podążył za tą dwójką, nie próbując się nawet kryć. Hasbro i

Jack Owlesby stali schowani w cieniu dwie przecznice dalej, w pobliżu Whitefriars. Nie było czasu do stracenia. Kręcili się tu przypadkowi przechodnie, więc porwanie musi zostać przeprowadzone szybko i dyskretnie.

- Pan wybaczy - zagadnął St. Ives zza pleców tamtych - czy pan Beezer, dziennikarz?

Mężczyźni zatrzymali się i zmierzyli St. Ivesa wzrokiem.

- Zgadza się, ojczulku - padła odpowiedź. Beezer wpatrywał się w profesora, jakby nie mógł uwierzyć, że spotkał takiego oryginała w samym sercu Londynu.

- Prawdę mówiąc, nazywam się Penrod - wyjaśnił St. Ives.

- Mes Penrod. Najwidoczniej wziął mnie pan za kogoś innego. Mam bardzo pospolitą twarz.

Towarzysz dziennikarza wybuchnął śmiechem. Sam Beezer wykazywał jednak oznaki zniecierpliwienia.

- Taka twarz to nieszczęście - powiedział, trącając przy tym swego kompana łokciem w bok. - Żebrakowi jednak pasuje. Nie mam nic dla ciebie, ojczulku. Idź lepiej, weź gąbkę i wyszoruj się - dodał, po czym obaj mężczyźni odwrócili się i odeszli. Beezer znów gestykulował z ożywieniem, a jego towarzysz jeszcze raz się roześmiał.

- Jedną chwilę, sir! - wykrzyknął St. Ives, dogoniwszy tamtych. - Mamy wspólnego przyjaciela!

Beezer zatrzymał się i spojrzał groźnie na profesora, żując przy tym powoli swoje cygaro. Wpatrując się uważnie w to dziwaczne oblicze, potrząsnął przecząco głową.

- Mylisz się, człowieku. Chyba że to sam diabeł; wszyscy inni twoi przyjaciele dawno by się powiesili z rozpacz. Czemu po prostu nie rozplyniesz się w ciemnościach, ojczulku, zanim zapoznasz się bliżej z moim butem?

- Ma pan zupełną rację - rzekł St. Ives, śmiejąc się w duchu. - Jestem przyjacielem doktora Ignacia Narbondo. Przysłał mnie tu z kolejną informacją.

Beezer nie zareagował na określenie „kolejna”.

- Poważnie? - zapytał. Profesor skłonił się, kładąc pośpiesznie rękę na głowie, by przytrzymać perukę.

- Clyde, już cię tu nie ma - rzekł Beezer do przyjaciela.

- Mieliliśmy się napić! - zaprotestował tamten.

- Zachowam tę flaszkę. Jutro się spotkamy i wypijemy dwie. A teraz już idź.

Mężczyzna odszedł niepokieszony, nie mogąc najwyraźniej pogodzić się z tym, że przepadła okazja do wypitki. St. Ives odczekał, aż tamten przeszedł na drugą stronę ulicy. Gdy jego kroki ucichły, skinął na nachmurzonego Beezera i przeszedł parę kroków rozglądając się wokoło.

Chciał mieć pewność, że wszystko jest w porządku, że nic podejrzanego się nie dzieje. Dziennikarz podążył za nim.

- Chodzi o pieniądze - powiedział St. Ives.

- Pieniądze?

- Narbondo doszedł do wniosku, że obiecał panu zbyt dużo.

- A to parszywy oszust! - zawył dziennikarz, pozbawiając profesora wątpliwości; był pewien, że to ten człowiek był adresatem listu doktora wysłanego kilka dni wcześniej z Dover.

- Przekonał się - tłumaczył St. Ives - że może znaleźć dowolną liczbę dziennikarzy, którzy sprzedaliby to miasto za połowę tej sumy. Chociażby Peabody z „Heralda”. Też przystał na współpracę.

- A to parszywy ścierwojad! A to oszust! - krzyczał Beezer wymachując pięścią przed nosem St. Ivesa. - Peabody!

- Ciszej - uspokajał go profesor, obserwując z rosnącym zdenerwowaniem odległy o jakieś trzydzieści stóp ciemny wylot ulicy. - Nie zawarliśmy z nim jeszcze żadnej umowy; to było tylko próbne sondowanie, że tak powiem. Powinien pan to zrozumieć, przecież w pewnym sensie pan też jest człowiekiem interesu. - St. Ives gestykułował zamasyście lewą ręką, jakby chciał wyrazić przekonanie, że taki człowiek jak Beezer musi mieć przecież szerokie horyzonty. Nagle chwycił drugą ręką klapy płaszcza dziennikarza i szarpnął nim w bok. Jednocześnie wziął szeroki zamach i z całej siły uderzył tamtego pięścią w plecy, wypychając go w głąb słabo oświetlonego zaułka.

- Ejże! - krzyknął dziennikarz, gdy potykając się wylądował wprost w objęciach Jacka Owlesby, który doskoczył, by wykręcić mu rękę.

Hasbro wyłonił się z cienia wymachując wielkim jutowym workiem i zarzucił go jak rybacką sieć na głowę dziennikarza, a St. Ives naciągnął go głębiej. Hasbro chwycił za sznurek i przytrzymując mężczyznę za ramiona, zasyczał poprzez płótno:

- Spróbuj krzyknąć, a wyprawię cię na tamten świat. Słyszac to, szarpiący się dotąd dziennikarz nagle zwiotczał, jakby uszło z niego powietrze, co wyraźnie wskazywało, że na tamten świat bynajmniej się jeszcze nie wybierał. Jack wspiał się na wóz, uniósł pokrywę kufra i przy pomocy towarzyszy, to ciągnąc, to pchając umieścił stawiającego słaby już teraz opór Beezera w więziennej celi z drewna i skóry. Dziennikarz uderzył jeszcze kilka razy w wieko skrzyni, jęcząc przy tym rozpaczliwie, lecz wkrótce uspokoił się i słyhać było tylko turkot wozu podskakującego na drodze. Wyjechawszy przez Salisbury Court skierowali się na południe ku Tamizie.

Pół godziny później zawrócili od strony Soho. St. Ives tak zaplanował trasę do Chingford, by Beezer nie był w stanie wyczuć kierunku. Zaopatrzony jak zwykle na każdą okazję Hasbro odkorkował butelkę whisky. Trzymając

szklanki, pograżyli się w rozmyślaniach o ciepłej nocy i ryzyku związanym z ich przedsięwzięciem.

- Wybacz, że cię w to wciągnąłem, Jack - zaczął St. Ives.

- Nie wiadomo, co nas jeszcze czeka, zanim to wszystko się skończy.

Trudno przewidzieć, jaką awanturę ten Beezer później rozpęta.

- Wcale nie narzekam - odparł Owlesby.

- Właściwie miałem na myśli Dorotę. Dopiero kilka tygodni minęło od tamtej sprawy i oto wyciągnąłem cię znów z domu. Ona siedzi teraz w Kensington i zastanawia się, co nowego tym razem wymyśliłem. To mocna kobieta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Jack skinął głową i spojrzał na St. Ivesa, w którego głosie wyczuł gorycz. Ten człowiek zawsze wydawał się stać na skraju przepaści; udawał, że nie ma pojęcia o jej istnieniu, o tym, że jeden niewinny krok w tył może go zgubić. „Pracuj jak szalony”

- stało się jego życiową dewizą i było to chyba lepsze, niż gdyby się całkiem rozkleił. Jednak czasem wydawał się tak spięty, że Jack zastanawiał się, czy nie byłoby jednak lepiej, gdyby profesor pozwolił swym oczom przywyknąć do ciemności, spojrzał w czeluść i stawiał czoła temu, co zobaczy tam w dole.

Łatwo powiedzieć. Jack osiadł z Dorotą w Kensington, wiodąc życie, które St. Ivesowi musiało wydawać się cudowne. Profesor nie mógł nic poradzić na to, że dostrzega podobieństwo Doroty do Alicji. Szczęście Jacka zapewne pogłębiało jeszcze jego rozpacz. Gdyby Dorota знаła prawdę o celu ich obecnej wyprawy, prawdopodobnie należałoby, by jechać z nimi. Jack pomyślał o niej z czułością.

- Czy wiesz... - zabierał się do snucia wspomnień, lecz łomot dobiegający z kufra nie pozwolił mu kontynuować.

- Powiedzcie garbusowi - żądał przytłumionym głosem dziennikarz - że mu złoję skórę! Nim minie tydzień, będzie znów gnął w Newgate, przysięgam! Nie ma takiej rzeczy, której bym o nim nie wiedział!

St. Ives i Hasbro spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Chyba tu była ich szansa. Jeśli Beezer rzeczywiście dał się nabrać, że są posłańcami Narbonda, nie powinni mieć kłopotu z zatarciem śladów, gdy cała sprawa się skończy, a dziennikarz pójdzie do policji ze swoją historyjką. W końcu Beezer nie popełnił ani nie planował żadnego przestępstwa - nie licząc zbrodni przeciwko ludzkości, przeciwko podstawowym zasadom moralnym.

- Narbondo upoważnił nas do zlikwidowania ciebie, jeśli uznamy to za stosowne - zawołał St. Ives pochylając się nad skrzynią. - Jeśli pójdziesz nam na rękę, zostaniesz sowicie wynagrodzony, a jeżeli będziesz stawiał opór, skończysz licząc ryby w Tamizie.

Z kufra nie wydobył się już żaden dźwięk.

Jeszcze przed świtem wóz zajechał z turkotem do Chingford i skierował się ku pobliskim wzgórzom, gdzie znajdował się dom Sama Langleya - syna kucharza, który przez lata pracował u St. Ivesa.

Dom był całkiem ciemny. Zobaczyli jednak światło lampy sączone się przez zamknięte okiennice niskiego okienka w nie używanym silosie, stojącym pięćdziesiąt jardów dalej. St. Ives zatrzymał konie i natychmiast zeskoczył z wozu. Drzwi silosa nie były zamknięte na klucz, więc z pomocą kompanów wciągnął kufer do środka. Jack i Hasbro natychmiast rozplłynęli się gdzieś w ciemnościach. Przez uchylone na moment drzwi St. Ives zobaczył Sama Langleya schodzącego z kuchennej werandy i wkładającego pośpiesznie płaszcz. Drzwi zamknęły się i profesor pozostał sam ze skrzynią w słabo oświetlonym, skąpo umeblowanym pomieszczeniu.

- Zaraz otworzę kufer - oznajmił głośno.

- Wy sukin... - zaczął krzyczeć Beezer i St. Ives zabębnił palcami w wieko, aby uciszyć dziennikarza.

- Wybieraj! Albo otworzę to pudło, albo podłożę ogień.- powiedział bardzo powściągliwie, lecz nie uzyskał odpowiedzi. - Gdy tylko zdejmę kłódkę, możesz się łatwo wydostać; worek nie jest zawiązany, jak już pewnie zdążyłeś się zorientować. Radzę ci, żebyś przez dziesięć minut zachował absolutny spokój. Potem możesz rzucać się, tupać i wrzeszczeć do woli, aż padniesz - i tak cię nikt nie usłyszy. Ucieszy cię z pewnością wiadomość, że pewna okrągła sumka zostanie przelana na twoje konto. Chyba łatwiej będzie ci wydać te pieniądze, jeżeli nie zostaniesz wcześniej podziurawiony kulami, więc nie denerwuj się. Wytrzymałeś w tej skrzyni całą noc, wytrzymasz jeszcze dziesięć minut.

Beezer najwyraźniej potraktował te słowa poważnie, bo gdy St. Ives wyszedł, by ucisnąć pośpiesznie rękę Langleya, a później wskoczył na wóz i chwycił wodze, żaden dźwięk nie dobiegał z wnętrza kamiennego silosa.

Tej nocy, gdy St. Ives wprowadził dziennikarza, po wschodniej stronie nieba ukazał się okrągły, świetlisty obłoczek, który przypominał księżyc widziany przez oszronioną szybę. To była kometa. Wydawało się, że jest przerażająco blisko, że za chwilę runie na Ziemię, jak gigantyczny pocisk. Teleskop profesora, zaopatrzony we wklęsłe lustro z metalu, był podarunkiem od samego lorda Rosse. St. Ives śledził lot komety dlatego tylko, by skrócić sobie czas oczekiwania na nadchodzący świt. Ostatnio rzadko udawało mu się zasnąć, a jeśli już, to dręczyły go okropne koszmary.

Nie trzeba już było przeprowadzać żadnych obliczeń; wiele tygodni temu dokonali tego astronomowie, których głębokiej wiedzy w tym zakresie nie zaprzeczali ani członkowie Akademii, ani doktor Ignacio Narbondo. St. Ives również nie kwestionował ich wyników. Wszyscy zgadzali się co do tego, że kometa może znaleźć się niebezpiecznie blisko Ziemi. Wewnętrzna

potrzeba profesora, by obserwować to lodowe dziwo, wykraczała poza zwykłą fascynację tajemniczym i rzadkim zjawiskiem. Było to także wyzwanie, by spojrzeć prosto w twarz czemuś, co mogło stać się jego nemezis - olbrzymim lewiatanem płynącym ku Ziemi poprzez bezbrzeżny, czarny ocean. Czy jest on zwiastunem tragicznego końca? - zastanawiał się St. Ives.

Hasbro był we dworze i pakował ich torby. Pociąg odchodził ze stacji w Kirk Hammerton o szóstej. St. Ives spodziewał się, że tego ranka Narbondo odkryje, iż został wystrychnięty na dudka; że Beezer w jakiś niewytłumaczalny sposób go zawiódł. W porannej, dostarczanej pociągiem, edycji „Timesa” nie znajdzie wzmianki o nadchodzącej zagładzie. Doktor będzie usiłował nawiązać kontakt z tym łajdakiem Beezerem, lecz bezskutecznie. Na Fleet Street powtórzą mu tylko, że Beezer zachorował - zgodnie z informacją zawartą w liście, który St. Ives wysłał do pracodawców dziennikarza. Będą wmawiać doktorowi, że Beezer wyjechał na wypoczynek, na hiszpańskie wybrzeże. Na twarzy Narbonda pojawi się zapewne grymas niedowierzania stanowiący preludium do steku przekleństw i ataku wściekłości. St. Ives o mało nie parsknął śmiechem - Narbondo będzie dobrze wiedział, kto pokrzyżował mu plany.

Najprawdopodobniej jednak doktor razem z Hargreavesem wyruszą bez zwłoki w północne rejony Skandynawii. Tak oto rozpoczyna się nasz wyścig - pomyślał St. Ives ze znużeniem. Kometa była oddalona tylko o kilka dni lotu i niewiele zostało im czasu, by wykonać swoje zadanie.

Gdzieś trzasnęły drzwi. Profesor zwałkł się ze stołka, wyjrzał przez zachodnie okno swego obserwatorium i pomachał do Hasbro, na co ten odpowiedział kiwnięciem głowy. Pół godziny później pędzili już do stacji w Kirk Hammerton, skąd St. Ives, Hasbro i Owlesby mieli udać się do Ramsgate. Tam miał czekać sterowiec, który zabierze ich do krainy wiecznego lodu w północnej Norwegii. Jeśli wysiłki Krakena okażą się bezowocne, jeśli nie zdoła uszkodzić straszliwej maszyny lorda Kelvina, to dowiedzą się o tym - wraz z całą ludzkością - za dwa dni.

Bili Kraken przycupnął pośród wierzb porastających brzeg rzeki i obserwował poprzez cienkie gałązki ciemną bryłę szopy lorda Kelvina. Budowę urządzenia zakończono dwa dni temu. Kraken miał w tym, o ironio, swój własny udział, choć za pracę, którą wykonał, nie otrzyma zapłaty. Ale pieniądze nie miały już teraz dla niego takiego znaczenia, jak w czasach gdy handlował kałamarnicami - albo gdy został wyciągnięty z rynsztoka przez szczodrośliwego Langdona St. Ivesa.

Kraken westchnął. Biedny profesor. Cierpienie nie jest równe cierpieniu. On sam nigdy nie znalazł sobie żony, nigdy nie zaznał ojcostwa. Nieraz dostał po głowie, i co z tego? Taką przykrość można znieść. Co innego cios, który osiągnął St. Ivesa. Kraken obawiał się czasem, że ten wielki

człowiek załamał się, zanim ich misję uwieńczy powodzenie. Niczego nie pragnął tak mocno, jak tego, by profesor odzyskał psychiczną równowagę.

W leżącym obok worku wił się tuzin węży złapanych w wysokiej trawie tuż za domem profesora. Pod workiem stała druciana klatka z myszami, które, podobnie jak węże, od kilku dni nie dostały nic do jedzenia. W prawej ręce Kraken trzymał osłoniętą latarnię, zaś u jego pasa zwisał skórzany miech. Oprócz niego nie było na tej łące nikogo.

Akademia Królewska z zadowoleniem przyjęła zniknięcie Narbonda, który tymczasem wsiadł na statek płynący do Oslo, by przeprowadzić swój niedorzeczny plan. Takie przynajmniej plotki krążyły wśród ludzi pracujących w szopie lorda Kelvina. Teraz, gdy budowa maszyny dobiegła końca, to Akademia przyczyni się do unieszkodliwienia gróźb Narbonda. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego doktor nie spełnił zapowiedzi i nie zaalarmował prasy; dla Parsonsa oznaczało to, że jego szantaż to był zwyczajny bluff. Ten naiwniak St. Ives też, dzięki Bogu, dał za wygraną. To wszystko w znacznym stopniu oczyściło atmosferę. Dotychczasowe napięcie, pełne podejrzeń i wątpliwości, przerodziło się w świąteczny wręcz nastrój. Akademia może wreszcie działać bez przeszkód...

Kraken wychynął spod drzew i, obarczony swymi tobołkami, ruszył powoli przez łąkę. Nie śpieszył się; był za stary, by biec przez pole w środku nocy. Gdyby tak się potknął i upuścił klatkę z myszami lub rozbił lampę o kamień, cały jego plan wiałby w łeb. Za godzinę księżyc razem z kometa pokazą się na horyzoncie, a wtedy łąka będzie zalana światłem. Gdyby miał choć odrobinę rozumu, pospałby sobie do tego czasu.

Zamajaczyła przed nim sylwetka szopy; jasna podmurówka odcinała się wyraźnie od zniszczonych dębowych belek powyżej. Kraken podkraść się wzdłuż ściany ku oknu, pod którym wystawał koniec mosiężnej rury. To tę rurę zdołał precyzyjnie przesuwać przez wywierconą w murze dziurę tego dnia, gdy zjawił się po raz pierwszy pomagał lordowi Kelvinowi przy montażu.

Do czego dokładnie miała ta rura służyć, Kraken nie miał pojęcia - wiedział tylko, że był to główny element, bez którego urządzenie nie mogłoby pracować. W odległości około dwudziestu stóp, umieszczony na kamiennym cokole, tkwił czarny monolit, gładki jak polerowany marmur. Kraken nie mógł wyjść ze zdziwienia, gdy poprzedniego dnia lord Kelvin rzucił w tę bryłę ciężkim młotem. Zgromadzeni robotnicy i naukowcy aż otworzyli usta widząc, jak młot bezgłośnie odbija się od monolitu i leci hen, poza zasięg wzroku w stronę Yorku. Nikt z nich nie mógłby przysiąc, że widział młot spadający na ziemię. Odwrócenie biegunów miało więc nastąpić przez skierowanie w kierunku tego monolitu skumulowanej wiązki promieniowania magnetycznego wytworzonego maszyną lorda Kelvina. W ten sposób promieniowanie, odpowiednio wzmocnione, zostałyby wprowadzone na okrężny tor, a po nim w



przestrzeń kosmiczną. To wszystko przekraczało możliwość zrozumienia Krakena, ale lord Kelvin i jego przyboczna gwardia byli przecież asami w swojej dziedzinie. Takie przedsięwzięcie było dla nich dziecinną igraszką. Cóż, były to doprawdy potężne umysły, jedyne w swoim rodzaju.

Kraken wpatrywał się w monolit, podwójnie czarny na tle purpurowego, rozgwieżdżonego nieba, i zastanawiał się nad potęgą nauki. Oto niezwykła maszyna, która jutro zostanie włączona po raz pierwszy. Czy on, Kraken - człowiek niezbyt lotny - może zniszczyć tak wspaniałą rzecz? Nagle ogarnęło go zwątpienie. A przecież powierzono mu misję, od której powodzenia zależy ni mniej, ni więcej tylko przetrwanie ludzkiego gatunku... Cóż, był prostym człowiekiem i w prosty sposób zwykł osiągać swój cel. Zaznał w życiu ciężkich czasów; nieraz zdarzało mu się poniewierać w rynsztokach z różnymi rzezimieszkami. Teraz też nie będzie silił się na finezję, tylko załatwi sprawę po swojemu, tak jak umie najlepiej.

Wstrzymał na chwilę oddech i nadstawił ucha. Tylko sowa zahukała gdzieś daleko, poza tym żaden odgłos nie mącił nocnej ciszy. Odpiął miech z pasa i potrząsnął nim tuż przy uchu - ziarno i pokruszone herbatniki zagrzecotały w środku. Wsunął wylot miecha w koniec wystającej rury i zaczął pompować z całej siły, nasłuchując, jak zawartość skórzanego worka spada z łoskotem w dół. Nawet gdy miech został już całkowicie opróżniony, tłoczył jeszcze powietrze, chcąc, by jak najwięcej ziaren dostało się do wnętrza maszyny. To było ważniejsze niż pośpiech.

Gdy stwierdził, że wystarczy, przytwierdził miech z powrotem do pasa i chwycił drucianą klatkę. Myszy biegały podniecone, czując zapewne, że czeka je jakaś niezwykła nocna przygoda. Kraken przytknął klatkę do wylotu rury i otworzył drzwiczki. Myszy rozbiegły się wielce zdumione, rozglądając się to tu, to tam, obwąchując to jakiś skrawek papieru, to różowe ucho sąsiada, aż wreszcie, wyczuwszy pokarm, pognały po pochyłości, jak stado bydła po zboczku pagórka.

Z węzami poszło o wiele łatwiej. Tuzin bestii, nie mogąc się doczekać, by wreszcie wydostać się z worka, ruszyło w pościg za gryzoniami. Kraken zastanawiał się, czy nie powinien zwinąć worka i wepchnąć go w otwór, by mieć całkowitą pewność, że węże już się nie wydostaną. Wiązało się to jednak z pewnym ryzykiem. Lord Kelvin, lub co czujniejszy strażnik, może z łatwością odkryć taką zatyczkę, zanim Kraken będzie miał okazję ją stamtąd zabrać. Nikt nie może - tak nakazał St. Ives - zorientować się, że sabotaż nie był dziełem myszy i węży, a człowieka. Nie powinno budzić większego zdumienia, że ci naturalni mieszkańcy stodół urządzili sobie tam przytulne gniazdko. W ten sposób profesor pozostanie poza podejrzeniem.

Niecałą godzinę później Kraken położył się do łóżka, lecz tej nocy dręczyły go wizje wydostających się z wylotu rury węży i myszy, które najadły

się do syta nie zakłócając w najmniejszym stopniu działania tej piekielnej maszyny. Lecz co mu innego pozostało, jak tylko zawierzyć opatrności? Gdyby nawet zhańbił się niepowodzeniem, to i tak nic by to nie znaczyło w porównaniu z losem, jaki stałby się udziałem ich wszystkich, jeśli plan lorda Kelvina się powiedzie. Boże, miej tego człowieka w swojej opiece! Krakena nie opuszczał filozoficzny nastrój. Wyobraził sobie starzejącego się lorda, który haruje dzień i noc, by dokończyć dzieła, wierząc, że jest to największy dar, jaki może podarować ludzkości. Jego rozczarowanie będzie wręcz niewyobrażalne. A co by było, gdyby - nawet za cenę tragicznych konsekwencji - dać temu biednemu człowiekowi szansę? Świat to jednak żalosne, pełne sprzeczności miejsce.

Norwegia I im St. Ives i Hasbro dotarli do Dover, słoneczna kwietniowa pogoda załamała się; zrobiło się ciemno i wietrznie, na Morzu Północnym przewalały się sztormowe fale i lało jak z cebra. Na pokładzie promu „Ostenda” St. Ives, owinięty w ceratowy płaszcz, znalazł schronienie przed deszczem w niszy pod pokładem. Musiał szeroko rozstawiać nogi, by zrównoważyć silne kołysanie statku. Jego fajka dymiała jak komin, a kiedy wychyliwszy się spojrzął na skłębione czarne chmury, ogarnęły go równie pochmurne myśli, aż zapomniał całkiem o deszczu i zimnie. Czy ta nagła zmiana aury ma coś wspólnego z przeprowadzanym przez Akademię eksperymentem? Czy doprowadzili do przedwczesnej zamiany biegunów i stąd ta zwariowana pogoda? Czyżby Krakenowi się nie powiodło?

Plany profesora zdawały się brać w łeb. Okazało się, że sterowiec, na który tak liczył, jest akurat popsuty. Oto wazą się losy całej planety, a przeklęty sterowiec „nie jest na chodzie”. Nim minie tydzień, oni wszyscy nie będą na chodzie. Jack Owlesby pozostał w Ramsgate, gdzie brygada majstrów próbowała przywrócić aparat do stanu używalności. Jeszcze jedna zmienna, jakby to ujął matematyk, dodana do i tak już niewyraźnej sytuacji. Czy zdążą z naprawą? Czy Jack, wraz z głupkowskim pilotem, odnajdzie ich w mroźnym pustkowiu arktycznej Norwegii? Głowa mogła rozboleć od takich rozmyślań. Nie wszystko naraz, upomniał sam siebie St. Ives. Na pożegnanie, oprócz uścisku ręki, zostawili Jackowi kompas, po czym ruszyli na południe z zamiarem ścigania Narbonda na lądzie. Wierzyli, że Jack jakoś sobie poradzi.

Gdzie może być teraz Ignacio Narbondo? Zapewne wraz z Hargreavesem wypłynął z Dover kilka, może kilkanaście godzin temu, niewątpliwie pod fałszywym nazwiskiem. Rzecz w tym, że człowiek sprzedający bilety na prom do Ostendy, któremu St. Ives bardzo dokładnie opisał sylwetkę doktora - garb, gąszcz tłustych włosów, płaszcz - absolutnie nie przypominał sobie takiego pasażera. Ba, nikt takiego człowieka tutaj nie widział, ale mógł on przecież dostać się na prom nie zauważony, bardzo wczesnym rankiem...

Trzeba się było też liczyć z tym, że St. Ives popełnił jakiś kolosalny błąd w swych rachubach - lub że Narbondo oszukał ich wszystkich, że wodził ich za nos przez cały ten czas. Skąd pewność, że nie jest teraz w drodze do - powiedzmy - Reykjavíku, by tam rozpętać piekło w wulkanicznym sercu Islandii? A może siedzi sobie teraz w wygodnym fotelu gdzieś w Londynie i śmieje się w kułak? Co w takiej sytuacji może zrobić on, St. Ives? Podążać dalej, jak nakręcany blaszany żołnierz. Profesor wyobraził sobie siebie, jak zapuszcza się w skandynawskie lasy i krąży bez celu pośród drzew, niczym zdychający renifer.

Ale już w Ostendzie, gdy zelżał deszcz i wiatr trochę ucichł, St. Ives, poczuwszy stały grunt pod nogami, odzyskał także pewność siebie. Na lodowatej stacji jakaś kobieta mieszała w kotle pełnym małży, dorzucając doń garście szalotek i grudy masła. Ze środka unosił się taki aromat, że St. Ivesowi zakręciło się w głowie.

- Piwo i małże - rzekł do Hasbro - mogą postawić człowieka na nogi.

- Bez dwóch zdań, sir. Dorzuciłbym do tego bochenek chleba, by zapęłnić brzuch.

- Dobry pomysł - zgodził się profesor i zdjęwszy kapelusz, podszedł do sprzedawczyni. Od razu wzbudziła jego sympatię. Była tęga, lekko przygarbiona i ubrana w suknię wielką jak namiot. Sprawiała wrażenie odpornej na wszelkie nieszczęścia, nawet na komętę. Do sprytnie złożonej w kształcie koszyka gazety wsypała tyle czarnych, ociekających wodą małży, że o mało nie wyleciały na podłogę. Puściła do profesora oko, wyłowiła z kotła olbrzymią sztukę, po czym wsunąwszy kciuki w szczelinę lekko rozwartej muszli szybkim szarpnięciem wydobyla mięczaka na światło dzienne. Następnie podważyła palcem różowy miąższ i smakowity kąsek wpadł jej wprost do ust.

- Są tacy, co wolą ich nie przeżuwać - wyjaśniła po angielsku - ale nie ja. Inaczej po co w ogóle je jeść? Równie dobrze można by połknąć żabę.

- Zgadzam się całkowicie - odparł profesor, nie mając nic przeciwko krótkiej pogawędce. - Tak samo jest z ostrygami. Zawsze uważałem, że nie powinny ot tak, prześlizgnąć się przez przelyk. To głupi zwyczaj.

- A jakże! - potwierdziła kobieta. - Niech pan sobie wyobrazi żołądek takiego gościa, pełen tych stworzonek w całości... no wie pan, pluskających jak rybki w wiadrze. - Znow zanurzyła chochlę w kotle, wyłowiła małża i przeżuwała go z widocznym zadowoleniem, lecz nagle skrzywiła się i włożyła palec do ust.

- Perła! - wyjaśniła pokazując trzymaną w palcach malutką opalizującą kuleczkę, ze dwa razy większą niż główka od szpilki, po czym wysunęła szufladkę wózka, na którym stał kocioł, i powiększyła spoczywającą na jej dnie wielotysięczną kolekcję podobnych kulek o jeszcze jedną sztukę.

- Nie znoszę tych okrucichów - oznajmiła, krzywiąc się. Całe to przedstawienie stepiło nieco apetyt St. Ivesa. Sterta małych małży w jego koszyku, przykryta warstwą krzepnącego masła, drobinami czosnku i szalotkami, przypomniła mu o pewnych nieszczęsnych kolacjach spożywanych w Bayswater Club. Zdobył się tylko na słaby uśmiech i patrząc na zabieganych ludzi zastanawiał się, czy on i Hasbro nie powinni do nich dołączyć.

- Pewien człowiek połknął dzisiaj muszlę razem z małżem - powiedziała handlarka kręcąc głową. - Niech pan sobie spróbuje to wyobrazić. Jego przełyk musiał się nieźle napracować, że tak powiem.

- Połknął wszystko, mówi pani?

- Co do joty. Schrupał, jakby to był marcepan, niech ja skonom. Potem wziął kolejną sztukę, odgryzł połowę i dopiero kiedy się zorientował, co je, wypluł to świństwo tam na ścianę. Powinno jeszcze być widać te resztki, mimo że ptaki miały tam używanie. O, o tam! Widzi pan tę smugę? Tylko ta plama została.

St. Ives patrzył badawczo na kobietę.

- Jakiej postury był ten człowiek?

- Kto?

- No ten, co połykał muszle. Taki wielki, z brodą? Sprawiający wrażenie, że zaraz spadnie w szaf?

- A owszem, owszem. Kłął szpetnie, ale nie na muszle, tylko na te biedne ptaki, które przyleciały, by pożywić się tym, co on wypluł tam na ścianę. Widzi pan to przecież. Ja nigdy w życiu...

- Czy był z nim pewien garbus?

- Pewnie że był - padła odpowiedź. Kobieta cały czas mieszała niedbale w kotle. - Taki mały, niechlujny, z lekkim uśmieszkiem... Chyba myślał, że świat jest zabawny. Ale świat wcale nie jest zabawny, panowie. Od pół godziny zawracacie mi głowę i nikt inny przez ten czas nie kupił u mnie nawet muszelki. Jestem przekonana, że odstraszyliście mi niejednego klienta, na dodatek nie dostałam jeszcze od was ani pensa - spoglądała teraz groźnie to na jednego, to na drugiego.

- Którą mamy teraz godzinę?

- Jest trzecia, a może czwarta. Albo nawet piąta. Ale chyba wcześniej.

- Dziękuję przejmie - St. Ives sięgnął do kieszeni po monetę. Włożył pół korony do wyciągniętej dłoni kobiety, co ją wprawiło w lekkie osłupienie, i razem z Hasbro pobiegli ku wyjściu na drugim końcu hali. Każdy z nich w jednej ręce niośł torbę, a w drugiej dzierzył papierową tutkę z małżami. Ulice były jeszcze mokre, ale chmur było coraz mniej - wiatr, już nie tak silny, jak przedtem, rozpraszał je w zapadającym zmierzchu. Mijali właśnie ledwie powłóczącego nogami, skulonego z zimna człowieka - podtrzymywał ręką

poły pozbawionego guzików palta, a jego spodnie wyglądały tak, jakby je podwędził jakiemuś olbrzymowi. St. Ives, chcąc spełnić dobry uczynek, usiłował wcisnąć biedakowi swoje małże, lecz ten najwyraźniej źle odebrał ten gest; jego spojrzenie wyrażało zaskoczenie i wstręt. Po chwili wykonał szeroki zamach i posłał koszyk wraz z jego zawartością do rynsztoka. St. Ives oddalił się pośpiesznie, myśląc sobie, jak trudno jest zrozumieć drugiego człowieka i jak cienka granica oddziela głupotę od najlepszych intencji.

Pół godziny później znów byli w wagonie sypialnym pociągu jadącego do Hjorring, przez Amsterdam i Hamburg. Stamtąd, duńskim promem, raz jeszcze popłyną przez Morze Północne, a potem przez Oslofjord do Norwegii.

St. Ives postanowił czuwać całą noc; chciał obserwować kometa, kiedy ta po północy pojawi się nad horyzontem. Jednak po tylu nie przespanych nocach spędzonych w obserwatorium i po długiej, męczącej podróży nie wytrzymał. Całkiem smaczny posiłek w wagonie restauracyjnym i duża ilość wypitej brandy uśpiły go błyskawicznie. Kometa odbyła podróż po nieboskłonie bez jego udziału.

Hargreaves zdążył w Oslo pobić do nieprzytomności jakiegoś człowieka jego własną laską. W Trondheim, na dwie godziny przed przybyciem ekspresu, którym podróżowali St. Ives i Hasbro, wpadł w szal i zagroził wysadzeniem w powietrze wozu handlarza warzywami, lecz zdołał tylko wyłamać kopniakami szprychy w jednym z kół, zanim Narbondo go odciągnął. Musiał potem tłumaczyć służbom porządkowym, że ten człowiek jest psychicznie chory i właśnie odwozi go do sanatorium w Narvik.

St. Ives rwał się do dalszej drogi, ale nie pozostało im nic innego, jak cierpliwie czekać na małej stacyjce z czerwonej cegły. Profesor z napięciem obserwował przez okno opustoszały peron. Każda minuta opóźnienia wydawała mu się wiecznością. Wzdrygał się, gdy ze świstem wypuszczano parę z oczekującej lokomotywy, bo przywodziło mu to na myśl groźną eksplozję. St. Ives widział, że Hasbro również ma dosyć tej bezczynności; siedział na skraju ławki, pochylony do przodu, jakby chciał w ten sposób przynaglic pociąg do odjazdu. Wreszcie, po trzech fałszywych alarmach, lokomotywa ruszyła gwizdząc przenikliwie i znów byli na szlaku. St. Ives modlił się, żeby maszynista dokładnie rozumiał jego przetłumaczoną z angielskiego prośbę, by zarządził nie planowany postój w tundrze niedaleko od Mt. Hjarstaad. Musiał chyba zrozumieć, bo skwapliwie przyjął sakiewkę zawierającą „kawowe” tabletki. Prawdopodobnie potraktował to jako zapłatę.

Już dawno zapadł mrok, a wraz z nim zupełnie ustał deszcz. Poszarpane chmury, gnane arktycznym wiatrem, wędrowały po niebie, a pomiędzy nimi widać było jaskrawo świecące gwiazdy. Pociąg leniwie pokonywał wzniesienie pozostawiając za sobą pióropusz pary, by po kilku minutach znów mknąć co sił przez górzysty krajobraz.

Po raz kolejny ogarnęło St. Ivesa nerwowe podniecenie, połączone ze świadomością ryzyka związanego z pościgiem. Co chwila wyjmował z kieszeni zegarek, często nawet nań nie spoglądając, to znów poprawiał i tak rozluźniony kołnierzyk, wpatrując się w tory biegnące łukiem po drugiej stronie skalnego płaskowyżu. Nagle pociąg wszedł w zakręt, tak że lokomotywa stała się widoczna na pół mili.

Mozolna wspinalczka pociągu na strome zbocza doprowadzała profesora do szału; powracały obawy, że cały ich trud pójdzie na marne, że gdy dotrą na szczyt następnego wzniesienia, ujrzą, jak połowa Skandynawii wylatuje w powietrze - zapadające się górskie zbocza, fruujące skały... Ale zaraz wjadą na kolejny pozbawiony drzew szczyt po torach ułożonych na krawędziach bezdennych przepaści, by znów pognać w dół z przerażającym łomotem i świstem. Ten hałas wzrastał się jeszcze, gdy przejeżdżali przez tunel; zapadała wtedy zupełna ciemność, a po chwili znów oczom podróżnych ukazywało się niebo pełne gwiazd - lecz nie na długo, bo zaraz czekał na nich kolejny tunel. Gdy pociąg mknął przez zimną norweską noc, St. Ives i Hasbro lgnęli do szyby i patrzyli w niebo, przyjmując z ulgą fakt, że wiatr przegonił ostatnie rozproszone chmury. Nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, rozbłysła zorza polarna i niebo przecinały teraz delikatne zielone, czerwone i niebieskie smugi, co przypominało półprzeźroczysty bożonarodzeniowy gobelin rozwieszony na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Udało się! - krzyknął St. Ives zrywając się z miejsca i omal nie wypadł na korytarz, gdy wtargnęli z hukiem w kolejny tunel. - Udało mu się! Kraken nie zawiódł!

- Naprawdę?

- Z całą pewnością - zapewnił profesor ożywionym głosem.

- Bez cienia wątpliwości. Zorza polarna, przyjacielu, powstaje za sprawą ziemskiego pola elektromagnetycznego. Prosta zależność - nie ma pola, nie ma zorzy. Gdyby maszyna lorda Kelvina wykonała swoje zadanie, ten barwny pokaz, który teraz podziwiamy, nie mógłby się odbyć przez Bóg jeden wie ile straszliwych lat. Ale oto jest! Stary, poczciwy Bili.

Zanim jeszcze St. Ives skończył wygłaszać tę radosną nowinę, wydostali się z tunelu i raz jeszcze mogli podziwiać rozświetlone niebo. Mijali właśnie potężny wodospad, spadający w kamienisty wąwóz.

W ciągu następnych godzin przejechali jeszcze przez wiele tuneli. Można było odnieść wrażenie, że ta podróż nigdy się nie skończy, że pokonują wciąż tę samą pętlę torów, co mogłoby być koszmarną pułapką zastawioną przez doktora Ignacia Narbondo.

Wreszcie, nie żałując pary, pociąg wspiał się na kolejne nagie wzniesienie. Daleko w dole, po zachodniej stronie, ujrzeni światło księżyca odbite od pomarszczonej powierzchni fiordu, ciągnącego się od odległego

Morza Norweskiego. Po ich prawej stronie wypadał spośród skał rwący potok, wzdłuż którego jechali już od dawna. Okrążywszy zbocze Mt. Hjarstaad zniknął w mroku, gdzie spadał kaskadą w pustkę. Wiadukt łączący oba brzegi wodospadu prowadził na porośniętą tundrą płaskowyż, gdzie przechylone skały rzucały nieregularne cienie.

Z przodu, jakieś dziesięć metrów od toru, widać było w świetle księżyca dziwny w tym miejscu przedmiot. Był to kufer z otwartym wiekiem i zupełnie pusty. Sto jardów dalej leżała podobna skrzynia, także opróżniona i przewrócona na bok. Pociąg przejechał obok nich, po czym, gwizdząc przeraźliwie - profesor aż się skulił - zahamował. Koniec zabawy - pomyślał St. Ives, patrząc, jak Hasbro wyrzuca ich torby na śnieg. Wskoczyli w ślad za bagażem i pociąg natychmiast ruszył dalej na północ, do Hammerfest, pozostawiając świat i dwóch rozbitków ich własnemu losowi.

Profesor ruszył pośpiesznie ku zboczcu Mt. Hjarstaad. Podążali w górę ścieżką biegnącą skrajem wąwozu, którym płynęła rwąca, grzmiąca rzeka.

- Obawiam się, że nasze przybycie zostało ogłoszone przez megafon - krzyknął St. Ives przez ramię.

- Może przez ten hałas wodospadu... - zaczął Hasbro, lecz reszta słów utonęła w huku spadającej wody.

Mężczyźni pieli się w górę coraz bardziej stromego zbocza, trzymając się szlaku i głębokich cieni rzucanych przez skalne ściany. St. Ives wymacał obecność twardego, obcego kształtu pod płaszczem. Chciał się tylko upewnić, czy rewolwer jest na swoim miejscu. Sam był niemal sztywny z zimna, nie tylko za sprawą arktycznego, wilgotnego powietrza. Zmroziła go także myśl, że oto przeżywa na jawie najpotworniejszy i najczęściej go nawiedzający ze wszystkich nocnych koszmarów. Nagle wodospad wydał mu się londyńską ulewą. Rozróżnił w zwielokrotnionym przez echo huku kaskady odgłos końskich kopyt uderzających o bruk i oddanych w śmiertelnym pościgu strzałów.

Nagle poczuł taki wstręt do zatkniętej za pas broni, jakby był to jadowity gad, a nie przedmiot ze stali i mosiądzu. Sama myśl o użyciu tego przedmiotu do zabicia innego człowieka wydała mu się jednocześnie absurdalna i nadzwyczaj rozsądna. Zawsze kierował się racjonalizmem i logiką, lecz teraz jego umysłem zawładnęły sprzeczności - na wpół uświadomiona żądza zemsty oraz pragnienie ocalenia. Te uczucia kłębiły się w jego głowie niczym spadająca w otchłań kaskada.

Nagle rozległ się krzyk, a po nim odgłos wystrzału. St. Ives, pchnięty od tyłu, potoczył się na głaz wielkości karety. Musiał osłonić rękami głowę, bo leciał na niego grad kamieni. Skała, nie mniejsza niż koło od wozu, zatoczyła nad nim łuk, by zniknąć gdzieś w mglistej przepaści. Wreszcie, korzystając z pomocnego ramienia swego służącego, podniósł się na kolana i spojrzął w

górze. Dostrzegł w mroku brodatego mężczyznę z rozwianymi włosami, przeskakującego z jednej skalnej półki na drugą. Nie mogło być wątpliwości, że to Hargreaves. Hasbro wyciągnął broń, oparł rękę na skale i wypalił dwukrotnie w kierunku oddalającej się postaci. Kule zadzwoniły o skały dwadzieścia stóp przed celem, ale i tak efekt był zdumiewający - anarchista, skacząc niczym kozica, momentalnie zniknął wśród wielkich głazów.

St. Ives wstał podpierając się o skalną ścianę. Hasbro trącił go lekko w ramię, by zwrócić na siebie uwagę. Bez słów pokazał najpierw na siebie, a potem na zbocze góry. Profesor skinął przyzwalająco głową i jego przyjaciel ruszył w górę po przełęczy, znikając zaraz pośród granitowych bloków.

St. Ives zmagał się przez chwilę z pokusą, by usiąść tu, na miejscu, i czekać na powrót służącego. Nie mógł jednak tak postąpić; stawka była zbyt wielka. Była też pamięć Alicji - zawsze obecnej w jego myślach. Nie mógł wykluczyć, że to zemsta była motywem jego działania, ale jeśli nawet - to co? Musiał mieć jakiś impuls, który będzie go pchał naprzód. Dlaczego nie miałyby to być czysta nienawiść?

Posuwał się powoli i bardzo ostrożnie, nie chcąc podążyć śladem głazu, który nie tak dawno przeleciał nad jego głową. Zmarznięty grunt chrzęścił pod jego stopami. W pewnej chwili po jego prawej stronie zbocze otworzyło się i oczom profesora ukazała się głęboka kamienna niecka w kształcie odwróconego stożka, na dnie której migotało odbiciem niezliczonych gwiazd ciche górskie jezioro. Niebieskie i czerwone refleksy zorzy czyniły ten widok tak niezmiernie pięknym, że St. Ivesowi wydał się snem.

Profesor ocknął się i ruszył dalej pod górę, pokonując ostry zakręt. Z tego miejsca mógł już dostrzec krawędź dymiącego krateru, na której usadowił się nadęty złością doktor Narbondo. Miał ze sobą mechaniczną sprężarkę, a jego głowę i ramiona otaczały wyziewy unoszące się znad bulgocącego błota. Hargreaves biegał wokół doktora jak opętany, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze, jakby boso stąpał po rozgrzanym chodniku.

Byli jeszcze zbyt daleko, by do nich strzelać, ale St. Ives zmusił się, by wydobyć zza pasa pistolet. Cicho, ale z przejęciem zaczął nucić „Boże chroń królową.” Właściwie to, co śpiewał, nie miało znaczenia; potrzebował jakiejś melodii i kilku słów, by oczyścić umysł ze zbędnych myśli.

Narbondo pracował gorączkowo. Co chwila oglądał się przez ramię, by zbadać wzrokiem kamieniste zbocze. St. Ivesowi nie pozostawało nic innego, jak tylko wyjść z ukrycia i ruszyć wprost na tych dwóch. Ale gdy się odsoni, może zupełnie pozbawić się szans... Śpiewał teraz głośniej, ale słowa myliły mu się na myśl, że Hargreaves może go teraz z łatwością zabić. Przez moment rozważał ewentualność powrotu do miejsca, gdzie Hasbro wszedł między skały, i podążenia jego śladem. Ale to byłaby ucieczka, a na to nie mógł sobie pozwolić.



Stanął na szeroko rozstawionych nogach i uniósł broń. Hargreaves mocował się akurat z wielką torbą. Wyciągał z niej większe i mniejsze części jakiegoś mechanizmu, które próbował ze sobą połączyć. Wiatr niósł w dół jego przekleństwa. Narbondo miotał się obok olbrzyma, nerwowo spoglądając to w dół, to za siebie, aż wreszcie oczy jego i St. Ivesa spotkały się. Nawet z daleka i w blasku księżyca można było odczytać wyraz twarzy Narbonda - malowały się na niej nienawiść, strach i opętanie. Przez moment stał zupełnie bez ruchu, jakby ujrzał tam w dole swe przeznaczenie.

Otoczające skały zwielokrotniły echem odgłos wystrzału. Narbondo wykonał półobrót, łapiąc się przy tym za ramię i klnąc siarczyście. Poruszył kontrolnie ręką w górę i w dół, odepchnął Hargreavesa na bok i sam zajął się zawartością torby, wykrzykując jakieś rozkazy. Hargreaves wkrótce zniknął za stertą kamieni i St. Ives ledwie zdążył znaleźć schronienie, gdy anarchista wychylił się i strzelił do niego, na szczęście niecelnie. Następny strzał rozległ się już bliżej; St. Ives przez krótką chwilę widział Hasbro, jak przeskakuje przez granitowe osuwisko w poszukiwaniu kolejnej osłony. Hargreaves obrócił się i wypalił w jego kierunku. St. Ives podniósł się i ruszył pośpiesznie w górę, oddychając ciężko w rozrzedzonym powietrzu. Znowu rozległ się huk wystrzału i granitowy pył zasypał jego twarz, niemal go oślepiając. Profesor mrugnął kilka razy, splunął i czołgał się dalej, aż ujrzał olbrzyma wprost nad sobą. Hargreaves padł na ziemię jak długi, lecz zaraz zerwał się na nogi i wypalił dwukrotnie. Kule świsnęły tuż obok głowy St. Ivesa, nie drasnąwszy go.

St. Ives przylgnął do ziemi. Granitowy pył drażnił jego nozdrza. Przetarł łzawiące oczy i uśmiechnął się gorzko. Bezpośrednie zagrożenie, jak morska fala, zmyło gnębiące go wcześniej wątpliwości. Podniósł się, by ściągnąć na siebie ogień Hargreavesa i schylił się znowu, słysząc dwa niemal równoczesne strzały - Hargreavesa i Hasbro. Wyprostował się i oparł ramię na zimnej skale, szykując się starannie do strzału. Olbrzym był już daleko i poruszał się zbyt szybko, a on nie był najlepszym strzelcem. Cóż, zwlekał zbyt długo i pozwolił tamtemu uciec.

Powrócił na ścieżkę, licząc się z tym, że może zostać trafiony, ale też spodziewając się osłaniającego ostrzału Hasbro. Świsnęły dwa kolejne pociski, mniej więcej z tego samego kierunku, lecz St. Ives zignorował je; jego celem był teraz tylko Narbondo, który pracował jak opętany, rzucając w kierunku profesora niespokojne spojrzenia. Wołał na pomoc Hargreavesa, lecz wodospad zagłuszał jego krzyk. St. Ives zbliżał się, unosząc rękę z rewolwerem. Nie zadał sobie nawet trudu, by przeładować broń po ostatnich strzałach, ale jakoś nie miało to teraz dla niego większego znaczenia. Chciał tylko zacisnąć ręce na szyi Narbonda. Poprzednim razem się nie udało; teraz nie może zawieść.

Usłyszał ostrzegawczy krzyk - poznał głos Hasbro - i obrócił się ku

nadchodzącemu Hargreavesowi. Ten zupełnie nie zwracał uwagi na Hasbro, który stał nieruchomo jak posąg z bronią wycelowaną w sam środek jego pleców. Narbondo zdawał się ignorować ich wszystkich, jakby wolał zginąć, niż zrezygnować ze swojej przerażającej wizji. Patrzył tylko w górę, osłaniając ręką oczy, jakby przeszkadzał mu blask księżyca. St. Ives podążył za jego wzrokiem. Na tle błękitnej poświaty zorzy ujrzał płynącą po niebie owalną sylwetkę obniżającego lot sterowca.

St. Ives rzucił się naprzód. Widok sterowca przywrócił go do rzeczywistości, przypominając, że nie jest to wyłącznie sprawa pomiędzy nim i jakimś złoczyńcą - że to jest sprawa honoru. Pistolet Hargreavesa wypalił i w tym samym momencie kula ugodziła profesora w ramię. St. Ives krzyknął i upadł na kolana. Jego broń zatoczyła łuk i zniknęła w otchłani po drugiej stronie ścieżki, a on sam, pełząc niczym krab, znów szukał schronienia pośród skał.

Usłyszał przeraźliwy wrzask. Kiedy spojrział w górę, zobaczył, jak olbrzym podskakuje obok Narbonda, a obaj głośno złorzeczą. Hasbro z determinacją parł w ich kierunku; Narbondo wciąż z zapalem majstrował przy detonatorze. Wiedział już, że nie zdąży, że niewiele zostało mu czasu. St. Ives czuł się niemal szczęśliwy, lecz nie było w tym ani odrobiny triumfu. Przytrzymując krwawiące ramię odważył się wyjść na ścieżkę.

Hargreaves uniósł rękę, by strzelić do Hasbro, ale z jego broni nie wydobył się żaden dźwięk, mimo że nie przestawał naciskać spustu. Ze złością odrzucił pistolet i chwycił torbę, jakby chciał rzucić ją Hasbro w twarz. Zamachnął się i trafił Narbonda w plecy, krzycząc coś przy tym do niego. Hasbro tkwił nieruchomo na zboczu dwieście stóp niżej. Wymierzył spokojnie, dokładnie - i strzelił.

Hargreaves przez moment tańczył chwiejnie na skraju krateru, by w końcu runąć w gardziel wulkanu. Narbondo próbował jeszcze wyrwać torbę z ręki nieszczęśnika, ale bezskutecznie.

Przez chwilę nikt nie śmiał się poruszyć; trwali tak w oczekiwaniu, aż wreszcie ziemia zakołysała się przy akompaniamencie podziemnego grzmotu. To eksplodowała w ogniu wulkanu lotna zawartość torby Narbonda. Trzej mężczyźni padli na ziemię, podczas gdy gasnące echo wybuchu zostało zagłuszone przez niski pomruk osuwającej się skalnej lawiny. Pierwszy zerwał się Hasbro; ruszył w kierunku krateru i wymierzył broń w Narbonda, który stał teraz bez ruchu, przyjmując pozę skazańca. Zwiesił głowę jak człowiek pokonany w chwili, gdy triumf był już tak blisko. Podniósł ręce do góry w geście rezygnacji.

Nagle, nie patrząc za siebie, zerwał się i ruszył w dół, w kierunku zaskoczonoego St. Ivesa, z każdym krokiem nabierając rozpędu.

- Strzelaj! - krzyknął profesor do służącego, ale było to niewykonalne,

dopóki on sam stał na linii ognia. Usiłował dotrzeć do niewielkiej kotlinki, podczas gdy Narbondo zbliżał się wielkimi susami, nie zważając, co na drodze. Jego twarz wyrażała zarazem strach i zdziwienie. Profesor zatrzymał się, gotów stawić czoło napastnikowi, lecz zrozumiał w mig, że ten zmiążdży go jak rozpędzony pociąg. Nie pozostało mu nic innego, jak znów ruszyć w dół. Słyszając zbliżające się kroki zdał sobie sprawę, że lada moment tamten go dopadnie. Ścieżka stała się szersza, ale byli teraz na ostrym zakręcie i St. Ives mógł dostrzec światło gwiazd odbite w nieruchomej powierzchni znajdującego się na dnie kotliny stawu. W jednej chwili pojął grozę sytuacji - Narbondo pędził zbyt szybko. Nie zdoła wyhamować na zakręcie i zostanie wyrzucony w bezdenną otchłań. Nie było już dla niego ratunku.

Szerokiej drogi - pomyślał, lecz w tym momencie niemal instynktownie zaparł się o dwie skały i zdołał wyciągnąć rękę, by pochwycić szarżującego Narbonda. Doktor przemknął jednak obok jak rozpędzony ekspres. St. Ives zamiast chwycić go za ramię, odbił się tylko od niego i potoczył na skały. Narbondo również stracił równowagę; jego stopy zgubiły rytm, gdy próbował za wszelką cenę się zatrzymać. Nagle, wyrzucony jak z katapulty, przekoziółkował w powietrzu niczym cyrkowy akrobata i odbiwszy się od skalnej ściany, zjechał po śliskim osypisku, aż w końcu runął do ciemnego stawu. Zniknęło lustrzane odbicie rozgwieżdżonego nieba, migotały tylko tańczące bezładnie plamy. Lecz nim Hasbro dotarł do miejsca, gdzie profesor tkwił wpatrzony w taflę jeziora, ta stała się znów spokojna jak przedtem.

- Nie widać go - wyjaśnił krótko St. Ives.

- Wyplynie?

- Trudno powiedzieć. Taki upadek musiał pozbawić go tchu, mógł nawet zabić. Pozostanie na dnie, dopóki ciała nie wypełnią gazy rozkładu. Woda jest na tyle zimna, że może znacznie spowolnić ten proces. Może go nawet wydłużyć w nieskończoność. Poczekamy tu chwilę, by nabrać pewności, ale coś mi się zdaje, że już zbyt wielki szmat życia spędziłem na oczekiwaniu.

Hasbro milczał.

- Czy mogłem go uratować w ostatniej chwili?... - zastanawiał się St. Ives.

- Raczej wątpliwe, sir. Ja tam z radością bym go zastrzelił. Zresztą nie opłacałoby się ratować go przed szubienicą. I tak nie zdołałby drugi raz uciec z więzienia w Newgate.

- Naprawdę chciałem go złapać, przewrócić na ziemię, ale zamiast tego chyba go jeszcze popchnąłem.

- Moim zdaniem był to raczej gest miłosierdzia - rzekł Hasbro. St. Ives spojrział na niego ze znużeniem.

- Tak naprawdę niewiele z tego rozumiem. Ale to już koniec. To znaczy koniec tego rozdziału - profesor wskazał głową w kierunku wielkiego białego

ognia na horyzoncie. Obaj mężczyźni podążali teraz wzrokiem za płomienną kulą pędzącą po nieboskłonie. Ogromny obiekt zdawał się zbliżać, jakby zamierzał połknąć kruchą planetę w całości. Hasbro spokojnie pokiwał głową.

- Czy mam pozbierać ich ekwipunek, sir?

- Będziemy tych wszystkich rzeczy potrzebować, i to szybko - potwierdził profesor. - Czekają nas jeszcze długa i bardzo męcząca podróż, nim zobaczymy peruwiańskie szczyty. - St. Ives westchnął ciężko. Zranione ramię zaczynało rwać. Odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na jezioro, gdzie Narbondo znalazł swój lodowy grób. Jego starcie z Narbondem odbyło się tak szybko - w jednej szalonej sekundzie. Był zupełnie na to nie przygotowany i właściwie nic nie zrobił. Można by rzec, że jakaś wyższa władza kierowała tym wszystkim, chcąc mu pokazać, jak niewiele znaczą nawet najbardziej pieczołowicie ułożone ludzkie plany.

Londyn. Kraken oparł się o balustradę mostu Waterloo i z uśmiechem spoglądał na Tamizę. Dwie kwarty Bass Ale wprawiły go w przyjemny, radosny, ciepły nastrój. Jutro powita swych towarzyszy, dziś zaś zobaczy, jak wschodzi - z każdym dniem mniejsza - kometa. Dopiero około pomocy skończył czytać ostatni rozdział swojego zniszczonego egzemplarza „Pocztu naukowców Londynu” Ashblessa. Z radością stwierdził, że choć Akademia Królewska nigdy publicznie nie uznała geniuszu jego dobroczyńcy, to jednak Ashbless poświęcił sporą część swej książki na opisanie dokonań i niezwykłych przygód profesora St. Ivesa.

Kraken zamknął książkę i schował ją do kieszeni. Sprawa maszyny lorda Kelvina miała swój finał trzy dni temu. Był on dość prosty, choć wielce zaskakujący - myszy i węże, które spadły na Leeds na podobieństwo biblijnej plagi, niezwykle zdziwiły miejscową ludność i każdy, od lorda Kelvina po prostego człowieka z ulicy, snuł rozmaite teorie tłumaczące to zjawisko. Także gazety były ich pełne. Każdy reporter - no, może z wyjątkiem Beezera - prowadził śledztwo na własną rękę, ale w końcu Akademia ukręciła łeb sprawie. Pewnej nocy wywieźli zapchaną maszynę, by zdemontować ją gdzieś w sekrecie i wkrótce o niej zapomnieć.

Biedny lord Kelvin - pomyślał Kraken kiwając głową. Niezwykły widok fruującej zwierzyny musiał nieźle nadszarpnąć jego nerwy; może nawet bardziej, niż doprowadzenie do ruiny jego aparatu. No i te paskudztwa, które zapchały rurę tuż przed eksplozją... Kraken zachichotał. Najdziwniejsze, że nie odczuwał specjalnego triumfu. Gnębiły go pewne pytania natury moralnej. Chociażby o konsekwencje niepowodzenia misji jego lordowskiej mości. A także pytanie, czy można poświęcić parę głupich zwierząt, by ocalić rodzaj ludzki. Kraken był pełen wątpliwości, ale wiedział jedno - nie odpowiadała mu wizja świata opanowanego przez mutanty.

Ach, ci naukowcy - pomyślał. Skakali wokół tej maszyny jak stado

diabłów i nie było chyba takiej sztuczki, której by nie próbowali, by wywrócić Ziemię na drugą stronę, jak stare portki. Jeden ciągnął za nogawkę, podczas gdy drugi napełniał kieszenie prochem. I oto na horyzoncie, jakby za sprawą magicznej sztuczki, ukazała się kometa i wszystkie gwiazdy poblądły, jak uliczne latarnie, które tracą swój blask w świetle dnia.

Kraken podniósł palce do kapelusza, jakby chciał zaszalutować rozgwieźdżonemu niebu, i ruszył w drogę. Przemaszerował w pobliżu mostu Westminster i siedziby Parlamentu, po czym wsiadł do czekającej dwukółki, zatrzymując się tylko na moment, by jeszcze raz spojrzeć na wspinającą się po niebie kometa. Ujął w dłoń wodze, wzruszył ramionami i wychylił się, by poklepać bok konia. Sukces - pomyślał, gdy ruszyli pomalutku w kierunku Chingford - sukces to rzecz, w najlepszym wypadku, względna.

## Część druga

### Zatopione statki

Opowiadanie Jacka Owlesby'ego Jak poznałem szaleńca z dorożki W pewien pochmurny grudniowy dzień schodziłem akurat w dół Holborn Hill, niosąc blaszane pudełko z herbatnikami i pół kilograma brazylijskiej kawy, kiedy za gospodą Perkinsa eksplodował jakiś magazyn. Dym, kawałki desek i poskręcane arkusze blachy poszatkowane przez wybuch wystrzeliły z przecznicy łączącej Kingsway i Newton Street i spadły na nielicznych przechodniów jak jesienne liście.

Mnie to, dzięki Bogu, ominęło, ale i tak, oszołomiony, wylądowałem w rynsztoku, gubiąc po drodze kawę i ciasteczka. Nie zdążyłem jeszcze wstać, gdy z wylotu ulicy wytoczył się zakrwawiony mężczyzna i upadł na chodnik.

Podbiegłem chcąc udzielić mu pomocy, lecz zaraz sam znalazłem się w tarapatkach, gdy nastąpił kolejny wybuch, który odrzucił mnie aż na fronton piekarni. Nim zasypała mnie lawina świeżych bułek, rozbiłem własnym ciałem okno wystawowe, nie oszczędzając nawet stolarki.

I znów potężny huk, tym razem odgłos zapadającego się dachu. Raz jeszcze chmura czarnego dymu przesłoniła ulicę, a szalejący pożar przywodził na myśl rozruchy z czasów Gordona. Po tym wszystkim byłem jeszcze w stanie chodzić, jeśli można to nazwać chodzeniem, i razem z piekarzem ściągnęliśmy poszkodowanego mężczyznę na pobocze usłane moją brazylijską kawą. Nasz trud okazał się daremny; na pierwszy rzut oka widać było, że mężczyzna nie żyje. No cóż, nawet nieboszczyka nie należy pozostawiać na pastwę płomieni.

Nagle, z powodu gęstego dymu, przestałem widzieć cokolwiek. To płonęła fabryka papieru, co w końcu czasem się zdarzało, tyle że parę zbiegów okoliczności czyniło tę tragedię mniej zwyczajną. Otóż w miejscu zdarzenia przebywał niejaki Theophilus Godall - może jeszcze nie wiecie, jakie to ma znaczenie dla sprawy, a może już wiecie. Co więcej, papiernia nie była ot takim zwyczajnym zakładem - niemal bezpośrednio sąsiadowała z opuszczonym warsztatem nadzorowanym przez Akademię Królewską, który służył teraz raczej jako swoiste, niedostępne dla publiczności muzeum, mieszczące wynalazki wielkiego lorda Kelvina i innych genialnych umysłów będące na usługach Akademii.

Nazywam się Jack Owlesby i jestem przyjacielem profesora Langdona

St. Ivesa, który jest największym chyba na zachodniej półkuli, choć nie docenianym i zbyt mało znanym podróżnikiem i naukowcem. Oscar Wilde powiedział niedawno: „Pokażcie mi bohatera, a ja napiszę dla was tragedię”, lub coś w tym sensie. Równie dobrze mógł wziąć na warsztat naszego profesora. Osobiście najchętniej opiewałbym same bohaterskie czyny, bo to łatwiejsze, a już na pewno wtedy, kiedy mowa o takiej postaci, jak Langdon St. Ives. Może czytaliście już o jego wyczynach; jeśli tak, to wspomnę tylko, że cała historia związana z wybuchem w papierni też w końcu przestanie być dla was zagadką. Jeśli chodzi o pana Godalla, to jest on właścicielem sklepu tytoniowego przy Rupert Street w Soho, ale poza tym można by o nim jeszcze wiele ciekawego powiedzieć.

Szczęściem w nieszczęściu było, że tego dnia wiał bardzo silny wiatr ku Tamizie. Rozpraszał dym niemal natychmiast i widoczność na ulicy była dość dobra, dopóki nie nadciągnęła kolejna czarna chmura. Wybuch ściągnął tłum ciekawskich, ale nie stali gapiąc się tylko, jak to tłum ma w zwyczaju. Dwóch mężczyzn próbowało nawet podejść bliżej ognia, bo obawiali się, że mogą tam być jeszcze uwięzieni jacyś ludzie. Na szczęście, jak się wkrótce okaże, powstrzymał ich piekarz przypominając, że jest niedziela i że papiernia jest zamknięta, jak wszystko inne w tej okolicy z wyjątkiem zajazdu Perkinsa, ale ten wydawał się w tej chwili bezpieczny. Piekarz powiedział też, że nie dalej jak minutę przed eksplozją wyszedł na ulicę, aby się rozejrzeć. Może zapewnić, że nie było na niej żywej duszy oprócz człowieka, którego później znaleziono martwego, oraz pewnego wysokiego, dostojnego dżentelmena w szarym palcie i cylindrze.

Wszyscy zgromadzeni, jak na komendę, spojrzeli w głąb przedstawiającej teraz okropny widok ulicy, każdy myśląc dokładnie o tym samym - ten człowiek w cylindrze, jeśli rzeczywiście się tu kręcił, jest teraz trupem, jak amen w pacierzu. Dwaj mężczyźni, którzy minutę wcześniej rwali się do pomocy, mieli szczęście, że się zatrzymali; jęzory ognia objęły już ceglana fasadę budynku naprzeciwko papierni i solidny kawał muru osunął się właśnie z hukiem wprost na ulicę.

Piekarz, jakby dopiero się ocknął, klepnął się dłonią w czubek łysej głowy i pomknął w kierunku swego sklepu, by wynieść co się da, nim dosięgnie go fala ognia. Musiał jednak natychmiast się cofnąć - było już zbyt gorąco. Pamiętam, jakby to było dziś: biedak załamywał ręce i tupał w rozsypanej kawie tuż obok martwego mężczyzny, bezradnie czekając, aż jego sklep pójdzie z dymem.

Jednak tak się, dzięki Bogu, nie stało; a to z tej przyczyny, że rozpetęła się straszna burza. Już przy pierwszym uderzeniu pioruna każdy myślał, że oto zapadł się kolejny dach. Nagle lunęło jak z cebra, więc piekarz padł na kolana tam gdzie stał i złożył ręce do modlitwy, a strumienie wody spływały mu po

twarży. Wierzę, że wypowiedział choć słowo w intencji nieszczęśnika, który spoczywał tuż za jego plecami, ale jeśli nawet, to bardzo krótkie słówko, gdyż piekarz wstał tak szybko jak ukląkł i wskazał ręką na człowieka w szarym palcie, oddalającego się w kierunku rzeki.

Mężczyzna ten trzymał w ręce laskę, a jego profil, o wydatnym orlim nosie, zdradzał pewną szlachetną dostojność. Ta sama dostojność widniała w jego sposobie chodzenia; szedł majestatycznie jak król, dzięki czemu można było nie zauważyć, że jego okrycie i kapelusz zdradzały oznaki dłuższego użytkowania, a spodnie były poplamione błotem.

Piekarz krzyknął; oczywiście był to ten sam człowiek, który kręcił się tutaj tuż przed eksplozją. Dwóch konstabli przyskoczyło do niego natychmiast, by go aresztować, nie dając mu najmniejszych szans na ucieczkę. Ale przecież i tak nie próbowałyby uciekać; był to bowiem sam pan Godall, do którego to wniosku zapewne doszliście już sami.

Prześadowała mnie myśl, że powinienem stanąć w jego obronie, powiedzieć policji, że aresztowali niewłaściwego człowieka, lecz nie zrobiłem tego; już raz skoczyłem bezmyślnie w to, co dziennikarze czasem nazywają w swój przesadny sposób „żarłocznym smokiem”, mając na myśli ogień. Jeszcze wciąż kuleję od tamtego wydarzenia. Przymknęliby mnie razem z Godallem, jako współnika - tyle bym zdziałał. Moje słowo dla panów konstabli nic przecież nie znaczy. Byłem zresztą pewien, że wypuszczą go najwyżej po dwóch minutach, gdy tylko przekonają się kim jest.

Deszcz jeszcze się wzmógł, o ile było to w ogóle możliwe. Płomienie znikły tak szybko jak powstały i oddział straży, który wreszcie dzwonkiem oznajmił swój przyjazd, nie miał już nic do roboty, jak tylko czekać. Kłęby czarnego dymu również wkrótce się rozproszyły, choć można by oczekiwać czegoś wręcz przeciwnego, biorąc pod uwagę ten niespodziewany deszcz i w ogóle. Po prostu było już po wszystkim; z dogasających zgliszczy unosił się tylko biały, delikatny dymek.

Wydało mi się to wtedy nawet zabawne - ten nagły wybuch, ten gwałtowny pożar... i oto pozostał tylko biały dym. Myślę, że to na skutek przedstawiania z ludźmi pokroju St. Ivesa i Godalla człowiek dopatruje się we wszystkim ukrytych znaczeń. Chociaż to nie całkiem tak; nie chodzi tylko o szukanie we wszystkim sensacji, ale raczej o kreowanie całkiem nowej wersji wydarzeń, co zazwyczaj do niczego sensownego nie prowadzi. Ale nie w tym wypadku. Wystarczyło pomyśleć przez pół minuty, by zrozumieć, że użyto tu bomby zapalającej i sztucznie wytworzonego dymu, którego jednak nie starczyło na zbyt długo. Ten wybuch był z pewnością starannie przygotowany.

Jak się okazało, moje ciastka - ta puszka, którą upuściłem na drodze - zostały dokładnie stratowane, więc ruszyłem w kierunku Jermyn Street z pustymi rękami. To niezły spacer, jak na taki deszcz - chciałem powiedzieć,



że dosyć długi, ale przynajmniej miałem czas spokojnie pomyśleć o dwóch rzeczach: po pierwsze - czy ta popołudniowa tragedia miała jakiś związek z maszyną lorda Kelvina (wskazywała na to obecność Godalla) i po drugie - co powiem Dorocie. Dorota, jeśli jeszcze tego nie wiecie, to moja żona, która nie byłaby zachwycona, że wplątuje się w kolejną awanturę St. Ivesa, zanim jeszcze ostatnia sprawa zdążyła przycichnąć. Miałem takie dziwne przekonanie, że czasownik „wplątać” jest tu najbardziej odpowiedni; chociaż brzmi dość nieprzyjemnie, to jednak dokładnie oddaje stan rzeczy.

St. Ivesa nie było w jego laboratorium w Harrogate. Wyjechał do Londynu, by spotkać się z moim teściem, Williamem Keeble z Jermyn Street, producentem zabawek i wynalazcą. Profesor chciał poradzić się w sprawie budowy pewnego aparatu; nie ma to dla nas żadnego znaczenia, zwłaszcza że ten aparat jest zbyt zwariowany i nieprawdopodobny, by o nim wspominać. Uczyniłoby to tę historię jeszcze bardziej podejrzaną. Dobrze się jednak złożyło, że St. Ives był właśnie w Londynie, bo inaczej musiałbym przesłać mu wiadomość do Harrogate, a wtedy przybyłby tu w pośpiechu być może tylko po to, by stwierdzić, że zmarnował czas.

W końcu udało mi się go znaleźć w barze z ostrygami, w pobliżu Leicester Square. Ulewa już przeszła, ale niebo wciąż pozostawało pochmurne i ciemne, jakby miał spaść śnieg. St. Ives siedział i przeglądał pachnący jeszcze farbą „Standard”. Na pierwszej stronie nie było nawet wzmianki o eksplozji; całą poświęcono jakiejś zupełnie innej dziwacznej historii. I w tym momencie pozwolę sobie na niewielką dygresję.

Chciałbym tu przytoczyć dosłownie tę zdumiewającą historię, ale już nie mam tamtej gazety. Postaram się jednak zaspokoić waszą ciekawość, choć nie gwarantuję, że potrafię sobie przypomnieć wszystkie szczegóły. Nawet gdybym potrafił, to i tak w połowę byście nie uwierzyli. Możecie zresztą w każdej większej bibliotece przeczytać sobie którąś z londyńskich gazet z tamtego dnia, jeśli jesteście tacy, jak Tomasz z pewnego popularnego powiedzenia.

Zauważcie: wcale nie próbuję was nabrać, że niby na własne oczy widziałem tę drugą tragedię, tak jak byłem świadkiem wybuchu w Holborn. To nie będzie ani literackie opowiadanie, ani próba dziennikarskiej relacji, ale raczej koktajl sporządzony z tych obu gatunków, przez co może bliższy prawdy.

„Standard” określił to mianem „tajemniczej afery”, chociaż termin ten, jak sądzę, jest zbyt delikatnym określeniem, a to nie była przecież delikatna sprawa. Otóż na Whitefriars Street omal nie wywrócił się jakiś wóz. Jechał ciężko obciążony na południe, w stronę nabrzeża. Ładunek był przykryty kilkoma warstwami brezentu, obwiązany solidnie na wypadek wiatru czy deszczu. Nieliczni świadkowie twierdzili, że pod plandeką znajdował się też

jakiś mężczyzna. Podobno wychylił się na moment, ale nikt nie zdołał przyjrzeć mu się na tyle dokładnie, by przekazać jego opis. Stwierdzono tylko, że był wysoki i chudy i że nic nie nosił na prawie całkiem łysej głowie.

Ten wóz, gdy próbował skrócić z Tudor Street w Carmelite, zawadził kołem o kamienny krawężnik. Nastąpiło przesunięcie ładunku, czemu towarzyszył przerażający krzyk ukrytego pod brezentem człowieka. Pojazd - jak ryba szamocząca się na zbyt krótkiej żyłce - szarpnął gwałtownie i stanął niemal w miejscu. Konie straciły rytm i iskry wystrzeliły spod tańczących bezładnie kopyt. Cały ten zgiełk prawie zagłuszył jakiś mechaniczny zgrzyt, jakby właśnie ruszała lokomotywa. Woźnica, potężny brodaty mężczyzna, zaklął siarczyście, chwycił cugle i zaczął katować biedne stworzenia, jakby chciał obdrzeć je ze skóry. Jak twierdzą świadkowie, konie robiły wszystko, by ruszyć z miejsca, ale wóz, a raczej jego ładunek, ciągnął je z powrotem w tył i przez długą chwilę mogło się wydawać, że czas stanął w miejscu, gdyby nie wciąż padający deszcz i przekleństwa miotającego się woźnicy. Wtem pękł główny łańcuch i wóz potoczył się naprzód, a wtedy łańcuch wkręcił się w szprychy jednego z kół. Nastąpił taki łomot, zgrzyt i jęk, że trudno było uwierzyć, dlaczego pojazd jeszcze nie rozsypał się na kawałki, a konie nie pognały wprost do rzeki.

Ale wóz nie rozpadł się na części; za to z okolicznych domów posypały się najrozmaitsze przedmioty - gwoździe i śruby same wyskakiwały z framug i oszalowań, żelazny garnek wyfrunął przez okno, jakby go ktoś stamtąd wyrzucił, a kołatki przy drzwiach dzwoniły i klekotały, jakby się ich uczeplił sam diabeł, aż w końcu odrywały się z metalicznym chrzęstem. Nawet dwa żelazne słupki, do których goście Tempie Inn przywiązywali konie, wyskoczyły z gruntu wzbijając fontannę piachu i kamiennych odłamków. Wszystko to poszybowało w kierunku tego niesamowitego wozu. Wyglądało to jak gradobicie, tyle że w poziomie. Zamiast bryłek lodu żelazne przedmioty dzwoniły i bębniły o tajemniczy ładunek, przywierając doń jak przyklejone.

Pewien człowiek - relacjonowała gazeta - został uderzony przez jeden ze słupków i nie dawano większych szans, że kiedykolwiek odzyska przytomność. Jeszcze dwóch czy trzech innych pechowców wymagało interwencji chirurga, który wydobył z ich ciał „szrapnele i inny złom rozmaitego pochodzenia”. Witryny sklepowe zostały rozbite przez wylatujące na zewnątrz przedmioty. Sam wóz kołysał się i podskakiwał jak opętany.

W ciągu całego tego zajścia dochodziły spod brezentu straszliwe krzyki i odgłosy szamotaniny - to pechowy pasażer (miał jednak trochę szczęścia, bo osłaniało go kilka warstw brezentu) szukał schronienia po drugiej stronie wozu. Jego wrzaski wskazywały, że nie całkiem mu się to udało i gdyby niewyjaśnione zjawisko potrwało jeszcze nieco dłużej, zostałby zatłuczony na śmierć, a pół tuzina domów wzdłuż Tudor i Carmelite zostało rozebranych

gwoździ po gwoździu i zrujnowanych.

Nagle dziwne odgłosy ustały, konie szarpnęły, skoczyły naprzód ciągnąc za sobą uszkodzony wóz i zniknęły gdzieś w okolicach nabrzeża. Ich ślad znaczyły spadające z brzękiem na ziemię żelazne przedmioty.

W końcu wszystko ucichło i ta cisza wydawała się dziwnie przejmująca, zważywszy, iż całe to zamieszanie trwało nie więcej niż półtorej minuty. Zaczął padać deszcz (już raz go opisałem - była to ta sama ulewa, która ocaliła piekarnię w Holborn) i wóz odjechał tak spokojnie, że nikt nie skojarzył całej tej dziwacznej historii z czymś celowym działaniem. Aż do czasu, kiedy odkryto, że ktoś włamał się do budynku Akademii i skradł jakąś skomplikowaną maszynę, podczas gdy w sąsiadującej z warsztatem piapierni wybuchł pożar... Każdy przy zdrowych zmysłach połączyłby sprawę fruwającego żelaza z kradzieżą maszyny.

Tym bardziej dziwne wydawało się, iż rzecznik Akademii Królewskiej, pan Parsons, zaprzeczył wszystkiemu kategorycznie i tak szybko, że jego sprostowanie zdążyło ukazać się w wieczornym „Standardzie”. Stwierdził, że nie było tu żadnego związku. Był też w najwyższym stopniu sceptyczny w kwestii latającego żelastwa. Według współczesnej nauki, zdawał się przekonywać Parsons, nic takiego po prostu nie ma prawa się zdarzyć.

Powiedzcie to temu biedakowi powalonemu na ziemię przez rozpedzony słupek - pomyślałem. Jednak to St. Ives i Godall wyjaśnili mi tę sprawę w bezpośredniej rozmowie. Zapomniałem wam powiedzieć, że Godall również był w barze z ostrygami, podobnie jak Hasbro, lokaj St. Ivesa. Ale oto wkracza muza literatury i przesłania dłonią tę stronę powieści nie chcąc, by odkryto karty tam, gdzie lepiej pozostawić pewne kwestie w mroku, podczas gdy czytelnik wstrzymuje oddech w oczekiwaniu. Wszystko w swoim czasie - to odwieczne prawo sztuki.

Ale i tak do dnia, gdy pierwszy ze statków poszedł na dno w Cieśninie Kaletańskiej, nikt nie był niczego absolutnie pewien. No, może poza Godallem, który podążył drogą dedukcji, i St. Ivesem, który dysponował ścisłą wiedzą. Ja mogłem się tylko domyślać.

Siedziałem na sofie u Godalla i czekałem na przybycie St. Ivesa myśląc sobie, że powinienem zacząć palić fajkę. I tak nie byłby to jedyny z moich nałogów (lenistwo było najgorszym z nich). Gdy tak snułem swe rozważania, do pokoju wkroczył mężczyzna z paczką pod pachą. Godall zareagował, jakby zobaczył samego króla. To był Isaac Laquedem - tak przedstawił mi go Godall - ale oprócz dziwnego nazwiska i pewnej starczej kruchości trudno było dostrzec w tym człowieku jakieś oznaki szlchetnego pochodzenia. Okazało się, że to tylko domokrażca. Niemal natychmiast o nim zapomniałem, bo przecież nigdy się tą profesją nie zajmowałem, tak samo zresztą, jak i to opowiadanie, chyba że w bardzo marginalnym stopniu.

Mój teść, William Keeble, wprowadził mnie w arkana produkcji zabawek i siedziałem teraz bawiąc się gumowym słoniem, którego ukończyłem tego ranka. Gdy naciskało się jego brzuszek, trąba wykonywała obrót, uszy trzepotały, a z pyska wydobywał się donośny głos, który przy odrobinie wyobraźni mógł uchodzić za trąbienie - przynajmniej za trąbienie gumowego słonia z mechanicznym serduszkim. Ale sam słonik wyglądał doprawdy zabawnie.

Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy, jak sam Keeble zbudowałby tę zabawkę. Powinienem być dodać jeszcze kapelus, najlepiej z ptaszkiem pośrodku. Rozważając ten problem, jednym uchem przysłuchiwałem się, jak Godall i staruszek rozmawiają o numizmatach i o zapalkach, które nigdy nie zawodzą, a którymi ten ostatni handlował. W końcu wyszedł wielce uradowany, zapominając zabrać swą paczkę z zapalkami, i podążył przez Rupert Street ku Brewer.

Przez dobrą minutę żaden z nas nie zwrócił uwagi na pakunek, aż w końcu Godall zauważył go i zaklął. Po chwili byłem już na ulicy niosąc pod pachą zgubę, a w drugiej ręce trzymając mego słonia. Biegłem lawirując pomiędzy przechodniami, aż dotarłem do przecznicy, gdzie w herbaciarni na rogu staruszek próbował sprzedać torebki z gazy z zieloną herbatą w środku, które można było zanurzyć we wrzątku i wyjąć z powrotem - oczywiście nie po to, by jeszcze raz je użyć, lecz by liście nie zanieczyszczały naparu. Właściciel baru miał jednak zwyczaj czytać z herbacianych fusów nie gorzej niż inni z dłoni czy okruszków ciasta i nie był zainteresowany tym wynalazkiem. Jeśli o mnie chodzi, uważałem to za dość sprytne rozwiązanie i powiedziałem o tym staruszkowi, gdy zwracałem niezawodne zapalki. Domokrążca w rewanżu pochwalił mego słonia - chyba rzeczywiście mu się podobał. Przez dziesięć minut gawędziliśmy popijając herbatę i w końcu ruszyłem w drogę powrotną, sądząc, nie bez racji, że St. Ives zjawił się już do tego czasu.

Na poboczu, kilka domów od sklepu Godalla, stała mocno zniszczona dorożka. Okno jej było przesłonięte postrzępionym kawałkiem aksamitu, lecz kiedy przechodziłem obok, w miejsce zasłonki ukazała się czyjaś twarz. W pierwszej chwili myślałem, że to kobieta, ale myliłem się; był to mężczyzna, tyle że kręcone włosy sięgały mu do ramion. Miał fatalną cerę i ogólnie prezentował się niechlujnie. Jego szyję okalał wysoki, damskiego kroju kołnierz z kwiecistego perkalu. Ale to jego oczy mogły najprędzej wprowadzić w błąd. Wyrażały jakąś szaloną, dziwnie rozproszoną fascynację, jakby wszystko wokół - ten powóz, budynki wzdłuż Ruppert Street, a nawet ja - miało dla niego jakieś ukryte, specjalne znaczenie. Rzucił czujne, ukośne spojrzenia, aż wreszcie wydusił z siebie niemal szeptem:

- Co to jest?

Spoglądał w tym momencie w głąb ulicy, więc podążyłem za jego wzrokiem, lecz nie dostrzegłem tam nic wartego uwagi.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Tam! - tym razem to było gdzieś w górze, rząd okien na drugim piętrze. Z jednego z nich wyglądał mężczyzna z cygarem.

- Ma pan na myśli tego człowieka? - próbowałem się upewnić. Spojrzał wtedy na mnie w taki sposób, iż przez chwilę wierzyłem, że odgadłem, o co mu chodzi. Byłem jednak w błędzie.

- To, co trzymasz w ręce - wskazał na słonia. Mrugał przy tym nerwowo, jakby coś wpadło mu do oka. - Podoba mi się - powiedział i spojrzał na mnie, jakby mnie znał od dawna. Jego twarz również wydawała mi się znajoma. Ale ten człowiek bez wątpienia był szalony. Szaleństwo to nadawało jego twarzy niezwykle charakter, formując rysy w nieprzeniknioną maskę - wyglądał doprawdy jak nie z tego świata.

Prawdę mówiąc było mi go żal i kiedy sięgnął po zabawkę, dałem mu ją, myśląc - przyznaję - że obejrzawszy słonika zaraz mi go zwróci. Zamiast tego cofnął się w głąb kabiny, zaciągnął zasłonę i nie pokazał się już więcej. Zapukałem do drzwiczek.

- Odejdź! - usłyszałem tylko. Więc odszedłem. Jemu bardziej zależało na tej maskotce, niż mnie. Dla kogo w końcu chciałem budować te zabawki, jeśli nie dla takich jak on? Poza tym słonik i tak nie miał kapelusika - powtarzałem sobie.

W tym, że tak szybko się poddałem, było jednak sporo oportunistyki - nie chciałem urządzić sceny wchodząc do środka powozu, by ktoś nie zobaczył mnie tam, jak walczę z obłąkanym młodzieńcem o gumowego słonia. Tak rozmyślając wkroczyłem do sklepu Godalla, gotów zrelacjonować to zdarzenie w taki sposób, aby przedstawić siebie w jak najkorzystniejszym świetle, gdy nagle w progu stanął mój wariat we własnej osobie.

Musiałem wyglądać dość dziwnie, gdyż Hasbro aż poderwał się z miejsca na widok wyrazu mojej twarzy, a stojący w drzwiach gość również odskoczył przestraszony. Nie był to jednak osobnik z dorożki; była to niewiasta o uderzająco podobnych rysach, ubrana w bluzkę z tego samego materiału. Jej ramiona okrywał jednak szeroki szal i w ogóle była o ładnych parę lat starsza, choć jej twarz mogła zmylić każdego. Była niemal pozbawiona zmarszczek, być może za sprawą nienaturalnej opuchlizny - jakby upiór zawędrował tu, do Soho, ze zmyślnie przykrojonym melonem w miejscu głowy. Najwidoczniej była to matka tej dziwnej istoty z dorożki.

Uśmiechnęła się do mnie w dość sztuczny sposób, lecz nagle, jakby w tym momencie mnie rozpoznała, uśmiech ten przerodził się w pogardliwy grymas i od tej chwili ignorowała mnie ostentacyjnie. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale czy należy się przejmować, gdy jest się ignorowanym przez

wariatkę? Nie więcej, niż gdy wariat ukradnie ci gumowego słonia.

- Taki człowiek powinien zostać należycie osądzony! - Niewiasta skierowała te słowa do St. Ivesa, który wskazał ręką na sofę i popatrzył na mnie unosząc w zdumieniu brwi.

- To jest pan Owlesby - poinformował kobietę. - Przy nim może pani śmiało mówić.

Niewiasta nie zwracała jednak na mnie najmniejszej uwagi, jakby chcąc pokazać, że ona sama decyduje, w czyjej obecności uważa na swoje słowa, a przy kim mówi o wszystkim i nikt nie ma prawa jej przerywać. Usiadłem.

- Osądzony - powtórzyła.

- Już jakiś czas temu został on postawiony przed sądem, choć nie dosłownie - wyjaśnił St. Ives. - Zginaj w Skandynawii; wpadł do jeziora, gdzie bez wątpienia zamarł na śmierć, zanim jeszcze zdążył się utopić. Sam widziałem, jak runął do wody i już nie zdołał wypłynąć.

- A jednak zdołał.

- To niemożliwe! - zaprotestował St. Ives, chociaż to właśnie jego opinia była niemożliwa. To określenie zawsze było pewnym nadużyciem, gdy chodziło o machinacje doktora Narbona, i St. Ives dobrze o tym wiedział. Wyraz zwątpienia pojawił się w jego oczach jednocześnie z innymi skomplikowanymi uczuciami. Dostrzegłem jednak, że profesor wyraźnie się ożywił. Od śmierci Narbona i tej historii z kometa St. Ives nie mógł znaleźć sobie miejsca; zajmował się coraz to inną sprawą, prawie żadnej z nich nie kończąc. Często po prostu leżał na wół drzemiać na kanapie w swym gabinecie, bywało, że przez całe popołudnie. Przez kilka dni usiłował przywrócić porządek w warzywnym ogródku Alicji, ale wkrótce okazało się to ponad jego siły i zostawił go na pastwę kretów i chwastów. Mógłbym wykorzystać to jako metaforę ostatnich paru lat życia tego wielkiego człowieka, ale nie zrobię tego, gdyż postanowiłem uszanować jego tragedię.

- Niech pan spojrzy - kobieta trzymała w wyciągniętej dłoni coś, co wyglądało na list, który spoczywał gdzieś złożony przez lata, być może w czyjejs kieszeni. Tani papier zdążył już pożółknąć i był dosyć postrzępiony. Adresatem był niejaki Kenyon. Również treść listu nie była specjalnie ciekawa. Najważniejszy był tu charakter pisma, jak również podpis: doktor Ignacio Narbono. St. Ives podał list Godallowi, który właśnie z doskonałą obojętnością odmierzał porcje tytoniu na szalkowej wadze.

Niewiasta zaprezentowała jeszcze jeden list, tym razem z ostatniego tygodnia. Koperta robiła wrażenie, że przeleżała się na ulicy i przegalopowało po niej stado koni, czyniąc część listu, łącznie ze wstępnym pozdrowieniem, nieczytelną. Dwa pierwsze akapity były napisane niewprawną ręką; autor za nic miał kleksy i rozmazane litery. Ni stąd, ni zowąd ostatnich kilka zdań skreślono tym samym charakterem pisma, co pierwszy z listów. By to

stwierdzić, niepotrzebny był ekspert. Wszystkie „t” były bardzo ozdobne, a oba wielkie „A” kilka razy większe od jakiegokolwiek innej litery. Do tego przypominały raczej druk niż pismo ręczne i były dla kaprysu przekreślone u góry, co nadawało im nieco orientalny charakter. Jednym słowem, styl zakończenia drugiego listu był bardzo specyficzny i niewątpliwie identyczny ze stylem pierwszego. Podpis był jednak inny: H. Frost. Po nim następowały jeszcze jakieś pojedyncze litery, których już teraz nie pamiętam.

Treść tego drugiego listu była zaiste interesująca. Autor wspominał o pewnych papierach, na których odzyskaniu bardzo mu zależało i za które gotów był nawet zapłacić. Z listu wynikało, że ten H. Frost był profesorem chemii na uniwersytecie w Edynburgu. Podobno doszły go słuchy, iż rzeczony papiery, należące do ojca naszej wariatki, zaginęły w okolicy North Downs jakieś czterdzieści lat temu. Jego zdaniem, papiery te miały niebagatelne znaczenie dla nauk medycznych, a ich właściciel zasłużył sobie na odrobinę sławy, której nigdy nie zaznał w ciągu swego tragicznego życia. I tak dalej, w podobnym tonie. Na końcu listu, jak już wspomniałem, widniał podpis: H. Frost.

St. Ives podał ten drugi list Godallowi i przyjął wyczekującą pozę. Miałem niejasne przeczucie, że wahał się, ponieważ miał pewne podejrzenia wobec tej kobiety - i zastanawiał się dlaczego w ogóle przyniosła te listy.

- Doktor nie żyje - odezwał się w końcu. Kobieta natychmiast potrząsnęła przecząco głową.

- Te listy zostały napisane tą samą ręką, chyba każdy to widzi.

- Powinna pani wiedzieć - rzekł St. Ives - że im bardziej ozdobny charakter pisma, tym łatwiej go podrobić. Skopiowanie tego, co rzuca się w oczy, jest proste; to przeciętność sprawia największą trudność. Dlaczego ktoś zadał sobie trud, by podrobić pismo doktora, nie wiem. To ciekawa łamigłówka, ale mnie nic do tego. Uważam, że należy to całkowicie zignorować. Nie reagować. Nie robić absolutnie nic.

- Powtarzam, on musi odpowiedzieć za swoje czyny.

- On nie żyje - upierał się St. Ives. Po chwili dodał:

- Żeby ta tajemnicza sprawa miała mnie zainteresować, musiałbym znać więcej szczegółów. Na przykład, o jakie papiery tu chodzi? Kim jest pani ojciec? Czy ma pani powody sądzić, że jego papiery przedstawiają jakąś naukową wartość? Czy rzeczywiście zaginęły w North Downs czterdzieści lat temu?

Tym razem to kobieta się zawahała. Musiała znać jeszcze sporo faktów, o których do tej pory nie raczyła wspomnieć. Wymierzanie sprawiedliwości nie było jej jedynym zmartwieniem - to było aż nazbyt widoczne. Zajmowała się przez chwilę swym szalem, udając, że go poprawia, ale przez ten czas wyteżała umysł, jak powiedzieć, o co jej naprawdę chodzi, w taki sposób, by z

niczym zbyt szlachetnym się nie zdradzić.

- Mój ojciec nazywał się John Kenyon. Został... sprowadzony na złą drogę, kiedy był młody i wykorzystany, kiedy był starszy. Związał się z pewnym człowiekiem, dziadkiem doktora, tego, który w waszym przekonaniu już nie żyje, i wyprodukował pewne serum - surowicę gwarantującą długowieczność. Uzyskał ją z gruczołów jakiejś ryby, nie pamiętam już jakiej. Gdy starszemu Narbondo groziła deportacja za eksperymenty z wykorzystaniem wiwisekcji, mój ojciec ukrywał się. Zwrócił się do Rzymu...

- Przeniósł się na kontynent? - zainteresował się St. Ives.

- Nie, ale został papistą. Miał wyrzuty sumienia w związku ze swą działalnością na polu chemii i z wiwisekcją. Wysłałby mnie do klasztoru, żeby uchronić przed światem, tyle że ja nie pozwoliłam mu na to. Jego rękopisy zaginęły. Twierdził, że sam je zniszczył, ale jestem pewna, że tego nie zrobił, gdyż pewnego dnia - miałam wtedy około piętnastu lat - moja matka znalazła coś w kufrze; to musiały być te dokumenty. Były oprawione w formie notatnika. Próbowала je zniszczyć, ale ojciec ją powstrzymał. Siłowali się przez chwilę, ona wyzywała go od hipokrytów, a ojciec nie miał pojęcia, co naprawdę powinien zrobić.

Ale mój ojciec był słabym człowiekiem, nędznym robakiem. Ocalił notatnik, a jakże, przy okazji pobił matkę i wyjechał do Londynu. Nie było go przez tydzień. Wrócił pijany, jak pamiętam, i skruszony. W ciągu roku wyszłam za mąż, wyprowadziłam się i nie widziałam go do czasu, aż stał się starym, stojącym nad grobem człowiekiem. Matka nie żyła już wtedy od piętnastu lat i on uważał, że ją zabił. Z pewnością właśnie tak było. Leżąc na łożu śmierci mamrotał coś jeszcze o swoim notatniku. Ta sprawa drażyła go przez wszystkie te lata. Wyznał, że papiery zostały mu skradzione przez Akademię Królewską. Człowiek o nazwisku Piper, który był ważną osobistością w Oxfordzie, chciał mieć formułę tylko dla siebie i wyłudził ją od mego ojca za mocny napitek i obietnicę zapłaty. Ale nigdy nie było żadnych pieniędzy. Ojciec kazał mi odnaleźć ten notatnik i zniszczyć go, by on sam mógł spoczywać w pokoju. Powiem bez ogródek: spokój jego duszy jest ostatnią rzeczą, która by mnie interesowała. Im mniej spokoju zazna, tym lepiej. Amen.

Więc nie robiłam nic. Miałam już wtedy syna i męża pijaka, równie żalnego jak mój ojciec. Kiedy zniknął na dwa tygodnie, miałam nadzieję, że nie zobaczę go już więcej. Ale los nigdy nie był dla mnie łaskawy. Zresztą to nie jest już teraz ważne. Ważne jest to, że gdzieś istnieją te papiery, o których mówiłam - ten notatnik. I wiem, że to on, człowiek, który, jak twierdzicie, zginął w Skandynawii, że to właśnie on chce teraz zdobyć te notatki. Nikt o nich nie wie, zrozumcie, z wyjątkiem niego i kilku starych hipokrytów z Akademii, ale oni nie musieliby mnie o nic pytać, bo przecież sami skradli te



przekłete papiery. Ten człowiek ma swoje sposoby - mam na myśli doktora - i ten list nie jest dla mnie żadnym zaskoczeniem. Jeśli znacie go przynajmniej w połowie tak dobrze, jak twierdzicie, to was również nie powinno to dziwić. Nieważne, ile razy widzieliście go już umierającego.

I tak zakończyła się jej przemowa. Ten potok słów wypłynął z niej niby spontanicznie, jakby nic nie było zaplanowane, ale ja i tak byłem całkowicie pewien, że każde słowo było wyważone i że była to zaledwie, jak to mówią, połowa prawdy. Ułożyła sobie i wygładziła całą tę historię, aż nie pozostało nic oprócz ogólników i tylko udawaną egzaltacją próbowała pokryć brak pewnych szczegółów.

Jednak St. Ives był wyraźnie przejęty. Także Godall, jak mi się zdawało, ważył po raz dziesiąty ten sam mieszek tytoniu. Obaj intensywnie głowili się nad sprawą. Jeśli ta kobieta weszła tu, by obudzić ich uspione dotąd obawy, to nie mogła zrobić tego lepiej. Szykowała się kolosalna afera. Zanośli się na nią już od dnia wybuchu i całego tego zamieszania niedaleko nabrzeża. Nie była to sprawka pierwszego lepszego kryminalisty, a fakt, że od tamtych wydarzeń minęły tygodnie, świadczył tylko, że cała ta afera rozwija się powoli, że komuś nie zależy na zbytnim pośpiechu, za to końcowy efekt może być tym bardziej znaczący.

- Czy możemy zatrzymać te listy? - zapytał St. Ives.

- Nie - padła krótka odpowiedź i niewiasta chwyciła je ze stołu, gdzie wcześniej położył je Godall. Odwróciła się z uśmiechem i wyszła na chodnik, po czym wspięła się do oczekującej dorożki i odjechała, nie mówiąc już ani słowa. Zabiła nam ćwieka, to fakt. St. Ives prosząc o listy dał to po sobie poznać.

Jej nagłe wyjście sprawiło, że przez chwilę tkwiliśmy w niemym zdumieniu. Dopiero słowa Godalla wyrwały nas z odrętwienia.

- Myślę, że nie ma w Edynburgu żadnego profesora Frosta, czymkolwiek miałby się tam zajmować.

- Na pewno nie chemią. Właściwie to chyba niczym. Ktoś chce nas wyprowadzić w pole.

- Ale to jest pismo Narbona, tam na końcu.

- Oczywiście, że to jego. - St. Ivesa przeszył dreszcz. Oto otwierają się stare rany: Alicja, śmierć Narbona w Skandynawii. Teraz znów musi rozstrzygać trudne moralne kwestie, które jak dotąd nie poddawały się jednoznacznej ocenie. Jedyne wnioski, jakie się nasuwały, to poczucie winy. W końcu uporał się z tym przyjmując bierną postawę, biorąc to, co życie niesie, by w ten sposób zapomnieć. Ale oto znów Narbono powraca jak zgłodniały wampir.

- A jednak to pismo było odrobinę chwiejne - zauważył Godall. - Tak jakby był sparaliżowany albo bardzo słaby i usilnie starał się to ukryć, aby nie

można było zauważyć zmiany charakteru pisma. Jestem przekonany, że nie był w stanie sam napisać wszystkiego, zdołał skreślić tylko kilka zdań, resztę ktoś za niego dokończył.

- Może jakiś wyjątkowo zdolny fałszerz... - zaczął St. Ives, ale Godall się z nim nie zgodził.

- Po co podrabiać czyjeś pismo nie wykorzystując nazwiska tej osoby? Tu leży pies pogrzebany. Takie fałszerstwo nie ma sensu, chyba że jest tu jakieś drugie dno.

- Może ktoś chciał, by list dotarł do nas, żebyśmy uwierzyli, że Narbondo żyje...

- No to mamy prawdziwą łamigłówkę - powiedział Godall - do tego dość niebezpieczną. Jeśli ta kobieta ma rację, to znaczy, że jesteśmy na celowniku. W ten sposób Narbondo nas wzywa. Skłonny jestem jednak uwierzyć, że bardziej chodziło mu o to, by to właśnie ją ostrzec lub przestraszyć. Oto wróciłem, zdaje się mówić, i chcę mieć ten notatnik.

- Myślę, że gdybym był na jej miejscu i wiedział, gdzie są te zapiski, powiedziałbym mu - zastanawiał się St. Ives.

- Tego się właśnie po niej spodziewam - oznajmił Godall, zgarniając tytoń z kontuaru. - Ona chyba traktuje to jako nadarzącą się okazję, zgodzisz się ze mną? Zamierza sama rozprawić się z tym potworem. Uważam, że powinniśmy odnaleźć tego Pipera. Zdążył już pewnie posunąć się w latach i odszedł z Oxfordu na emeryturę dawno temu.

Akurat w tym momencie gazeciarz przyniósł „Standard” z wiadomością, że na wysokości Dover zatonął pierwszy ze statków. Był to kolejny element układanki; każdy to widział, czy raczej wyczuwał, chociaż w tym momencie nikt nie miał pojęcia, w które miejsce ten nowy element wpasować.

Ten statek był pusty; jego kapitan, załoga i paru pasażerów zeszli do szalup z bardzo dziwnej przyczyny. Otóż kapitan znalazł wiadomość w dzienniku pokładowym, nabazgraną, jak przypuszczał, przez pasażera lub kogoś, kto nie zauważony dostał się na pokład. Gdy opuszczali dok w Gravesend, nie było tego zapisu, kapitan był tego pewien. Mieli opóźnienie, gdyż stracili w Sterne Bay całą noc czekając na ładunek, który i tak nie przybył. Ktoś musiał dostać się wtedy na statek i namieszać w dzienniku.

Ta wiadomość to było ostrzeżenie, że wszyscy muszą zejść do szalup, kiedy statek znajdzie się na wysokości Ramsgate w drodze do Calais. Następnie mają wypatrywać łodzi o purpurowych żaglach. Stamtąd otrzymają znak, a wtedy muszą wiosłować z całych sił, dopóki nie znajdą się ćwierć mili od statku. Jeśli tego nie zrobią, to zginą. Wszyscy, co do jednego.

To ci dopiero zagadka. W tym wyzwaniu nie było zresztą nic zabawnego. Wystarczy się zastanowić, co by się stało, gdyby kapitan nie

otworzył dziennika i oni wszyscy nie opuściliby statku. Wiadomość bowiem wcale nie była żartem. Statek zatonął, poszedł na dno dosłownie jak kamień i choć załoga była bezpieczna, to tylko dzięki ślepemu zrządzeniu losu. Ten, kto doprowadził do katastrofy, musiał uważać siebie za samą Opatrzność, która może igrać z życiem ludzkim.

Kapitan stracił nie tylko statek, ale i posadę. Dlaczego nie zawrócił i nie popłynął do Dover? Dlatego, że ostrzeżenie w dzienniku nie zawierało nawet najmniejszej aluzji, że statek może zatonąć. Bardziej wyglądało to na jakiś głupi kawał, zwykły dowcip, z powodu którego mogli stracić kilka godzin na wiosłowanie tam i z powrotem, zanim powrócą na pokład. Kapitan nie spodziewał się zobaczyć żadnego żaglowca. Do tego i tak byli już spóźnieni o jeden dzień z powodu postoju w Sterne Bay. Wszystko wyglądało zbyt nieprawdopodobnie, by traktować to poważnie, z wyjątkiem zejścia do szalup. Kapitan nie może przecież ryzykować życiem ludzi.

Ale stało się - statek poszedł na dno. W końcu okazało się to nie tak całkiem nieprawdopodobne. Chociaż niektóre sprawy wydawały się nam dość dziwne. Po pierwsze - cała załoga, wszyscy bez wyjątku, pozostali w Dover, by niezwłocznie zaciągnąć się na inny statek. Władze dysponowały więc tylko zeznaniem kapitana, a ten był Jankesem, który dopiero niedawno przybył z San Francisco. Trudno nam było również uwierzyć w fakt, że ta historia nie miała nic wspólnego z tamtymi dwoma wypadkami w Londynie.

Praktykujący detektyw. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko udać się na wybrzeże, do Sterne Bay. Nie chodziło tylko o zatopiony statek; St. Ives odkrył, że doktor Piper z Akademii Królewskiej już od kilku lat był na emeryturze i mieszkał teraz w małym domku nad Tamizą, właśnie w Sterne Bay. Godalla nie było z nami, bo interesy nie pozwalały mu na tego rodzaju eskapadę. Poza tym nie było powodu przypuszczać, iż w Londynie nic ciekawego już się nie wydarzy, tylko dlatego, że kilka mil na wschód miał ostatnio miejsce pewien nie wyjaśniony incydent.

St. Ives odwiedził sztab marynarki wojennej, licząc, że może tam uda mu się dowiedzieć czegoś o kapitanie Bowkerze, ale ten wydawał się postacią dość tajemniczą. Był Amerykaninem, jego referencje budziły wiele wątpliwości, ale już od jakiegoś roku dowodził na małych statkach handlowych pływających do Calais. Nic nie wskazywało na to, by był to człowiek, którego można kupić - papiery miał czyste. I w tym tkwił problem: jeżeli o kimś nie wiadomo nic bliższego, to zawsze można podejrzewać, że jest on do kupienia. Coś w tym musiało jednak być.

Wyruszyliśmy ze stacji Victoria wczesnym rankiem i po przybyciu na miejsce zdążyliśmy jeszcze zjeść śniadanie w „Koronie i Jabłku” w Sterne Bay, zanim przystąpiliśmy do działania. Nie widzieliśmy specjalnego powodu

do pośpiechu; jajka z szynką zajęły nam ponad godzinę, a St. Ives przez cały ten czas był w wyjątkowo dobrym humorze. Gawędził z właścicielką o tym i owym - same niewinne tematy - aż w końcu zahaczył o sprawę zatopionego statku i kapitana Bowkera. Oczywiście pisali o tym we wszystkich gazetach, była to w końcu nie lada sensacja, więc takie pytanie nie mogło budzić większych podejrzeń.

O tak, kobieta знаła kapitana całkiem nieźle. Chodzi o tego Jankesa? Och, to najzabawniejszy i chyba największy facet, jakiego tu spotykała. Nie miał żadnych wrogów, tym bardziej przykra jest cała ta historia. Biedak - stracił statek w taki sposób... no i jest teraz bez pracy. No, może nie całkiem; znalazł robotę w chłodni, dogląda maszyn. Całkiem niezła posada na taką rybacką miejscinę, jak Sterne Bay. Właściwie tkwi tam od świtu do nocy, czasem zje tu obiad - nie ma przecież rodziny. Teraz, gdy stracił statek i nie ma jeszcze nowego, to nawet śpi w tej chłodni. Stwierdził, że po tej katastrofie bierze rozbrat z morzem i tylko cieszy się, że nie stracił żadnego człowieka. Do diabła ze statkiem - lubi powtarzać - dla mnie liczą się tylko moi ludzie. Taki właśnie jest ten kapitan Bowker.

St. Ives powiedział jej, że podoba mu się takie podejście i że światu przydałby się jeszcze z tuzin takich Bowkerów. Widziałem, że profesor nie mówi tego poważnie; chciał tylko zrobić na tej kobiecie wrażenie, że jesteśmy w porządku - ot, tacy sobie turyści z Londynu. St. Ives miał po prostu taką metodę i nie było w tym żadnej obłudy. On naprawdę tak myślał, a jeśli przyjazne nastawienie miałyby ułatwić nam osiągnięcie celu - tym lepiej.

Tak się składało, że Hasbro miał tu ciotkę, wesołą staruszkę ciocię Edie. Niegdyś była czymś w rodzaju służącej matki St. Ivesa, a nawet niańczyła jego samego. Teraz, choć może to zabrzmie nieprawdopodobnie, została wilkiem morskim. Pływała na trawlerze należącym do brata jej nieżyjącego męża, stryja Botley. Po śniadaniu St. Ives i Hasbro poszli ją odwiedzić i przez godzinę miałem być sam. Chciałem się trochę rozejrzeć, pozwiedzać, ale mówiąc szczerze, miałem wyrzuty sumienia, że nie ma tu ze mną Doroty. Przyzwyczailem się przez lata do jej bliskości i jest mi z tym dobrze. To jedna z niewielu rzeczy, która mi się w życiu udała.

Ów poranek, aż do południa, był mokry i mglisty - jeden z takich dni, kiedy każdy dźwięk wydaje się przytłumiony, a od ludzi oddziela cię coś w rodzaju parawanu. Kroczysz tak sobie po mokrym bruku, zadumany, pogrążony w smętnych myślach.

Spacerując po nabrzeżu, doszedłem do wniosku, że w tym miejscu można by spędzić kilka beztroskich dni; nie od rzeczy byłoby też wziąć ze sobą wędkę. Dorota byłaby zachwycona. Jak tylko wrócimy, przedstawię jej tę propozycję. Ten pomysł, oczywiście, miał też ulżyć memu sumieniu - ja tutaj

na wakacjach, a ona tkwi sama w Londynie, uwięziona w codziennej rutynie.

Wtedy pomyślałem o biednym profesorze i o Alicji, którą tak kochał przez te dwa krótkie lata, aż do koszmarnej nocy w Seven Dials. Dzięki Bogu, mnie tam nie było. Może nie powinienem tak mówić, ale nic na to nie poradzę. Ten człowiek był sam, zanim ją spotkał, był sam znów po jej śmierci i chociaż nie daje tego po sobie poznać, mnie nie oszuka - nie jest stworzony do życia w samotności. Po prostu usycha. Wszystko, co miał, zainwestował w związek z Alicją. A było tego niemało - gromadzony przez lata kapitał uczuć znalazł ujście w miłości do niej, przynosząc czysty zysk. Wszystko to przepadło i sama myśl o romantycznej wycieczce nad wodę musi być dla niego nie do wytrzymania. Odmawiał sobie wszelkich rozrywek, przyjemności, które dla innych są czymś zwyczajnym...

I gdy tak spacerowałem z głową zaprzątniętą smutnymi myślami, uniosłem wzrok i ujrzałem trzypiętrowy pensjonat, zupełnie jak z pocztówki.

Był pomalowany na biało z zielonymi tandetnymi ozdóbkami i zarośnięty bluszczem. Z tego, co udało mi się zobaczyć, budynek z trzech stron otoczony był werandą, na której stały wiklinowe meble. Siedzieli tam ludzie, którzy wyglądali na nadzwyczaj zadowolonych. Niektórzy z nich mieli wielce malowniczy wygląd starych wyg morskich. Nad schodami wisiała drewniana tabliczka z napisem „Pod Kufelkiem”, co wydało mi się nazwą dość wykalkulowaną, choć bardzo życzliwą i sympatyczną.

Przeszedłem przez werandę, kłaniając się na wszystkie strony i znalazłem się w holu. Zamierzałem zapytać o ceny i czy są jakieś wolne pokoje. Wiosna była tuż tuż i można było mieć nadzieję na dobrą pogodę, choć nawet i przy gorszej aurze człowiek dobrze by się tutaj czuł. Nic nie stało też na przeszkodzie, bym od razu zarezerwował pokój na wakacje, aby sprawić Dorocie przyjemność.

Uwielbiałyby to miejsce - co do tego nie miałem wątpliwości.

Były tu drewniane parkiety ułożone w zdumiewające mozaiki przedstawiające wieloryba i statek wielorybiczny, jakich już się teraz nie widuje. Były też rośliny w donicach oraz wielki kominek opalany drewnem (wokół nie było widać ani kawałka węgla). Za długą dębową ladą dyżurowała drobna kobieta. Przeglądała właśnie jakieś papiery. Przez chwilę rozmawialiśmy o cenach pokoi. Choć kobieta nie przypadła mi specjalnie do gustu ani nie wzbudziła mojego zaufania, to jednak skierowałem się ku drzwiom zadowolony nie tylko z rezerwacji, ale i z siebie. Właśnie wtedy wydało mi się, że widzę mego gumowego słonia leżącego na stoliku, na wpół schowanego za doniczkową palmą. Byłem już na werandzie, gdy zaczajeni kojarzyć ten obraz - znajome kluchowate nogi i czerwone pantalone. Było to tak nieprawdopodobne, że z początku nie mogłem w to uwierzyć i nawet gdy

nabrałem pewności, zrobiłem jeszcze krok czy dwa - a byłem już w połowie schodów - zanim zawróciłem. Kobieta uniosła wzrok znad pierzastej szczotki, którą odkurzała właśnie meble. Popatrzyła na mnie zdziwiona, zastanawiając się zapewne, czy nie zostawiłem tu czegoś. Uśmiechnąłem się z zażenowaniem i zapytałem niepewnie, czy nie powinienem otrzymać jakiegoś rachunku, potwierdzenia, sugerując tym samym, że zapis w jej księdze to za mało. Przybrała gniewną minę i odpowiedziała, że może coś przygotować, chociaż... Wtedy ja, oczywiście, zacząłem gorliwie wyjaśniać, że planowałem niespodziankę dla mojej żony i chciałem mieć coś, co można włożyć do koperty, którą przyniosę jej na tacy ze śniadaniem... Niewiasta znów się rozpogodziła. Powiedziała, że jej się to bardzo podoba i że z niecierpliwością czeka, by poznać tę młodą damę. Kiedy spojrzałem w głąb holu, oczywiście nie było tam ani słonia, ani nic w tym rodzaju.

Nie wątpię, że chcielibyście wiedzieć, dlaczego po prostu nie spytałem o kobietę i jej syna, który nosił przy sobie słonika o gigantycznych uszach. Można było to zrobić na tysiąc sposobów nie budząc podejrzeń. Cóż, nie zrobiłem tego. Cały czas czułem się jak półgłówek, kiedy tak bredziłem o prezencie na tacy. W końcu wmówiłem sobie, że to było tylko przywidzenie, że z przypadkowo ułożonego liścia i krawędzi donicy ułożyłem sobie urojony obraz. To była już lekka przesada, nieprawdaż? Podobnie jak kapitanowi zatopionego statku zapis w jego dzienniku wydawał się zbyt absurdalny, by traktować go poważnie.

Wyobraziłem sobie tę sytuację i już miałem skierować swe kroki na molo, kiedy omal nie przewróciłem starego Parsonsa, sekretarza Królewskiej Akademii Nauk, który maszerował dzierżąc w ręku bambusową tyczkę i kosz na ryby. Miał na sobie coś w rodzaju wełnianego rybackiego uniformu i w sumie robił wrażenie, że jeśli nawet nie złapie ani jednej rybki, to przynajmniej jest ubrany jak należy i może, jak mówią święte księgi, nosić się dumnie.

Byłem wielce zaskoczony widząc go tutaj. On zaś był zdecydowanie niezadowolony z naszego spotkania, zapewne z powodu moich przyjaciół. Od razu wywnioskował, że St. Ives kręci się po okolicy, a to z kolei oznacza, że ktoś znowu będzie się wtrącał w sprawy Akademii. No cóż, miał rację. Obecność sekretarza również dała mi do myślenia. Cóż za zbieg okoliczności! Gdyby spojrzeć na to z punktu widzenia detektywa, to powinienem nabrać podejrzeń co do jego wędkarskiego ekwipunku i dojść do wniosku, że zbyt dobrze gra swoją rolę. Po prostu coś kombinuje.

- Co pan tu robi? - zapytał. Zrobiłem niewinne oczy i odpowiedziałem:

- Spędzam tu wakacje. A pan na ryby?

Nie było to może najmądrzejsze pytanie, biorąc pod uwagę jego wygląd, ale nie wzbudziło jego podejrzeń.

- Prowadzę poszukiwania - odrzekł i uniosł bambusowy kij. - To jest

alchemiczna różdżka. Z jej pomocą można zlokalizować ryby, które połknęły monety. Akurat kiedy miałem powiedzieć coś mądrego, podszedł do nas mężczyzna z bokobrodami i uściśnął dłoń Parsonsa.

- Bardzo mi przykro, mój stary - powiedział do Parsonsa - ale on był już bardzo zmęczony. Przeżył wiele owocnych lat, bardzo owocnych. Jestem wdzięczny, że mógł pan przybyć na jego pogrzeb.

Sekretarz ujął go pod ramię i odprowadził na bok, zanim mogłem usłyszeć coś nie przeznaczonego dla moich uszu... Ale i tak powiedział już dosyć, czyż nie? Ten Piper umarł i Parsons przybył, by być świadkiem jego pochówku.

Słońce było już wysoko na niebie. Zostało jeszcze pół godziny do ponownego spotkania z St. Wesem i Hasbro w „Koronie”. Już wtedy czułem się zupełnie jak detektyw, choć nie za bardzo wiedziałem, co tak naprawdę do tej pory odkryłem, nie licząc tej ostatniej sprawy. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, ruszyłem ku chłodni. Był to drewniany, zniszczony magazyn stojący na zarośniętym placu, prawie nad samym morzem.

Nie pukając wszedłem przez boczne drzwi. Było tu dość zimno, czemu w końcu trudno się dziwić. Słychać było świst pary z pracujących sprężarek. Powietrze zalatywało amoniakiem i mokrą słomą. Kapitana nie trzeba było długo szukać; stanął przede mną, gdy tylko przekroczyłem próg. Najwyraźniej nie było tu nikogo poza nim. Rzeczywiście był potężnej postury i mówił z akcentem, przeciągając samogłoski, jakby były z gumy. Nie będę podrabiał jego mowy, bo nie potrafię; wspomnę tylko, że często wtrącał wyrażenia gwarowe, a jego sposób mówienia, bełkotliwy i typowy dla amerykańskiego Zachodu, nie za bardzo mi pasował do człowieka morza. Spodziewałem się kogoś bardziej typowego. Zanotowałem to sobie w pamięci, ale przedtem podałem mu rękę i przedstawiłem się.

- Jestem Abner Benbow - wymyśliłem na poczekaniu. Omal nie powiedziałem „admirał Benbow”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. - Jestem z lodowej branży, z Harrogate. Nazywają mnie Zimny Abner, ale nikt nie powie o mnie „zimny drań”. - Spuściłem głowę, myśląc sobie, że chyba się nieco zagalopowałem. Ale jemu to się spodobało i wyznał, że on również ma przyzwisko.

- Mów mi Bob. Country Bob Bowker. Zresztą wołaj na mnie, jak chcesz, tylko nie wołaj mnie zbyt późno na obiad - kończąc tą przestrogą, klepnął mnie otwartą dłonią w plecy, aż omal nie przeleciałem przez ścianę. Trząśnięty teraz ze śmiechu i rzeził jak apoplektyk, jakby dopiero przed chwilą wymyślił ten żart i wypróbował go po raz pierwszy. Ja również starałem się roześmiać serdecznie, udając, że ocieram oczy.

- Amerykanin? - zapytałem. Było to oczywiście bardzo sprytnie z mojej strony, ponieważ wskazywało, że nie wiedziałem wcześniej, kim on jest, mimo

że ostatnio było o nim dość głośno.

- Zgadza się. Wyoming. Tam urodzony i wychowany. Pływam od niedawna i przywędrowałem tu dwa lata temu, by zobaczyć, jak sobie ludzie żyją na szerokim świecie. Zawsze byłem z tych ciekawskich. Poza tym byłem tam sam jak palec. Prowadziłem promy z Frisco do Sarsleeto i z powrotem, aż w końcu wykombinowałem, że może tutaj prędzej znajdę bratnią duszę.

Zwykły oczajdusza - pomyślałem, przyjmując od razu, być może niesłusznie, że za jego wyjazdem z Ameryki kryły się jeszcze inne powody, których nie był skłonny wyjawiać. Przytaknąłem jednak na znak, że traktuję jego historijkę z należytą powagą.

- Długo już tutaj? - zapytałem z udawaną nonszalancją. Spojrzał na mnie badawczo.

- Czy nie wspomniałem, że dwa lata?

- Mam na myśli tutaj, w chłodni.

- A, o to chodzi! - rozpogodził się. - Nie. Dopiero się zahaczyłem. Gdybyś zjawił się tu dzień czy dwa wcześniej, to byśmy się nie spotkali. Staruszek, który był tu szefem, wziął i umarł. Rzuciło nim, jakby go kto otruł, dokładnie tam, gdzie teraz stoisz. Hop - i już leżał. Godzinę później zajrzałem tu przez drzwi, ściskając w rękach kapelusz. Trochę się na tym znam; robiłem przecież przy maszynach, nadawałem się więc do tej pracy jak ulał. Przyjęli mnie od razu. A co ciebie to właściwie obchodzi?

- Nic, tak tylko pytam, tak tylko - odparłem, zdając sobie od razu sprawę, że nie powinienem był się powtarzać; nie mogłem dać po sobie poznać, że jestem spięty. Ale zaskoczył mnie tym pytaniem i jedyne, co chodziło mi teraz po głowie, to owo głupawe „hop - i leżał”, bo rzeczywiście było to dość frapujące - wyglądało, jakby starzec zrobił to z rozmysłem, może nawet podniósł się z krzesła wyłącznie w tym celu.

Sami widzicie, że trochę się zaplątałem. Nie szło mi najlepiej. Dziwnym trafem wzbudziłem jego podejrzenia, mówiąc najbardziej przypadkowe i zwykłe rzeczy. Kapitan Bowker jest po prostu jeszcze jednym obłąkańcem - pomyślałem sobie wtedy - takim facetem, co gdy go mijasz na ulicy i powiesz „dzień dobry”, to spojrzy na ciebie spode łba i zapyta, co chcesz przez to powiedzieć.

- Padł jak kłoda prosto na twarz - wyjaśnił kapitan ze śmiertelną powagą. Lecz zaraz się roześmiał i znowu poklepał mnie po plecach.

- Cygaro? - zaproponował. Machnąłem odmownie ręką.

- Nie palę. Ale ty się nie krępuj. Naprawdę lubię zapach tytoniu. Nawet bardzo.

Kapitan skinął głową i wyjaśnił:

- Dym pochłania amoniak.

Odgryzł koniec grubego cygara i wypluł go z dwa razy większą siłą, niż



było trzeba.

- Tak więc - zapytałem - czy masz coś przeciwko temu, że się tu trochę rozejrzę?

- Pewnie - odparł. Zrobiłem krok, lecz on natychmiast zastąpił mi drogę.

- Pewnie, że mam coś przeciwko temu,- zaczął się śmiać i teraz w żaden już sposób nie mogłem pojąć, o co mu tak naprawdę chodzi. Wyjął nie zapalone jeszcze cygaro z ust.

- Może jutro, Jim. Zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień. A ja nie mam czasu. Jestem tu nowy i w ogóle i nie mogę sobie pozwolić, by oprowadzać każdego Dicka czy Harry'ego - mówiąc to zdołał w jakiś sposób obrócić mnie i pchnąć w kierunku drzwi. - Chyba to rozumiesz, w końcu jesteś człowiekiem interesu. Może jutro po południu, może pojutrze. Chyba nie będzie za późno, no nie? Przecież nigdzie nie wyjeżdżasz. Wpadnij więc kiedyś i będziesz mógł tu buszować, ile tylko chcesz. Nie zapomnij tylko lupy i miarki.

I oto znów maszerowałem we mgle, zastanawiając się, jak mogłem tak pokpić sprawę. W ciągu dziesięciu minut byłem Abnerem, Jimem, Dickiem i Harrym, ale żaden z nas nic nie zdziałał, niczego nie odkrył. Przynajmniej się nie zdradziłem. Kapitan nie mógł przecież zgadnąć, kim naprawdę jestem. Będę mógł opowiedzieć bez wstydu St. Ivesowi i Hasbro o tym spotkaniu. Zachowanie kapitana mogło tylko utwierdzić nas w podejrzeniach, które już wcześniej wobec niego mieliśmy; weźmy chociaż fakt, że nie pozwolił mi obejrzeć maszyn w chłodni, a przecież powinny to być zwyczajne urządzenia.

Ruszyłem powoli do „Korony” - nie była to odpowiednia pogoda na bieganie. Minąłem już miejscowy bazar i kiedy byłem jakieś sto metrów od „Kufelka”, usłyszałem huk, jakby ktoś odpalił za mną petardę.

Zobaczyłem, jak stary żebrak w butach owiniętych szmatami, który stał tuż przede mną, prostuje się, jakby go ktoś dźgnął w krzyż. Po chwili czerwona plama zabarwiła koszulę na jego piersi.

Nie zdążyłem nawet mrugnąć, a już siedział na trawie, by w końcu przewrócić się na plecy. Patrzył prosto w niebo poruszając ustami, jakby chciał się modlić, ale zapomniał słów pacierza. Z pewnością został trafiony prosto w serce przez jakiegoś wyborowego strzelca. Rozległ się kobiecy krzyk. Usłyszałem też gwizdek. Na wpół świadom tego, co robię, chwyciłem starca za przegub próbując wyczuć tętno, ale na niewiele się to zdało. Gdzie u licha sprawdza się człowiekowi puls? Nie zawsze potrafię znaleźć go nawet u siebie. Pochyliłem się i przycisnąłem dłoń do rany na jego piersi, by zatamować potok krwi. Czułem się jak bezradny dureń, dopóki nie nadszedł doktor ze swą czarną torbą. Kucnął obok mnie, spojrzał na nieruchome ciało i pokręcił powoli głową na znak, że szkoda moich starań.

Zrobiło mi się trochę słabo od zapachu krzepnącej już krwi; wstałem i potykając się dotarłem do ławki, gdzie usiadłem zgięty wpół. Musiałem chyba

wyglądać, jakbym się rozglądał za czterolistną koniczyną. W końcu doszedłem do siebie. Wyprostowałem się tylko po to, by ujrzeć przed sobą konstabla, który przyglądał mi się jak ktoś, kto chce zadać kilka niecierpiących zwłoki pytań. O ile w chłodni nie za bardzo sprawdziłem się jako aktor, to przez te kilka minut zrobiłem niejakię postępy i teraz bez trudu przekonałem stróża porządku, że o nieboszczyku nie wiem absolutnie nic.

Nie wspomniałem jednak o jednej sprawie: wyglądało na to, że ni stąd, ni zowąd zacząłem przyciągać nieboszczyków. Najpierw ta tragedia w Holbom, a teraz człowiek z przestrzelonym sercem pada u moich stóp. Większość ludzi omijają w życiu takie przygody. Ja już zdążyłem przekroczyć swój limit. Była to pewna wskazówka, ale nie z tych, których potrzebował policjant, przynajmniej na razie.

Jeszcze przed południem wróciłem do „Korony” i doprowadziłem się do porządku. Kiedy St. Ives i Hasbro mnie znaleźli, pochłaniałem już drugi kufel piwa, ale nie czułem się ani odrobinę lepiej. To ostatnie zdarzenie tak wyprowadziło mnie z równowagi, że nie byłem w stanie myśleć na tyle jasno, by poukładać fragmenty tego ranka w jedną sensowną całość.

- Wyglądasz jak trup - przywitał mnie St. Ives ze zwykłą u niego szczerością. Zamówił kufel gorzkiego piwa (Hasbro zaraz zrobił to samo), choć narzucił sobie ostatnio kolejny reżim - w ciągu dnia pił tylko jabłecznik. Poszli w moje ślady tylko dlatego, by nie wydawało się dziwne, że żłopię samotnie piwsko jeszcze przed porą lunchu. St. Ives mrugnął do Hasbro.

- To przez czyste morskie powietrze. Brakuje ci londyńskiej mgły. Płuca źle znoszą taką zmianę. Poślij lepiej po Dorotę - te ostatnie słowa skierował do służącego, który udał, że wstaje, ale zaraz usiadł z powrotem, gdy dwie pełne szklance ukazały się na horyzoncie.

Oczywiście żartowali; poranna wizyta wprawiła ich w wyśmienity nastrój. Cieszyłem się z tego, zwłaszcza ze względu na St. Ivesa. Nie zamierzałem mówić im prawdy, ale w końcu to zrobiłem.

- Zastrzelono człowieka - oznajmiłem. St. Ives zachmurzył się.

- Wiadomość już się rozeszła. Słyszeliśmy, jak jakiś młodzieniec wykrzykiwał tę nowinę pod oknem domu cioci Edie. W Sterne Bay strzały nie są na porządku dziennym.

- Byłem świadkiem, widziałem to na własne oczy - powiedziałem. St. Ives spojrzał na mnie znad kufła i uniośł brwi. - Stał nie dalej niż pół kroku ode mnie. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak włóczęga. Chciał pewnie naciągnąć mnie na szylinga i nagle - trrrach! - leży na plecach, martwy. Dostał w serce.

- Pół kroku od ciebie, powiadasz? Rozumiem, że to przenośnia. Chciałeś po prostu powiedzieć, że stał bardzo blisko.

- Tak jak ja teraz obok pana - powiedziałem, próbując zrozumieć, do

czego zmierza.

St. Ives przez chwilę milczał, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał. Zajęło mi trochę czasu, nim zrozumiałem problem, bo zbyt wiele wydarzyło się tego ranka. Ta kula nie była wcale przeznaczona dla żebraka. Po prostu. Zabicie włóczęgi nic by nikomu nie dało, chyba że mamy do czynienia z szaleńcem. Ostatnio spotykałem ich zbyt wielu i prawdopodobieństwo natknięcia się na jeszcze jednego było nikłe. Postawmy sprawę jasno: żebrak odwracał się akurat w moim kierunku; patrząc od strony „Kufelka”, musiałem go w połowie zasłaniać. Kula, która go trafiła, minęła mnie o włos.

Kto więc strzelał do mnie z pensjonatu, na przykład z okna na drugim piętrze? A może z dachu chłodni? To również byłoby dogodne miejsce. Pomyślałem o znikającym słoniu i o kapitanie z jego manierami z Dzikiego Zachodu. Ale dlaczego, u licha...?

Zamówiłem trzeci kufel, obiecując sobie, że będę sącył go powoli, a potem pójdę na górę uciąć sobie drzemkę. Swoje już dzisiaj zrobiłem, czas na moich przyjaciół.

- Spotkałem Parsonsa na molo - oznajmiłem. - Rozmawiałem też z kapitanem Bowkerem. Myślę, że kobieta, ta od listów, też się gdzieś tu szwenda; być może zatrzymała się w pensjonacie „Pod Kufelkiem” - dodałem i wtedy dopiero się zaczęło. Musiałem im opowiedzieć wszystko po kolei: zabawka na stole, Parsons w wędkarskim ekwipunku, wielce „gościnnie” kapitan... A oni siedzieli bez słowa, myśląc sobie zapewne, że odwalilem tego ranka niezły kawał roboty, podczas gdy oni popijali herbatę u cioci i nasłuchiwali wieści przez okno.

- Kapitan pomyślał pewnie, że jesteś agentem albo wywiadowcą ubezpieczeniowym - podsunął St. Ives. - Ale co on takiego ukrywa, że nie pozwolił ci rozejrzeć się po chłodni? Może ten swój dziennik okrętowy? Raczej nie. A dlaczego miałby próbować cię zastrzelić? Trudno byłoby ten czyn uznać za argument świadczący o jego niewinności. Do tego jeszcze ten Parsons... - St. Ives znów pogrążył się w rozważaniach. Wtem uderzył pięścią w stół, wstał i skinął na Hasbro, który również się podniósł. Wyszli obaj pozostawiając prawie pełne szklance. Moja zaś była znów pusta. Kusilo mnie, by przelać do niej piwo z tamtych dwóch, dzięki czemu zapewniłbym sobie mocniejszy sen; drażniło mnie też takie marnotrawstwo. Niestety, zegar wybił już południe, a gospodyni obserwowała mnie z uśmiechem. Zbierała szklanki dziwnie powoli, przyglądając mi się zza okularów. Czmychnąłem na górę i wskoczyłem do łóżka, by nadrobić to, co straciłem zrywając się o świcie. Moja drzemka przeciągnęła się do późnego popołudnia.

Byłem już na nogach i właśnie wkładałem buty, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zapewne profesor - pomyślałem wstając, by je otworzyć. Równie dobrze może to być człowiek, który do mnie strzelał - przebiegło mi przez

głowę, gdy drzwi były już na wpół uchylone. O mało ich nie zatrzasnąłem, przeklinając w duchu swą lekkomyślność, ale w końcu stwierdziłem, że otwierając drzwi do połowy po to, żeby natychmiast je zamknąć, zrobię z siebie głupka, chyba że... rzeczywiście jest to zamachowiec.

Jednak nie. Był to mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wysoki, chociaż przygarbiony, miał wygląd bardzo mizerny, niemal trupi. Miał na głowie kapelusz, ale i tak widać było, że jest prawie łysy i że nie zadaje sobie trudu, by przystrzyc kępki włosów nad uszami. Świetnie nadawałby się na stracha na wróble - pomyślałem. Usta miał ujęte w nawias głębokich bruzd, prawdopodobnie na skutek odruchowego zaciskania warg. Teraz również to robił, patrząc na mnie znad haczykowatego nosa, jakby moja twarz nie całkiem przypadła mu do gustu.

Popołudniowe drzemki zawsze wprawiały mnie w paskudny nastrój, a widok tego człowieka jeszcze ten efekt podwoił.

- Pan chyba pomylił pokoje - powiedziałem i już miałem zamknąć drzwi, lecz mężczyzna zablokował je nogą.

- Jestem agentem ubezpieczeniowym - oznajmił, rozglądając się nerwowo po korytarzu. - Reprezentuję Lloyda. Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań...

- Ależ oczywiście - odpowiedziałem. A więc tak się sprawy mają. Rzeczywiście prowadzone było dochodzenie w sprawie kapitana. Otworzyłem drzwi na oścież i mężczyzna wszedł, wodząc wzrokiem po pokoju z nieco zdegustowanym wyrazem twarzy, jakby podłoga była usłana zdechłymi rybami, które już zaczynają się rozkładać. Agent czy nie - ten człowiek wcale mi się nie podobał.

Gość z miejsca przyparł mnie do muru, jak to mówią.

- Ktoś doniósł, że rozmawiał pan dziś z kapitanem Bowkerem.

Przytaknąłem.

- O czym? - chciał wiedzieć mężczyzna.

- O łodzie. Nazywam się Adam Benbow, przyjechałem z Harrogate. Jestem importerem ryb. Spędzam tu wakacje.

Teraz on skinął głową. Był bardziej łatwowierny niż kapitan. Dręczyło mnie jednak przecucie, że coś pokręciłem w moich personaliach. Ależ oczywiście! Jeszcze nie tak dawno miałem na imię Abner. Teraz już jednak nie mogłem sprostować. Poza tym skąd ten tu miałby znać moje imię? Jakże to mogło mieć dla niego znaczenie?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie zatonięcia statku. Czy rozmawiał pan z nim o tym?

- Jakiego statku?

- „Landed Catch”; zatonął w pobliżu Dover kilka dni temu. Co pan wie o tym statku?

- Absolutnie nic. Oczywiście, czytałem o tym w gazetach. Zresztą, kto nie czytał?

- Czy zna pan niejakiego Langdona St. Ivesa? - zapytał niespodziewanie. Jednocześnie obrócił się w moim kierunku, jakby chciał wzmocnić efekt zaskoczenia. Nie powiem, żeby mu się to nie udało. Mamrotałem bezładnie przez chwilę, spoglądając nań nerwowo. Kiedy w końcu wykrztusiłem: „Langdon... jak mu tam?”, rezultat był opłakany. Byłem przezroczystry jak szyba w oknie. Mężczyzna zachowywał się teraz, jakbym potwierdził wszystkie jego podejrzenia.

- Mamy powody przypuszczać, że pan St. Ives również prowadzi śledztwo w sprawie „Landed Catch” i chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego.

- Nie mam zielonego pojęcia. Jak on się nazywa, mówi pan? St... i co dalej? - Zdałem sobie sprawę, że udawanie nie ma sensu, musiałem jednak dalej robić z siebie głupka. Nie miałem zamiaru udzielić gościowi żadnych informacji. St. Ives może zrobić to sam. Z drugiej strony, utrzymywanie, że nie znam profesora, nie miało już chyba sensu; on i tak zorientował się w moich krętaństwach.

- Co tak naprawdę widział pan w chłodni?

- Co widziałem? Nic. Ten człowiek nie chciał mnie nawet wpuścić. Prawdę mówiąc, robił wrażenie zdenerwowanego, jakby nie życzył sobie, bym tam weszyl. On musi tam coś ukrywać, tyle tylko mogę panu powiedzieć.

- Coś ukrywa, sądzi pan?

- Gotów jestem się założyć.

Mężczyzna, odzyskawszy nagle humor, przytaknął i uśmiechnął się.

- Chyba ma pan rację - powiedział. - Moim zdaniem ukrywa tam coś naprawdę przerażającego. To zdradliwy rejon; pełno tu podwodnych skał i mielizn. On jest przebiegłym człowiekiem, ten cały kapitan Bowker. Radziłbym panu trzymać się od niego z daleka. Niech pan go zostawi nam. Już wkrótce w więzieniu Newgate będzie czekał na stryczek, choćby z powodu dzisiejszej strzelaniny.

Musiałem niezłe wytrzeszczyć oczy, kiedy to usłyszałem, bo widok mojej twarzy najwyraźniej go rozbawił. Pokiwał głową i zacisnął wargi tak mocno, że prawie znikły.

- Miał pan sporo szczęścia - dodał jeszcze - ale teraz nie należy się już niczego obawiać. Nie spuszczaamy go z oka, śledzimy każdy jego krok. Nie musi się pan ukrywać w tym pokoju.

- Ależ skąd, wcale się nie ukrywam. Właściwie to...

- Oczywiście, że nie - przerwał mi w pół słowa, kierując się do drzwi. - Niezłe się panu zaczął ten pobyt tutaj. Nie mam do pana żalu. Proszę do mnie zajrzeć. Binker Street. - Był już na zewnątrz i oddalał się korytarzem.

Zamknąłem drzwi i usiadłem na skraju łóżka, analizując sytuację. Teraz

rozumiałem z tego wszystkiego jeszcze mniej niż przedtem. Uspokoiła mnie jednak wiadomość, że ktoś ma kapitana na oku. Nie miałem już wątpliwości, że to on strzelał. Te jego kowbojskie maniery... Prędzej on, niż mój szalenciec z dorożki. Teraz stało się to dla mnie jasne.

Znów ktoś zapukał. Pomyślałem, że może wrócił ten agent, ale myliłem się. To była gospodyni z koszykiem owoców. Co za miła niespodzianka - pomyślałem, odbierając od niej koszyk.

- Dla mnie? - zapytałem, ale ona tylko pokręciła głową.

- W środku jest wiadomość - powiedziała, wskazując na koszyk.

Od razu pomyślałem, że to od Doroty i ucieszyłem się na myśl, że zarezerwowałem pokój w „Kufelku”. Tęsknota wzmacnia uczucia i to dość szybko, jak widać. Wyjechałem przecież zaledwie dziś rano. Spomiędzy fioletowych winogron wystawał róg koperty. Była wciśnięta pomiędzy dwa nie pierwszej świeżości jabłka. Sarta owoców spoczywała na kokosowej wyściółce w dziwnie ciężkim i zbyt głębokim koszu.

Wtem zwróciło moją uwagę stłumione tykanie piekielnego urządzenia ukrytego pośród owoców.

Dosłownie mnie zatkało. Chciałem już rzucić koszyk i skoczyć ku drzwiom, ale przecież nie mogłem tego zrobić. Mógłbym nawet nie zdążyć wybiec na zewnątrz, zanim ten hotel zostałby zrównany z ziemią. Podskoczyłem do okna - pod nim kręciło się kilka osób, wśród nich St. Ives i Hasbro, którzy akurat wspinali się po schodach. Nie mogłem tak po prostu wyrzucić tego na głowy tych ludzi.

W końcu otworzyłem drzwi i wypadłem na korytarz. Moje serce trzepotało jak spłoszony ptak. Nie zwracając sobie głowy pukaniem, pchnąłem drzwi sąsiedniego pokoju, co wielce zaskoczyło starszego pana, który siedział na krześle przy samym oknie - na szczęście otwartym - i czytał książkę.

Był to Parsons, tyle że nie miał już na sobie wędkarskiego stroju.

Wyprawa balonem Parsons zerwał się gwałtownie z miejsca, tak był zaskoczony widząc mnie szarżującego ku niemu z koszykiem w ręce.

- To bomba! - krzyknąłem. - Z drogi! - To ostatnie polecenie pomogłem mu wykonać moim własnym łokciem. Poleciał na łóżko i teraz mogłem już posłać kosz przez okno; niebezpieczny ładunek zatoczył niski, długi łuk i wpadł do zatoki. Myślę, że gdyby nawet kręciły się tam jakieś łodzie, i tak zrobiłbym to samo. Nie miał to przecież być czyn bohaterski, a jedynie akt desperacji - chciałem tylko pozbyć się tykającego prezentu, znaleźć jak najdalej od niego.

Bum! Wybuch nastąpił nisko w powietrzu, wzbijając fontannę wody. Po chwili spadł deszcz z owoców i fragmentów koszyka. A potem już tylko plusk coraz słabszych fal. Parsons stanął za mną, próbując zrozumieć co się stało, na

wpół wściekły, na wpół zdumiony. Wziąłem kilka głębszych oddechów, by się uspokoić, ale nie na wiele to się zdało. Ręka - ta, w której trzymałem kosz - wciąż trzęsła mi się zdradliwie. Opadłem ciężko na fotel Parsonsa.

- Przepraszam - zwróciłem się do sekretarza - nie chciałem wtargnąć tak gwałtownie.

Ten tylko machnął ręką, jakby rozumiał, że nie miałem innego wyjścia. Było oczywiste, że tykające urządzenie musiało tak właśnie skończyć - w wodzie za oknem. Nie było wyboru. Trudno przypuszczać, bym wsadził sobie tę bombę za pazuchę i o niej zapomniał. Parsons popatrzył za okno.

- Jestem na urlopie... - powiedział spokojnie, jakby powtarzając to, co słyszał ode mnie na pomoście tego ranka. Chciał pokazać, że, jak każdego zresztą, przejrzał mnie na wylot. Przelykałem z trudem ślinę, próbując pozbierać myśli, gdy St. Ives i Hasbro wpadli, by mnie wybawić z opresji. Z trudem łapali oddech, bo słysząc wybuch, pognali pędem w górę po schodach.

St. Ives stanął jak wryty na widok sekretarza. Co prawda, profesor wiedział, że Parsons kręci się po okolicy - sam mu o tym powiedziałem - ale tu, w „Koronie”? I co ten człowiek mógł mieć wspólnego z wybuchem? I co ja miałem wspólnego z Parsonsem?

Tym razem Parsons nie mógł nas zbyć zdawkowym „do widzenia”. Przyszedł czas na grę w otwarte karty, jakby to ujął kapitan Bowker. Raz jeszcze okazałem się człowiekiem, który coś wie, więc od razu poinformowałem ich o agencie ubezpieczeniowym.

- Mówisz, że znał moje nazwisko? - zapytał St. Ives, podnosząc głowę.

- Tak, zdawał się nawet wiedzieć... - tu popatrzyłem na Parsonsa, który przysłuchiwał się uważnie. St. Ives dokończył za mnie.

- Upewnił się, kim jesteś, dowiedział się, że masz pewne podejrzenia co do chłodni i wyszedł. Chwilę później dostałeś kosz z owocami.

Przytaknąłem i już chciałem opowiedzieć wszystko po swojemu, dodając parę szczegółów, ale St. Ives odwrócił się do sekretarza i nie dając mi najmniejszych szans oznajmił:

- Sam pan widzi. Nie gramy już w kotka i myszkę. Mówię panu wprost: wiemy, że maszyna lorda Kewina została skradziona. Dziecko by się tego domyśliło, choćby po tej hecy w pobliżu nabrzeża, kiedy żelastwo fruwało w powietrzu. Co mogło wywołać taki skutek, jeśli nie elektromagnes o niewiarygodnej mocy? Nie musi pan już nic ukrywać. Mam też dość wyraźne podejrzenie co do obecnych losów maszyny. Może lepiej wyjaśnijmy sobie wszystko. Powiem panu, co sam wiem, a pan przekaże mi swoje informacje. Może razem zdołamy dojrzeć dno tej mrocznej studni.

Parsons rozłożył ręce w teatralnym geście bezradności.

- Przyjechałem tu tylko na ryby - powiedział. - To wy rzucacie bombami przez okno. Mam wrażenie, że w jakiś sposób przyciągacie

wszystkie te bomby i kule.

St. Ives spojrział z niechęcią na Parsonsa i zwrócił się do mnie.

- Ten agent... Jack, opisz nam, jak on wyglądał.

- Wysoki i szczupły, z haczykowatym nosem. Miał kapelusz, ale i tak widać było, że jest łysy, a kępki włosów po bokach sterczały jak szczotki do czyszczenia kominów.

Parsons wyglądał teraz, jakby piorun w niego strzelił. Zaczął coś mówić, lecz zawahał się, zaczął raz jeszcze i w końcu, udając, że nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia, zapytał:

- Nie był przypadkiem nieco przygarbiony? Przytaknąłem skwapliwie.

- Małe usta, przypominające ptasi dziób?

- Zgadza się.

Wyglądało na to, że Parsons się poddał. Przetrzyliśmy go jeszcze chwilę, aż w końcu sam wyznał:

- To nie był żaden agent.

Nikogo to stwierdzenie nie zaskoczyło. Wiadomo, że nie był to agent ubezpieczeniowy. St. Ives domyślił się od razu, miał przecież umysł ostry jak brzytwa. Agenci ubezpieczeniowi nie rozdają bomb udających koszyk z owocami. Czekaliśmy jednak, aż Parsons sam w końcu powie, kim był ten człowiek, by wreszcie zakończyć tę ciuciubabkę. Widać było, że kalkuluje gorączkowo, ile może nam powiedzieć.

Parsons nie jest złym człowiekiem. Mówię to, bo chcę przedstawić rzecz uczciwie. Oczywiście, on i St. Ives nie zgadzali się w pewnych sprawach, ale obaj mierzyli do tych samych celów, tyle że z różnych pozycji. Parsons nie mógł znieść myśli, że ktoś strzela do ludzi, nawet takich, którzy zasłży mu za skórę, tak jak ja. Tak więc w końcu wyjawiał nam sekret.

- To był człowiek o nazwisku Higgins.

- Leopold Higgins! - wykrzyknął St. Ives. - Ichtiolog! Ależ oczywiście!

- St. Ives zawsze wydawał się znać przynajmniej pół prawdy, co w sumie daje niezły wynik, gdy te połówki zsumować.

- Tak, to on. Człowiek Oxfordu. Akademik-odszczepieniec. To niebezpieczny rodzaj ludzi, mam na myśli akademików, którzy schodzą na złą drogę. Higgins jest także chemikiem. Powrócił z Dalekiego Wschodu z dziwacznymi poglądami na temat karpia. Utrzymywał, że jeśli się takiego karpia zamrozi, to można go z powrotem odmrozić po kilku miesiącach, czy nawet latach - żywego. O ile pamiętam, chodziło o wydzielinę pewnych gruczołów, która odsysała wodę z komórek, dzięki czemu nie pękały po zamrożeniu. Tak więc albo był geniuszem kriogeniki, albo po prostu był stuknięty; wybór pozostawiam wam. Ten człowiek nie był w stanie normalnie myśleć. Zdaje mi się, że to z powodu opium. Twierdził, że to wszystko ukazało mu się we śnie.



Wróćmy jeszcze do tej historii z gruczołami karpia. Teoria Higginsa opierała się na założeniu, że wydzieliny tych gruczołów były sekretem długowieczności tych ryb. Jeszcze nie minął rok od jego powrotu z Chin, kiedy zniknął. Dwa dni wcześniej widziałem go jeszcze w klubie, w Londynie. Był pełen niepohamowanego entuzjazmu; pytał o różnych starców, o zdrowie ludzi, o których nigdy wcześniej nie słyszałem i powtarzał, że jest już o krok od kolosalnego odkrycia. I wkrótce zniknął - wyszedł z klubu i tyle go widziano.

- Aż do dzisiaj - zauważył St. Ives.

- Na to wygląda.

- Oto spełniają się nasze najgorsze obawy. - St. Ives zwrócił się do mnie i do Hasbro, po czym uklonił się sekretarzowi i wyraził mu swą wdzięczność. Wreszcie wyszedł na korytarz. Razem z Hasbro podążyliśmy za nim i wszyscy trzej udaliśmy się wprost na stację kolejową.

Tę noc spędziliśmy na promie do Ostendy. Nie mogłem zasnąć; rozmyślałem o „Landed Catch”, który poszedł na dno jak cegła, nieco na południe od miejsca, w którym teraz się znajdowaliśmy. Gotów byłem na jedno kiwnięcie palcem wskoczyć do szalupy i wiosłować stąd co sił. Następnego dnia zastał nas w pociągu do Amsterdamu; potem pojechaliśmy dalej, do Niemiec i Danii, by w końcu przez Skagerrak dotrzeć do Norwegii. To była koszmarna podróż - cały ten pośpiech i brak snu. Właściwie jedynym jasnym punktem było to, że nikt przez całą drogę nie próbował mnie zabić, przynajmniej przez ten czas, kiedy nie wychylałem nosa z pociągu.

St. Ives był jakiś nieswój. Rok temu pokonał tę samą zabójczą trasę i zostawił Narbonda na dnie lodowatego jeziora w pobliżu Mt. Hjarstaad - wulkanu górującego nad Morzem Norweskim. I oto wszystko wskazuje na to, że doktor ma się całkiem dobrze i znów coś knuje. Trudno było w to uwierzyć, dopóki Parsons nie wspomniał o postępie w dziedzinie kriogeniki. Dwie rzeczy trapiły St. Ivesa, aż marniał w oczach z dnia na dzień. Jedna - że po raz kolejny zawiódł. Przechytrzenie Narbonda i zepchnięcie Ziemi z toru kolidującego ze straszliwą kometą było jego największym życiowym osiągnięciem. Do tej pory. Teraz wyglądało to raczej na porażkę, w każdym razie on tak uważał. Białe stało się czarne. Od miesięcy zadawał sobie wciąż to samo pytanie. Czy przyczynił się do śmierci doktora, czy próbował temu zapobiec? Właściwie sprowadzało się to do dylematu: czy rzeczywiście próbował go uratować, czy raczej starał się sobie wmówić, że próbował? Tej ostatniej wersji najbardziej nie znosił; to przecież najprostsza droga do obłędu. Nagle wszystkie te rozważania straciły sens. Wszystko wskazywało na to, że Narbondo żyje i pała jeszcze większą żądzą mordy, niż kiedykolwiek przedtem. Okazało się, że St. Ivesowi zabrakło wtedy konsekwencji. Narbondo musi wylądować na szubienicy.

Najgorsza była świadomość, że nie było innego sposobu, aby dowiedzieć się tego, co było nam potrzebne. St. Ives nie znał nikogo na norweskim pustkowiu. Nie miał do kogo wysłać listu z pytaniem, czy przypadkiem nie wyłowiono z jeziora zamrożonego garbusa, którego potem przywrócono do życia; musiał sam to sprawdzić. Myślę, że jednak się zastanawiał, czy nie powinien był raczej wysłać do Norwegii Hasbro lub mnie, a samemu czekać na wiadomość w Sterne Bay.

W drodze na północ dotarliśmy do Trondheim i tam otrzymaliśmy wiadomość, że zatoniły kolejne dwa statki, bardzo blisko miejsca, gdzie zatonął pierwszy. Oba miały żelazne kadłuby i poszły na dno błyskawicznie, dokładnie w ten sam sposób. Załoga zdażyła opuścić pierwszy z nich, ale na drugim zginęło dziesięciu marynarzy. To Godall przysłał nam ten telegram. On także skłonił szefa rządu do działania. St. Ives był wściekły na siebie, że sam nie zrobił nic, by zapobiec tragedii.

Ale co właściwie mógł zrobić? Łudził się tylko, że mógł temu zapobiec. Był wściekły na rząd; otrzymali przecież ostrzeżenie, nawet sam Godall monitował ich już wcześniej. Ktoś, prawdopodobnie Higgins, zażądał astronomicznego okupu, na co zareagowali jak na żart, choć ultimatum było napisane tą samą ręką co przestroga dla kapitana Bowkera i zawierało groźbę, że kolejne statki zostaną zatopione. Akademia Królewska powinna była przekonać rząd, by potraktował sprawę poważnie. Cóż, kiedy oni sami byli nie całkiem w porządku, postanowili więc czekać. Wszyscy razem okazali się strasznymi głupcami.

Dopiero teraz na pechowym obszarze, od ujścia Tamizy do Folkestone, wstrzymano żeglugę, co musiało przynieść olbrzymie straty zarówno Koronie, jak i prywatnym przedsiębiorcom. Zdaniem Godalla, obroty w Londynie spadły o połowę. Właściwie miasto było jak w stanie oblężenia, tyle że nikt nie miał pojęcia, kim jest wróg i gdzie się znajduje... St. Ives nie odzywał się ani słowem; irytowało go powolne tempo naszej podróży i monotony krajobraz za oknem: skały, fiordy, lasy sosnowe...

Powinien jednak dążyć naprzód, cóż innego mu pozostało? Zapytałem go o to. Odpowiedział, że może jeszcze zawrócić i właśnie na to się zdecydował. Znajdowaliśmy się wtedy niedaleko na północ od Trondheim i od celu dzieliło nas jeszcze kilka godzin jazdy. Moim zadaniem było rozejrzeć się i dowiedzieć jak najwięcej. Profesor miał zabrać Hasbro z powrotem do Dover, by tam zbudować pewne urządzenie. Uważał, że postąpił jak skończony głupiec i że ponosi wyłączną odpowiedzialność za śmierć tych dziesięciu ludzi. Mógł zapobiec nieszczęściu, gdyby nie myślał wtedy Bóg wie o czym. Cały czas obwiniał siebie o wszelkie zło tego świata, ponieważ nie potrafił się mu przeciwstawić. Nie przyszło mu jakoś do głowy, że jeden człowiek nie jest w stanie tego dokonać.

Gdy wynosili swój bagaż na peron, Hasbro popatrzył na mnie. Profesor wyglądał, jakby uszło z niego powietrze; dziwnie zapadł się w sobie. W głębi jego oczu pojawił się niepokojący błysk, jakby wpatrywał się w jeden punkt gdzieś na horyzoncie - przebiegłą twarz Ignacia Narbondo. I nie przestanie widzieć tej twarzy, dopóki nie zetrze tego człowieka z powierzchni ziemi.

Hasbro wziął mnie na stronę, by zapewnić, że zaopiekuje się profesorem; powiedział, że nie muszę się o nic martwić, bo w końcu i tak dopniemy swego. Moim zadaniem jest tylko dowiedzieć się prawdy na temat Narbonda. St. Ives stał się ostatnio drobiazgowy jak zegarmistrz - musi mieć absolutną pewność co do faktów.

Obaj dostrzegaliśmy jednak, że profesor traci powoli siły. Przez chwilę, tam na peronie, zapragnąłem, by nigdy nie odnalazł Ignacia Narbondo, bo te poszukiwania właśnie, choć może zabrzmi to okropnie, nadawały teraz sens życiu tego wielkiego człowieka.

Przestępcza kariera Narbonda była długa i niebanalna: wiwisekcja, fałszerstwa, morderstwo - kilka razy cudem wywinął się od stryczka, a na domiar wszystkiego zniknął z więzienia w Newgate niemalże w przeddzień zaplanowanej egzekucji. Nie było takiego łajdactwa, do którego nie przyłożyłby ręki. Parał się alchemią i fizjologią stworzeń ziemno-wodnych; istniały też dowody, że pracował nad dawno zapomnianą formułą Paracelsusa i udało mu się uzyskać pewne specyfiki, konieczne do wskrzeszania umarłych. Jego dziad, Narbondo starszy, opisywał udane eksperymenty wskrzeszenia nieboszczyków w dziennikach, które dawno zaginęły. Właśnie o tych papierach wspominała kobieta w sklepie Godalla.

Sprawa tych papierów była naprawdę tajemnicza; o wiele bardziej, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka. Zawierała wątki, które mogły prowadzić do pradawnych czasów i do najdalszych zakątków Ziemi. W żaden sposób nie potrafiliśmy rozwikłać tej tajemnicy. Mogliśmy tylko pokusić się o interpretację obecnych wydarzeń - sprawy akademika Higginsa, kapitana Bowkera i przywróconego do życia Narbonda oraz tonących w Cieśninie Kaletańskiej statków. To i tak wystarczy, by zapędzić w kozi róg nawet takiego człowieka, jak St. Ives.

To właśnie on wymyślił, by znów użyć sterowca. Miałem kontynuować podróż pociągiem do Mt. Hjarstaad, by dowiedzieć się, czego tylko zdołam, i tam czekać na przybycie sterowca, który miał wyruszyć z Dover, kiedy tylko St. Ives dotrze do miasta. Wciąż zawijały tam promy, ale tylko te, które przybywały z północy; promy z Flandrii i Normandii nie kursowały wcale. St. Ives chciał zatem wysłać po mnie sterowiec, bym zdążył z powrotem do Anglii na czas, gdy będę znów potrzebny.

- Powinniśmy byli skorzystać ze sterowca od razu - narzekał profesor, stojąc na peronie, gdzie hulał zimny arktyczny wiatr. Powinniśmy byli zrobić

to, powinniśmy byli zrobić tamto. Przytakiwałem tylko i mamrotałem coś pod nosem; nigdy nie widziałem go tak zdesperowanego. Nie było sensu spierać się, tym bardziej że zimne skaliste otoczenie nastrajało przygnębiająco. A ja powinienem wyruszyć w dalszą drogę możliwie najbardziej zdeterminowany.

Tak więc w końcu oni podążyli na południe, a ja dalej na północ. Nie miałem pojęcia o ich dalszych losach, dopóki nie spotkałem ich po powrocie do Sterne Bay. Sterowiec przybył bez przeszkód, by mnie zabrać, co zaoszczędziło mi co najmniej kilku dni tułania się po Norwegii, ale i tak dotarłem do Dover zbyt późno, by dołączyć do moich towarzyszy w ich ryzykownym naukowym przedsięwzięciu. Ale nie wyprzedzajmy faktów. Powinienem najpierw opowiedzieć, czego zdołałem dowiedzieć się w Hjarmold - miejscowości leżącej u stóp naszej góry.

Narbondo został wyłowiony ze swego wodnego grobowca przez wysokiego, szczupłego, łysego mężczyznę. Musiał to być Leopold Higgins, choć zameldował się w schronisku pod nazwiskiem Wiggins, co świadczyło, że albo był bezgranicznie pewny siebie, albo niespełna rozumu. Dowiedziałem się tego wszystkiego od pewnego chłopca, który mieszkał za stajnią schroniska i niejedno stamtąd widział. Nikt nie starał się zachowywać specjalnej ostrożności. Higgins i jego pomocnik - kapitan Bowker, jak wynikało z opisu, przyjechali pewnego dnia późnym popołudniem z Narbondem leżącym na wozie, sztywnym jak kolek. Twierdzili, że ten człowiek wpadł do wody rano, podczas ich wspólnej wspinaczki. Właściwie w ich relacji nie było nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Higgins utrzymywał, że jest lekarzem i nie zgodził się, aby posyłać do Bodo po miejscowego felczera. Co ciekawe, nie zabrał Narbonda do środka schroniska, żeby tam odtajał; zamiast tego urządził w stajni małe obozowisko, twierdząc, że rekonwalescencja pacjenta musi odbywać się etapami. Pierwsze dwie noce Narbondo spał przykryty jedynie derką. Higgins karmił go tylko, jak sam twierdził, tranem, ale czasem nazywał to też „eliksirem”. Gdy tylko Narbondo zaczynał jęczeć i dygotać, Higgins uznawał, że pacjent dochodzi do siebie zbyt szybko i wywlekał go na zewnątrz (a była to mroźna noc), aby trochę zeszywniał.

Stajenny, który mi to wszystko opowiedział, był dość bystrym młodzieńcem i wyczuwał, że coś tu brzydko pachnie, a nie był to bynajmniej tran. Był na tyle sprytny, że potrafił rozpoznać oszustów w ludziach tego pokroju co Higgins i Bowker. Podglądał ich, jak sam twierdzi, przez dziurę w desce, kiedy oni myśleli, że śpi. Czwartej nocy Narbondo całkiem się obudził, choć tylko na parę sekund. Higgins ustawił jakiś aparat: rurki, skórzane bukłaki, naczynia z żółtą cieczą. W ciągu nocy spryskiwał doktora tym płynem, podczas gdy kapitan chrapał na sianie. Godzinę przed świtem Narbondo zamrugał w świetle lampy i w końcu otworzył oczy. Przez chwilę rozglądał się zdumiony wokół, nie bardzo rozumiejąc, gdzie się znajduje. Na

jego twarzy pojawił się grymas - a może to był uśmiech. Wypowiedział jedno słowo:

- Dobrze... - i znów stracił przytomność.

Tak więc pół godziny wystarczyło, bym dowiedział się tego, po co tu przyjechałem. Profesor miał rację, że zawrócił - nie potrzeba trzech ludzi, by wziąć na spytki stajennego chłopca. Po tym wszystkim byłem zmuszony zabawić jakiś czas w miasteczku, jedząc różne świństwa i zastanawiając się, kiedy przybędzie mój sterowiec. Najbardziej mnie zastanowiło, że zamrożony mężczyzna - zgodnie z tym, co mówił ten chłopiec - miał mlecznobiałe włosy i bardzo bladą karnację. Wyglądał podobno jak rzeźba lodowa lub postać oproszona szronem, podczas gdy Narbondo, kiedy skakał do jeziora, miał rzadkie ciemne włosy dopiero zaczynające siwieć.

Określenia „oproszony szronem” nie wymyśliłem ja; była to próbka literackiej twórczości mego informatora, który przez dziesięć lat mieszkał w Yorku i mógłby zostać nawet pisarzem, gdyby się do tego przyłożył. A tutaj musiał wymiatać końskie łajno. Skłoniło mnie to do refleksji o sprawiedliwości na tym świecie, ale tylko przez chwilę, ponieważ niemal jednocześnie przypomniał mi się list, który czytaliśmy w sklepie Godalla, podpisany przez H. Frosta z uniwersytetu w Oxfordzie. Tymczasem Langdon St. Ives i Hasbro powrócili do Dover bez przeszkód - żadnych bomb, żadnej strzelaniny ani nawet przygód ze statkiem. Wydaje mi się, że nagłym zniknięciem ze Sterne Bay wyprowadziliśmy naszych prześladowców w pole. Być może uznali, że zwialiśmy po tej hecy z bombą w koszyku z owocami. Z drugiej strony Narbondo czy nawet Frost, znając dobrze St. Ivesa, takiego błędu raczej by nie popełnili. W każdym razie St. Ives, załatwiwszy w Dover sprawę sterowca, który miał zabrać mnie z Norwegii, zaczął szukać balonu dla siebie i dla Hasbro. Nie czekali na mnie - nie mogli - ale postaram się zrelacjonować ich poczynania najdokładniej jak potrafię, znając tę historię co prawda z drugiej ręki, ale za to z opowieści bezpośrednich uczestników.

Otóż St. Ives przystąpił do budowy urządzenia, które pozwoliłoby mu mierzyć natężenie pola magnetycznego. Była to zwykła spirala z bizmutu połączona ze wskaźnikiem, na którym można było odczytać zmiany oporu w spirali, by w ten sposób określić natężenie pola magnetycznego. Jest to stosunkowo proste, jak dziecinna zabawka, i równie łatwe w obsłudze. Sama prostota pomysłu rozdrażniła profesora - gdyby wykonał to przynajmniej tydzień wcześniej, ocaliłby życie dziesięciu ludzi.

Przymocował spiralę do pręta, który miał następnie zostać przywiązany pod koszem balonu, tak, żeby spirala była zawieszona tuż nad falami, co czyniło pomiary wyjątkowo niebezpiecznym przedsięwzięciem. Jak się później okazało, musieli z narażeniem życia utrzymywać balon dokładnie nad powierzchnią morza. Dlaczego nie wykorzystali liny, by móc zeglować na

bezpiecznej wysokości? Wyjaśnię pokrótce, że pomiary pola elektromagnetycznego mają swoje ograniczenia: przewód łączący spiralę ze wskaźnikiem musi być jak najkrótszy, jeśli chcemy uzyskać dokładne wskazania - tak przynajmniej rozumował St. Ives, chociaż omal nie przyplacił tego życiem.

Profesor zamierzał odnaleźć miejsce, gdzie ukryto urządzenie lorda Kelvina - niezwykle potężny elektromagnes, skradziony z warsztatu w Holborn. Wiadomo było tylko, że należy szukać w rejonie Cieśniny Kaletańskiej. St. Ives zakładał, że maszynę umieszczono na zanurzonej platformie lub też na piaszczystej mieliźnie. Mogła być zakotwiczona, ale niewykluczone, że z wolna dryfowała, unoszona głębinowymi prądami. Podejrzywał też istnienie urządzenia w rodzaju pławika czy boi, służącego do lokalizacji i ewentualnie do włączania i wyłączania maszyny.

Już na drugi dzień St. Ives i Hasbro byli w powietrzu. Trudno było się spodziewać, że zakaz lokalnej żeglugi potrwa dłużej niż tydzień - ekonomia ma swoje prawa. Rząd zapłaci w końcu okup lub pogodzi się ze stratą statków. Akademia Królewska wciąż wszystkim z uporem zaprzeczała, podczas gdy jej członkowie na własną rękę usiłowali rozwiązać zagadkę.

St. Ives i Hasbro przemierzali obszar od Ramsgate do Dungeness. Hasbro, doświadczony balonowiec, zdobywca błękitnej wstęgi na zawodach transeuropejskich w 1883 roku, z wielkim trudem dobierał balast tak, by utrzymać gondolę tuż ponad falami nie zatapiając aparatu profesora. Nękały ich ostre porywy wiatru od Morza Północnego, które spychały balon na południe ku francuskiemu wybrzeżu. Hasbro musiał wykorzystać wszystkie swe umiejętności, by tylko utrzymać kurs. St. Ives przygotował coś w rodzaju wyważonej kotwicy, którą ciągnęli za sobą, by uniknąć zepchnięcia na normandzki brzeg, zanim zdołają znaleźć cokolwiek.

Ale i tak wyglądało na to, że wszystkie ich wysiłki pójdą na marne - cieśnina wydawała się zbyt dużym obszarem dla dwóch śmiazków w balonie. Było już popołudnie i skłonni byli dać za wygraną, lecz nagle ujrzeli jednomasztowiec, którego oflagowanie wskazywało na przynależność do Akademii. St. Ives rozpoznał Parsonsa na pokładzie i dał mu znak ręką; Parsons chyba nie był pewny, kto do niego macha, więc skinąwszy nieznacznie głową, skrył się pod pokładem. Nie można było wykluczyć, że Akademia zdołała odnaleźć miejsce zatopienia maszyny, ale równie dobrze mogli wciąż szukać. Co miał zrobić teraz St. Ives? Co w ogóle można było zrobić w takiej sytuacji?

Przelecieli nad dziobem żaglowca i zostawili go w tyle. St. Ives po raz ostatni opuścił spiralę, by dokonać jeszcze jednego pomiaru. Tym razem zaobserwowali pewne odchylenia - wskazówka aparatu wykonała dość nagły obrót. Przez ten czas oddalali się od łodzi Parsonsa w kierunku południowo-

wschodnim.

Byli już dwieście metrów od jej lewej burty, kiedy balon szarpnął, rzucając profesora i Hasbro o ścianę kosza, który przechylił się niebezpiecznie, omal nie wyrzucając ich do wody. Hasbro, myśląc, że to lina kotwiczna zahaczyła o coś, zaciekle usiłował ją przeciąć. St. Ives zaś nie wypuszczał z rąk pręta ani miernika, który w końcu eksplodował mu w rękach. Tak, eksplodował - to najlepsze słowo; wskazówka wirowała jak szalona, aż w końcu skrzyła się na amen.

St. Ives wypuścił aparat, który natychmiast runął do wody. Liny balonu napięły się, lecz próba poderwania gondoli ku górze nie zdała się na nic; jakaś niewidzialna siła ciągnęła kosz w przeciwnym kierunku, więc tylko wirował i podskakiwał bezładnie, jakby toczył bój z jakimś niewidzialnym okrętem.

Załoga żaglowca, łącznie z Parsonsem, wyległa na pokład, obserwując oszalały balon i dwóch uciepionych go bezradnie mężczyzn. Musiało to wyglądać, jakby powłokę balonu rozrywały dwie przeciwstawne moce, co w pewnym sensie było prawdą - to potężne siły magnetyzmu i ogrzanego powietrza ciągnęły każda w swoją stronę. Najlepszym dowodem tego był zrujnowany miernik. Wyglądało na to, że St. Ives odnalazł zatopioną maszynę i wzmocnione żelaznymi okuciami dno gondoli znalazło się w jej elektromagnetycznym potrzasku. Przy odgłosie rozrywanego płótna i pękających lin kosz runął w dół i o mało co nie został wciągnięty pod wodę. Obaj pasażerowie musieli płynąć co sił, by wyjść z tego cało - St. Ives i Hasbro młócili rękami zimną wodę, zmierzając ku dość oddalonej łodzi. W tym czasie gwoździe same wyskoczyły z obcasów ich butów, a profesor czym prędzej wyłowił z kieszeni scyzoryk i sprezentował go maszynie, by ocalić swe spodnie. W końcu, gdy oddalili się już od pękających lin i podskakującej na wodzie powłoki balonu, odwrócili się, by popatrzeć.

Przez chwilę ich kosz utrzymywał się na powierzchni, ale nagle szarpnięcie wciągnęło go pod wodę. Tkwił tak, zawieszony tuż pod powierzchnią. Wciąż uwiązany do kosza balon leżał płasko na falach, unosząc się i opadając w ich rytmie. Napierające od wewnątrz gazy rozrywały szwy wydając odgłosy przypominające wystrzały z karabinu, a gorące powietrze ulatywało z sykiem do atmosfery, jakby jakiś olbrzym deptał nieszczęsną powłokę balonu.

W ciągu kilku minut zapadnięty balon podążył w ślad za gondolą, jak spłoszona kałamarnica, by nie ukazać się nigdy więcej. St. Ives i Hasbro płynęli dalej, nie wierząc jeszcze w swoje szczęście. Gdyby żaglowiec nie wysłał po nich łódki, utonęliby niechybnie. Sam Parsons nie miał co do tego wątpliwości i powitał ich na pokładzie nie żałując kąśliwych uwag.

- To ci dopiero był pokaz! - zwrócił się do St. Ivesa, który człapał ku frontowej kabinie. - Nie przypominam sobie równie odkrywczej metody

badań. Mam nadzieję, że sporządził pan dokładne notatki. Na pańskiej twarzy nawet z tej odległości widziałem wyraz naukowego olśnienia. Gdybym był malarzem, uwieczniłbym ten widok dla pana... - pokpiwał Parsons w tym stylu, chichocząc zza obfitej brody. Opuściwszy zaznaczony czerwonymi bojami rejon, skierowali się ku Dover.

W tym czasie, kiedy oni unosili się nad cieśniną, ja również byłem w powietrzu; zmierzając do Sterne Bay, spoglądałem ze sterowca na szarą powierzchnię morza pode mną, czując się panem swojego losu. Jeszcze w Norwegii sprawa chłodni przestała być dla mnie tajemnicą. Minęło jednak trochę czasu od mojego spotkania z kapitanem Bowkerem i wiele mogło się od tej pory wydarzyć. Mogę tam nawet nikogo nie zastać, zwłaszcza że łódź może być już teraz niepotrzebny. Z drugiej strony mogę dość łatwo znaleźć sposób, by zrobić, co do mnie należy.

W „Koronie” dowiedziałem się, że profesor i Hasbro jeszcze nie wrócili ze swej balonowej eskapady. Parsonsa również nie było. Zmartwił mnie taki obrót sprawy; nawet towarzystwo sekretarza byłoby lepsze niż samotność. Usiadłem na skraju łóżka. Miałem do wyboru - pójść na piwko lub uciąć sobie drzemkę. Z jednej strony nie chciałem uciekać w sen przed obowiązkami; z drugiej - picie i sen to, żaloszny co prawda, substytut towarzystwa. Gdy tak siedziałem, przypomniało mi się niedawne pukanie do drzwi; zdałem sobie sprawę, że może mi się przyśnić dalszy ciąg tej koszmarnej historii. Kto mi zagwarantuje, że drzwi nie uchylą się bezszelestnie i jakaś piekielna konstrukcja nie wtoczy się, niby melon z syczącym lontem, na środek pokoju...

Nie, drzemka nie wchodzi w rachubę. W takim razie co robić? Mogłem pójść do chłodni, ale w roli Abnera Benbowa nie miałem szans. Przebranie? Może peruka i sztuczny nos coś by dały, ale zarzuciłem ten pomysł, bo czegoś takiego właśnie by się po mnie spodziewali. Moim asem atutowym mógł okazać się fakt, że do głowy im nie przyjdzie, iż wróciłem do Sterne Bay. Byłem gotów stawić im czoła, ale nie warto narażać się na niepotrzebne ryzyko.

Wyszedłem drzwiami na drugim piętrze z tyłu zajazdu. Rozchwiane schody prowadziły w dół obok zachwaszczonego ogródka. Minąłem bramę i znalazłem się na brzegu zatoki. Chyba z tuzin łodzi kołysało się jedna przy drugiej wzdłuż pomostu z nadgniłych desek, który sięgał dobrych pięćdziesiąt metrów w głąb morza, kończąc się gęstwą połamanych słupów. Wokół nie było nikogo.

Był to czas odpływu i wzdłuż niskiego falochronu pozostał wąski pas małych, okrągłych kamyków. Podążyłem wzdłuż tego pasa z zamiarem powrotu do miasteczka w pewnej odległości od „Korony”; chciałem zmylić ich na wypadek, gdyby rzeczywiście czyhali na mnie i obserwowali zajazd.

Kilkaset metrów dalej przeskoczyłem z powrotem na drugą stronę



falochronu i podążyłem wąskim chodnikiem pomiędzy dwoma obrośniętymi winem domkami. Wydostałem się stamtąd niedaleko od miejsca, gdzie upadł żebrak, zastrzelony, zanim zdążył wydostać ode mnie tych parę groszy. Maszerowałem dość zwawo w kierunku chłodni, ale nagle moją uwagę przykuły otwarte drzwi „Kufelka”.

Wciąż nie byłem pewien, czy to mój gumowy słoń rzeczywiście leżał w tamtym pokoju, głównie dlatego, że jak na detektywa, byłem raczej nieśmiały i trochę się bałem tej kobiety w recepcji, która, jak mi się zdawało, musiała wziąć mnie za głupka. Nie da się ukryć, że zbyt łatwo daję się zbić z tropu. Ale tym razem będzie inaczej. Podszedłem do drzwi, pokonałem kilka schodów i oto znalazłem się w holu. Kobieta stała w tym samym miejscu, zajęta rachunkami. Zdawała się mnie nie rozpoznawać. Słyszając moje radosne „Dzień dobry, to znowu ja...”, ledwie na mnie spojrzała. Zsunęła nieco okulary, by przyjrzeć mi się znad szkieł.

- Słucham pana.

Fakt, że nie rozpoznała mnie po tym zajściu sprzed kilku dni, w pewnym stopniu zmienił sytuację. Koniec z uprzejmością. Nie znoszę nadętej wyższości u ludzi - zwłaszcza u urzędników i kelnerów - którzy nie mają ku temu żadnych innych podstaw, jak tylko to, że wykonują taki czy inny zawód. A kimże innym była ta kobieta, jak nie zarozumiałą urzędniczką? Może była właścicielką tego pensjonatu, a może nie. W każdym razie nic nie upoważniało jej, by mnie lekceważyła.

- Mam taką sprawę - zacząłem, opierając się o ladę.

- Szukam pewnej kobiety. Podróżuje z synem. Przypuszczam, że zatrzymali się tutaj, a już na pewno byli tu w zeszłym tygodniu. Są niezwykle do siebie podobni, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Ten syn, młodzieniec w wieku... powiedzmy do trzydziestu lat, może mieć przy sobie gumowego słonia, który wydaje specyficzny odgłos.

- Odgłos? - zdziwiła się, sprawiając wrażenie, że jedynie to dotarło do niej z mojej krótkiej przemowy. To, że słoń może wydawać jakiś dźwięk, że próbowałem jej przedstawić sprawę w najdrobniejszych szczegółach, jakby pozbawiło ją zdolności rozumienia najprostszych angielskich słów i umiejętności logicznego kojarzenia.

- Zapomnijmy o tym - zaproponowałem, tracąc powoli cierpliwość. W tym momencie przypominałem sobie, jak St. Ives potraktował właścicielkę „Korony”; należy postępować łagodnie - upomniałem siebie w duchu i zmusiłem się do uśmiechu.

- Chciałem zapytać o te kobiety i jej syna, bo widzi pani, ona jest kuzynką mojej matki. Otrzymałem właśnie list, z którego wynika, że ona wraz z synem, jak mu tam... - moja kuzynka przeprowadzała się dwa razy - o, Billy! - tak go zwykliśmy nazywać, chociaż nie było to jego prawdziwe imię... W

każdym razie ona spędza tu wakacje i bardzo mi zależy, by dowiedzieć się, gdzie się zatrzymała.

Kobieta wciąż patrzyła na mnie znad okularów, czekając, aż powiem coś jeszcze, tak jakby moje dotychczasowe wyjaśnienia nie miały żadnego sensu, jakby wciąż nie pojmowała, o co mi chodzi. Spojrzałem na nią przelotnie i ciągnąłem dalej.

- Zadałem sobie pytanie, gdzie ulubiona kuzynka mojej matki mogła zatrzymać się w Sterne Bay, jak nie tutaj, w najpiękniejszym pensjonacie w całym mieście. Przecież to oczywiste. Tak więc od razu skierowałem tu swe kroki i oto stoję przed panią, by upewnić się, że rzeczywiście jest waszym gościem.

Teraz nie powinna była już mieć wątpliwości, o czym zresztą szybko się przekonałem.

- Jak godność tej damy? - zapytała tonem nauczycielki, który zawsze mroził mi krew; tym razem nawet podwójnie, bo nie miałem pojęcia, jakie nazwisko nosiła tamta kobieta.

- Och, ona używa wielu nazwisk, zgodnie z hiszpańską tradycją - powiedziałem niepewnie, a mózg grzał mi się od myślenia. - Możliwe, że zameldowała się jako Larson, przez „o”.

Czekałem bębniąc palcami o dębowy blat, podczas gdy kobieta wertowała listę gości. Dlaczego wybrałem akurat nazwisko Larson? Nie potrafię powiedzieć. Po prostu przyszło mi do głowy, podobnie jak Abner Benbow.

- Przykro mi - oznajmiła, patrząc na mnie.

- A może bym tak... - wskazałem na rejestr. Zawahała się, ale widocznie nie znalazła sensownej wymówki, by nie pozwolić mi rzucić okiem. W mojej prośbie nie było nic, co mogło wzbudzić jej podejrzenia; nie chciała też, jak sądzę, obrazić ulubionej kuzynki swej stałej klientki. W końcu więc, poprawiwszy okulary na nosie, spojrzała na mnie pogardliwie i odwróciła rejestr do góry nogami, bym mógł lepiej widzieć.

Ale jaki mógł być z tego pożytek? Przecież nie znałem nazwiska tej niewiasty. W jakąż to łamigłówkę się zabawiałem? Jedyłą wskazówką był dla mnie gumowy słoń, ale tej oto damie niewiele by to powiedziało. Jeśli jeszcze raz wspomnę o zabawce, gotowa wezwać konstabla i skończę przywiązany do łóżka w domu wariatów. Byłem rozbitkiem na środku morza i gorączkowo szukałem brzytwy, by się jej chwycić.

Rzuciłem tylko pobieżnie okiem na nieszczęsny spis gości, gotów podziękować i wyjść. Jednak jedno z nazwisk dosłownie ukuło mnie w oczy: Pule, Leona Pule.

I oto wiedziałem już, kim był ten szaleniec w powozie. Wiedziałem również, kim była jego matka. Nagle uświadomiłem sobie tysiąc rzeczy, ale

zaraz pojawiło się dwa razy tyle nowych znaków zapytania. Willis Pule. Tak nazywał się człowiek, który przywłaszczył sobie mego słonia. Powinienem był rozpoznać go od razu, ale minęło już wiele lat, odkąd zapałał zwierzęcym pożądaniami do Doroty, wówczas mojej narzeczonej. Trudno nazwać to miłością, zwłaszcza gdy zna się tego człowieka. Wściekł się, kiedy nie mógł jej mieć i omal nie zabił kilku ludzi. Terminował wtedy u doktora Narbondo, ale później ich drogi się rozeszły i ostatni raz widziano go uśpionego w wozie doktora, w drodze ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Zapamiętałem numer pokoju. Nigdzie ostatnio nie wychodzili, więc może w tej chwili byli u siebie na górze. Czy ta historia w dorożce, kiedy straciłem słonia, to było tylko przedstawienie? Czy on w ten sposób próbował zdradzić ze mnie? Czy to nie Willis Pule zastrzelił „mojego” żebraka? Podziękowałem kobiecie za kontuar i ruszyłem w górę ciemnymi schodami, powtarzając sobie, że muszę stwierdzić, czy z pokoju trzysta dwanaście można oddać strzał w kierunku parku.

Jedno muszę przyznać: byłem wtedy idiotycznie z siebie dumny, że „prowadzę sprawę”. Zastanawiałem się, co łączyło dziadka Pule’a i starszego Narbonda, ponieważ przeczuwałem, że tamta znajomość znalazła kontynuację w związku Willisa i doktora. A jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Higgins? Czy odkrył jakieś ślady prowadzące do zaginionych alchemicznych notatek, które spowodowały nieszczęście na rodzinę pani Pule? Czy zdecydował się przywrócić do życia Narbondo, gdyż liczył na jego pomoc przy ich odnalezieniu? A teraz prawdopodobnie wszyscy zaszyli się gdzieś w Sterne Bay, realizując zabójczy plan wykorzystania maszyny dla uzyskania okupu, podczas gdy Narbondo tajał w chłodni.

Poczułem się strasznie osamotniony i z całych sił zapragnąłem, by St. Ives i Hasbro zakończyli swą misję i powrócili do Sterne Bay. Schody skrzypiały pod moimi stopami. Niewiele można było zobaczyć - był już wczesny wieczór i coraz głębsze cienie słały się na górę, kiedy wspinałem się ostrożnie na podest trzeciego piętra.

W obie strony rozciągał się pusty korytarz. Nie miałem pojęcia, gdzie znajdował się pokój trzysta dwanaście, ale nie miało to większego znaczenia; było dla mnie jasne, że padające przez okno półpiętra światło wystarczyłoby komuś, kto chciałby mnie teraz zastrzelić. Żelazne zawiasy okna były zardzewiałe. Klęknąłem, by w słabnącym świetle z bliska przyjrzeć się podłodze. Była dokładnie wymięciona i tylko wzdłuż listwy w każdej szparze widoczne były odpryski rdzy. Okna nie otwierano zbyt często, ale ktoś zrobił to całkiem niedawno; lakierowany drewniany parapet był zadrapany w miejscu, gdzie ktoś usiłował je podważyć. Rysa wyglądała na świeżą, nie zdążyła nawet pokryć się kurzem.

Odciągnąłem zasuwkę i szarpnąłem, ale stare okno, napęczniałe od

morskiego powietrza i wiosennych deszczów, wydawało się zassane na amen. Udało mi się jednak uzyskać centymetrową szparę, przez którą można było już wsunąć palce. Dalej poszło już stosunkowo łatwo, tyle że jeszcze bardziej zarysowałem parapet. Wychyliłem się i w mroku zdołałem jeszcze zobaczyć park, gdzie zgiął żebrak.

Odgłosy dochodzące z miasteczka wydały mi się bardzo przyjemne, a morska bryza, która pieściła mi twarz, przegoniła ponure myśli, gnębiące mnie podczas wspinania się po ciemnych schodach. Dostrzegłem nawet światła „Korony”, które przywiodły mi na myśl kolację i kufel piwa. Spojrzałem teraz w dół i przeszedł mnie dreszcz na widok wybrukowanego podwórza trzy piętra niżej. Uzmysłowiłem sobie, ile niebezpieczeństw na mnie czyha. Cofnąłem się w głąb korytarza, ale już oczyma wyobraźni widziałem czyjeś ręce na moich ramionach - jedno pchnięcie i spadam głową w dół... To przez tę bombę w koszyku stałem się nerwowy.

Wiedziałem już wystarczająco dużo. Nic nie uzyskam przez bezpośrednią rozmowę, tym bardziej że nie miałem zielonego pojęcia, co się zdarzy, gdy zapukam do drzwi pani Pule. Lepiej przemyśleć to jeszcze przy kolacji. Zamknąłem nie bez trudu okno, wyprostowałem się i odwróciłem z zamiarem szybkiego ulotnienia się stąd, i oto stanąłem oko w oko z upiorną panią Pule - kobietą ze sklepu Godalla.

Co mnie spotkało w zajeździe „Pod Kufelkiem”

Zdołałem wydobyć z siebie tylko coś w rodzaju chrapliwego jęku, kiedy ujrzałem na jej okrągłej jak melon twarzy bezmyślny uśmiech, z pewnością nie będący wyrazem rozbawienia. Skierowała na mnie lufę pistoletu.

Poprowadziła mnie w głąb korytarza. No cóż, jednak w końcu miałem odwiedzić ich pokój, choć nie byłem tym specjalnie zachwycony. Co zrobiły na moim miejscu St. Ives? Rzucił się na kobietę i próbował odebrać jej broń? Czy może raczej starałby się przekonać ją, by zaniechała swych niecnych zamiarów, cokolwiek miała w planie? Wyjaśniłby, że zaszła jakaś pomyłka? I tak nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać. St. Ives przede wszystkim nie dałby się tak zaskoczyć jak dziecko.

Kobieta zastukała dwa razy do drzwi, zrobiła krótką pauzę i zastukała raz jeszcze. Drzwi otworzyły się, ale nie było widać nikogo; ktoś, kto je otworzył, krył się teraz za nimi, nie chcąc zostać rozpoznany. Kim mógł być ten człowiek? Może to kapitan Bowker czyha tam, by zdzielić mnie drągiem w łeb. Nie mogłem na to pozwolić. Nie zważając na rewolwer, skoczyłem na środek pokoju i odwróciłem się, by stawić czoła napastnikowi, wszystko jedno kim był. Ale oto wyjrzał ostrożnie, wystawiając tylko głowę, obłąkany synek - Willis Pule. Nie chciał puścić drzwi i matka musiała użyć siły, by je zamknąć. Złapała go za ucho i nieśmiały uśmiech na jego twarzy natychmiast ustąpił miejsca teatralnemu grymasowi przerażenia, który zaraz zniknął, gdy

młodzieniec zobaczył moją wystraszoną twarz. Nagle ożywiony, wytrzeszczył oczy i wydał usta, jak grubas z pewnego satyrycznego rysunku, który zauważył olbrzymi talerz pełen ciastek z kremem. Wyciągnął zza pleców prawą rękę i pomachał moim słonikiem. Nagle odezwał się brzęczyk i pani Pule podeszła do ściany, z której wystawała końcówka mosiężnej tuby; odsunęła małą pokrywkę, przyłożyła ucho do metalu nasłuchując przez chwilę i w końcu odezwała się do rury:

- Tak, mamy go. - Znów nadstawiła ucha. - Nie, w korytarzu - oznajmiła, jeszcze chwilę nasłuchiwała i dodała zgryźliwie: - On? Bynajmniej! - Wreszcie na powrót zasunęła wylot rury.

Niewątpliwie rozmawiała z właścicielką zajazdu. To miejsce było istnym siedliskiem żmij. Wszystko było już dla mnie jasne. Nie czekając na pozwolenie, opadłem na fotel. Moje śledztwo było śmiechu warte; przez cały czas wodzili mnie za nos. Nawet mój słonik w holu - to była celowa robota szefowej. Usunęła go, gdy tylko wyszedłem za drzwi; tylko ona była wystarczająco blisko, by to zrobić, zanim wróciłem. A potem całe to przedstawienie z kuzynką matki i idiotycznymi nazwiskami... Co ona musiała sobie o mnie pomyśleć, kiedy tak wspinałem się po schodach ku mojej zgubie? „On? Bynajmniej...” - skrzywiłem się na wspomnienie tych słów; domyślałem się, co mogły oznaczać. Trudno było mi się dziwić. Cóż, może później uda mi się wykorzystać to w jakiś sposób, może mi to jeszcze wyjdzie na dobre. Będę odgrywał tępego oferę, a potem uderzę. Starłem się sobie wmówić, że tak właśnie zrobię.

Willis Pule podszedł na palcach do sosnowego stolika, obok którego stało krzesło. Chodził karykaturalnie - tym razem wyglądał jak komik, który chcąc iść jak najciszej kroczy podnosząc kolana wysoko do góry. Zachowywał się jak ktoś, kto nieświadomie bierze udział w przedstawieniu o sobie tylko znanej treści. Usiadł i skinął głową w moim kierunku, poruszając przy tym powoli i bezgłośnie ustami, jakby żuł koniec cygara. Czy chciał przez to wszystko coś wyrazić? Nic. Absolutnie nic. Wszystkie zmiany nastroju na jego twarzy nie miały nic wspólnego z tym, co się właśnie działo.

Położył słonika na stole i z infantylnym zadowoleniem zdjął mu czerwone pantalone. Następnie poklepał się po kieszeni i wydobyl z niej długą brzytwę, którą szybko i zgrabnie odpiłował słonikowi uszy. Wyraził teraz oczami i ustami głęboki smutek, lecz nie trwało to długo.

Patrzyłem na niego, tak zdziwiony, że chwilami zapomniałem oddychać. Co prawda zabawka była dziełem moich rąk, ale już dawno zauważyłem, że człowiek rzadko żałuje straty czegoś, co sam wykonał; zawsze jest świadom niedociągnięć i niedoskonałości swego dzieła. Największe wrażenie zrobiła na mnie zimna, zwierzęca satysfakcja, z jaką ten człowiek okaleczył zabawkę. Spoglądał na mnie przy tym spod oka i wreszcie mrugnął

pokazując dumnie, jak wspaniale sobie poradził. Chciał mi chyba dać do zrozumienia, że taka rzeź to tylko kwestia wprawy. Upiorny efekt potęgował fakt, że wciąż był ubrany tak samo jak matka, w kwiecisty perkal.

Pani Pule przeszła obok syna, ignorując go całkowicie. A taką miałem nadzieję, że odbierze mu brzytwę. Takie narzędzie w rękach obłąkańca, to przecież... Ale na niej ta brzytwa nie robiła większego wrażenia, a jeśli nawet, to raczej ją akceptowała. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Willis lubi operować - powiedziała nie bawiąc się w eufemizmy; słowo „operować” zabrzmiało dość nieprzyjemnie w moich uszach. Przytaknąłem nieśmiało i próbowałem nawet się uśmiechnąć, by pokazać, że jaką przyjemnością słucham pochwał matki dumnej z dokonań syna. - Kiedyś wypatroszył ptaka i przyszył jego głowę do tułowia myszy - dodała.

- Naprawdę? - wykrztusiłem. Przechyliła głowę; makabryczne wspomnienia nadały jej twarzy dziwny wyraz.

- Żył to przez tydzień. Biedak musiał karmić je z takiej małej buteleczki. Zajmowała mu czas od rana do nocy ta opieka nad małym, bezradnym stworzeniem. Od rana do nocy. Był wykończony. A kiedy to w końcu zdechło, myślałam, że serce Willisowi pęknie, jak skorupka jajka. Pochował stworzenie pod podłogą, jak wszystkie inne - z całym ceremoniałem i w ogóle.

Pokiwałem głową, zastanawiając się nad porównaniem pękniętego serca do jajka. Obojgu im brakowało piątej klepki, co do tego nie było wątpliwości. Biorąc pod uwagę fakt, że młody Pule praktykował kilka lat u Narbonda, cała ta historia z wiwisekcją wydawała się dość prawdopodobna. Rzuciłem okiem na stół. Willis zdołał już precyzyjnie świecę przez otwory, gdzie wcześniej były uszy. Wziął zapałki i podpalił ją z obu stron, tak że głowę słonia zdobiły teraz dwa równe płomienie. Roztopiony воск skapywał na blat stołu, a cały pokój wypełnił się cuchnącym dymem z palonej gumy.

- Willis! - wrzasnęła matka, marszcząc nos w reakcji na ohydny smród. Podjąwszy nagłą decyzję pobiegła do sypialni, by po chwili wypaść stamtąd z szerokim, drewnianym wiosłem w rękach. Jej syn nagle spokorniał - zaczął jęczeć i błagać o litość. Równie nagle przestał lamentować i, na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem, zawołał:

- Ogień! Ogień!

Biegał wokół stołu i tłukł własną czapką płonąca zabawkę, a matka w tym czasie skradała się, by zdzielić go wiosłem.

To był doprawdy przerażający widok. Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie będę świadkiem podobnej sceny. Zerwałem się i skoczyłem ku drzwiom z zamiarem ucieczki, myśląc, że oto nadarza się świetna okazja. Byłem jednak w błędzie. Drzwi były zamknięte na klucz i teraz oboje zwrócili się przeciwko mnie - matka ze swoim wiosłem, a synek z wziętą ze stołu

brzytwą.

- Najmocniej przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam - kajałem się. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Rozglądałem się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś do obrony, ale w zasięgu ręki nie znalazłem nic lepszego, niż poduszka z krzesła. Myślę, że gdyby wtedy w moje ręce trafiło coś cięższego, zatłukłbym ich na miejscu, gotów ponieść wszystkie tego konsekwencje. Zresztą żaden sąd w całej Anglii nie skazałby mnie, przyjrząwszy się bliżej tej parze wariatów, a także temu, co spoczywało pod podłogą w ich londyńskim domu.

Zrobili krok w moim kierunku, więc krzyknąłem: - Znam całą prawdę! - i umknąłem pod przeciwległą ścianę. Był to dość bezsensowny okrzyk, zważywszy, że prawdę znałem nie lepiej niż imiona moich zmyślonych kuzynów, ale moi prześladowcy stanęli jak wryci. Właściwie to matka stanęła, bo syn całkowicie wczuł się w rolę pogromcy i krążył teraz wokół mierząc mnie wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, że z kolei matka ma go na oku i czeka na najlepszą okazję. W końcu wymierzyła mu potężny cios wiośłem w siedzenie, niemal rzucając go wraz z brzytwą na krzesło, na którym wcześniej siedziałem. Pokonany wrócił z płaczem do stołu, jęcząc coś bez sensu i przepraszając. Pochylił się nad zmasakrowanym słoniem i ostrzem brzytwy odciął mu stopy, a całe nogi pociął na wąskie paski. Podczas tej pracy kąciki ust wygięły mu się w dół, nadając jego twarzy karykaturalny wyraz mieszaniny żalu i wściekłości.

- Gdzie teraz są? - zapytała kobieta. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. A chyba powinienem. Pytała o kogoś, czy może o coś? Może miała na myśli St. Ivesa i Hasbro? Sądziła pewnie, że czają się gdzieś w pobliżu czekając na mój powrót. Jednak chyba to nie o nich jej chodziło. W zakamarkach pamięci gorączkowo szukałem fragmentów jej opowieści ze sklepu Godalla.

- Mogę was tam zaprowadzić - rzekłem, chwytając się, nomen omen, brzytwy, z nadzieją, że nie jest to dla nich tak oczywiste, jak dla mnie. Niewiasta skinęła głową. Jej syn spoglądał na mnie badawczo. - Chcę jednak pewnych gwarancji - dodałem.

- Może na piśmie? - wybuchnęła śmiechem. - Poczekaj, dam ja ci gwarancje, panie Mądralo!

- A ja dam ci to! - krzyknął syn podskakując jak na sprężynie i wymachując brzytwą w powietrzu niczym afgański nożownik. W kolejnym napadzie szału rzucił się na resztki słonia, siekając je jak cebulę, złościąc przy tym głębokie nacięcia w blacie stołu. Ostrze brzytwy brzęknęło o mechanizm zabawki i małe trybiki potoczyły się ze stołu na podłogę. W końcu Willis odrzucił narzędzie. Teraz szczerząc zęby i śliniąc się chwycił malutkie czerwone spodenki, rozdarł je na pół i rzucił na podłogę, by je opluć i podeptać w szalonym tańcu, dając mi pewnie w ten sposób do zrozumienia, że zamiast

podartego ubranka, mógłbym ja tam leżeć, gdybym nie był dość ostrożny.

Jego matka wykonała zwrot i przyłożyła mu wiosłem jeszcze raz.

- Zachowuj się! - wrzasnęła z całej siły, a twarz miała czerwoną jak pomidor. Szalencie przegalopował przez pokój i w końcu usiadł łypiąc na mnie spode łba.

- A więc gdzie? - zapytała ponownie kobieta. - Tylko innych sztuczek - dodała.

- W „Jabłku i Koronie” - oznajmiłem. - W moim pokoju.

- W twoim pokoju, powiadasz? - Przyjrzała mi się badawczo.

- Właśnie tam. Mogę zaraz panią tam zaprowadzić.

- Nigdzie nas nie będziesz prowadził, sami trafimy. Ty останiesz tutaj.

Na tym piętrze poza nami nie ma żywego ducha, nie Jak-ci-tam. A piętro niżej wszyscy już zostali poinformowani, że spędzi tu noc pewien wariat, który miewa ataki szału. Nie próbuj więc nawet pisać, a jeśli wrócimy z notatkami, to noże nie zrobimy ci krzywdy.

Willis przez ten czas kiwał z zadowoleniem głową.

- Mamusia mówi, że będę mógł wypruć ci flaki i nakarmić nimi te nietoperze.

- Te nietoperze... - powtórzyłem, zastanawiając się, o które nietoperze mu chodzi. Przynajmniej schował do kieszeni brzytwę.

A więc chodziło o te notatki... Oboje zarzucili sobie cieniutkie szale na ramiona; wyglądali teraz jak dobrana para pomyślników. Wychodząc, kobieta cały czas trzymała mnie na muszce. W końcu zatrasnęła drzwi i klucz zgrzytnął w zamku.

Podniosłem się i rozejrzałem w poszukiwaniu okna, klucza, jakiegoś wentylacyjnego przewodu, czegokolwiek. Jednak pokój przylegał do korytarza i nie miał w ogóle okien. I chociaż oboje byli niespełna rozumu, starczyło im sprytu, by nie zostawiać mi zapasowych kluczy. „Korona” znajdowała się niecałe pięć minut marszu stąd, do tego należy dodać drugie pięć minut na przetrząśnięcie mojego pokoju. Niebawem będą tu z powrotem, by, jak wyraził się młody Pule, wypruć mi flaki. Pistolet pistoletem, ale muszę przygotować im jakąś niespodziankę, kiedy wpadną tutaj. Ona na pewno przepuści syna przed sobą, by przyjął na siebie pierwszy cios... - obmyślałem gorączkowo plan działania.

W pomieszczeniu nie było nic, co nadawałoby się do obrony. Nawet wiosło zabrała ze sobą. Może te dwa krzesła przydałyby się na coś, ale potrzebowałem raczej czegoś solidniejszego. Sam już teraz byłem żądny krwi i planowałem mordercze posunięcia. Krzesła były na to zbyt rachityczne i nieporęczne.

Całą złość wyładowałem na ramie łóżka - tak rozklekotanej, że niewątpliwie przydałoby się jej trochę kleju. Dziką satysfakcję sprawił mi



łomot spadających na podłogę bocznych listew i materaca, gdy wyłamałem drewniany zagłówek. Ci na dole już wiedzieli, że pomyłony gość przystąpił do dzieła. Następnie naparłem z całych sił na sam zagłówek, szarpiąc go na wszystkie strony, by oderwać pionowe słupki od całej reszty. Deski trzeszczały, łączące kołki zaczęły puszczać i po kilku solidnych uderzeniach o podłogę trzymałem wygięty drąg. Zważyłem go w rękę. Wolałbym, żeby był trochę krótszy, ale i tak powinien się nadać.

Akurat wtedy szczęknęła klamka. Rzeczywiście szybko się uwinęli. A może to właścicielka uważając, że szaleniec trochę przesadził, przyszła sprawdzić, co się dzieje? Ulokowałem się obok drzwi, myśląc, że jeśli to rzeczywiście ona, to nie zdzieję jej moją maczugą, tylko po prostu wyślizgnę się na schody. Ale jeśli będzie to mężczyzna...

Ktokolwiek to był, strasznie się guzdrał z zamkiem. Metaliczny chrzęst wydawał się trwać wieki całe, zanim w końcu drzwi się otworzyły. Napiąłem wszystkie mięśnie trzymając drąg nad głową. Z ciemnego korytarza wychyłała męska twarz, a po chwili ujrzałem całą głowę. Zamknąłem oczy, zrobiłem krok od ściany i z całej siły uderzyłem go w potylicę; wiedziałem już, że nie był to Willis Pule, ale ktoś znacznie bardziej krwiożerczy. Był to Higgins, akademik-odszczepieniec, wciąż ściskający wytrych w prawej ręce.

Po moim ciosie osunął się na podłogę i zwijał się teraz z bólu. Zrobiłem krok i wykonałem zamach jak do krykieta - chciałem poprawić prosto w czaszkę. Ale cóż, przecież i tak już leżał, nie mogłem więc przemóc się, by dokończyć dzieła. Dzisiaj nie żałuję tego, ale wtedy przeklinałem swój cywilizowany instynkt.

Drzwi stały przede mną otworem i szybko z tego skorzystałem. Pędząc ku schodom upuściłem kij na podłogę w korytarzu. Zastanawiałem się, czego Higgins właściwie szukał. Z pewnością nikt go tutaj nie oczekiwał. Prawdopodobnie widział, jak tamtych dwoje wychodzi i wtedy zakradł się tu, najwyraźniej w poszukiwaniu notatników. Tych samych, dla których tamci przetrząsali teraz mój pokój. Wyglądało więc na to, że bynajmniej nie byli sprzymierzeńcami, ale raczej zaciekłymi wrogami. Już pani Pule wraz z synem zajmą się nim, kiedy natkną się na niego na podłodze swego pokoju.

Wyjrzałem ostrożnie na ciemne i puste schody i przeskakując po trzy stopnie znalazłem się na podeście drugiego piętra. Zamierzałem pokonać hol z rozpędu, taranując każdego, kto stanie pomiędzy mną a wyjściowymi drzwiami. Mógłbym jeszcze krzyknąć coś mądrego w kierunku właścicielki, by odzyskać choć część utraconej godności. Dosłownie owinąłem się wokół poręczy, miałem jeszcze do pokonania ostatnie pół piętra, kiedy znalazłem się twarzą w twarz z moimi prześladowcami, którzy akurat podążali w górę dysząc jak lokomotywy. Pani Pule trzymała pod szalem rewolwer, a synalek jak zwykle deptał jej po piętach. Oboje pałali żądzą mordy.

- Mamy cię! - wrzasnął Willis, trzymając moje ramię w diabelskim uścisku.

- Tylko go nie puszczaj! - krzyknęła matka. - Jeszcze nam wszystko wyśpiewa. Na górę, bydlaku!

Kopnąłem drania w pizszel z całych sił, a mój rozpęd spotęgował jeszcze uderzenie. Odrzuciło go w tył na balustradę i omal nie przewrócił matki. Zawył z bólu, ale nie zwolnił uścisku, skutkiem czego pociągnął mnie za sobą. W końcu, po krótkiej, ale gwałtownej szamotaninie udało mi się wyrwać. Usiłowałem, niczym przerażony krab, wygramolić się z powrotem na podest schodów, w każdej chwili spodziewając się strzału. Zdołałem odzyskać równowagę i przeskakując po kilka schodów naraz znalazłem się na trzecim piętrze. Z dołu dobiegały mnie przekleństwa, klapsy i pojękiwania - to pani Pule sztorcowała swego potomka.

Strzał jednak nie padł, mimo że dzielił nas tak niewielki dystans i że nie miałem żadnej osłony. Na wszelki wypadek biegłem jednak korytarzem wykonując skomplikowane pąsy i uniki. Pocieszyłem się, że może ta kobieta nie chce ryzykować strzelaniny w publicznym miejscu. Powinienem być o tym pomyśleć godzinę wcześniej, gdy zaskoczyła mnie przy oknie. Cóż, nie zrobiłem tego, ale za późno było żałować.

Znów przemknąłem obok ich nieszczęsnego pokoju. Drzwi były wciąż uchylone; zobaczyłem Higginsa stojącego na czworakach - wyglądał na bardzo zamyślnego. Na jego widok ścigający mnie Pule'owie stanęli jak wryci. Zajęli się tym nieszczęśnikiem, co pozwoliło mi się oddalić. Skierowałem się wprost ku francuskiemu oknu. Przez chwilę mocowałem się z zasuwką, ale w końcu udało mi się je otworzyć. Wyjrzałem i z ulgą stwierdziłem, że zamiast trzech pięter próżni, znajdował się pod nim niewielki balkon mansardy. Z wciąż otwartego pokoju dobiegły mnie pohukiwania, chrząkania, a w końcu przejmujący wrzask. To Higgins, wydany na pastwę Pule'ów, pokutował za moje, Jacka Owlesby, grzechy.

Przymknąłem za sobą okno, choć oczywiście nie mogłem zasunąć zamka od drugiej strony. Pule'owie w każdej chwili mogą skończyć z Higginsem i wznowić pościg. Nie zastanawiając się długo, przedostałem się na drugą stronę balustrady i rozhuśtawszy się na rękach, zeskoczyłem na identyczny balkon piętro niżej. Natychmiast skręciłem się z bólu, bo moje kostki nie najlepiej zniosły impet uderzenia. Podniosłem się, by pokonać kolejną balustradę. Obiema rękami chwyciłem pędy bluszczu, bo wpadłem na idiotyczny pomysł, że zsunę się po nich bezpiecznie, jak małpa w tropikach. Niestety, przebierałem tylko bezradnie nogami, aż w końcu pędy puściły i runąłem zaplątany w nie, wrzeszcząc z przerażenia, wprost na kwietnik.

W górze ktoś otworzył z trzaskiem okno. Zerwałem się i pobiegłem ciągnąc za sobą zielsko. Nadwężone kostki wciąż bolały, ale niech mnie

diabli, jeśli zwolniłbym choć na chwilę. Ku mojemu zaskoczeniu nikt do mnie nie strzelał; nocną ciszę zakłócała tylko litania przekleństw, która również nie trwała długo, bo ktoś z sąsiedniego domu w końcu krzyknął: „Co się dzieje, do jasnej cholery!”, a przechodnie zaczęli pokazywać sobie okno palcami. Na moje szczęście, pani Pule wołała nie zwracać na siebie uwagi.

Pobiegłem od razu w kierunku ścieżki pomiędzy domami, która prowadziła wprost do falochronu. Nie zmniejszałem tempa, aż dotarłem tam; wspiałem się na mokre teraz skały, by zeskoczyć po drugiej stronie na pokrytą kamykami plażę. Brodziłem w wodzie sięgającej kostek, bo przyływ sięgał już falochronu. Omal nie poślizgnąłem się na śliskich kamieniach, więc zwolniłem nieco. Nie słychać było, aby ktoś mnie ścigał. Zupełny spokój. Nie miałem już też poczucia skrajnego osamotnienia, które pchnęło mnie do akrobatycznego skoku z najwyższego balkonu. Teraz tylko drżałem z zimna, a buty miałem pełne słonej wody.

Wróciłem na drugą stronę falochronu i pomaszerowałem w kierunku „Korony”. Wszedłem tylnymi schodami. Drzwi były otwarte. Gdy znalazłem się w swoim pokoju, poczułem się śmiertelnie zmęczony i jeszcze bardziej spragniony. Piętnaście minut później wkroczyłem do jadalni, w suchych już butach i raczej dumny z siebie. St. Ives i Hasbro siedzieli już tam, grzebiąc w kotletach. Na stole stała odkorkowana butelka burgunda. Zrobiło mi się lżej na sercu, jak to mówią.

- Z rewolweru? To niemożliwe - powiedział St. Ives. - Byłeś zbyt daleko, by komukolwiek udało się trafić tuż obok ciebie. Moim zdaniem musiał to być winchester. Przypuszczam też, że to strzelał ten twój Bowker. Najwidoczniej on i Pule'owie mają przeciwstawne interesy, chociaż wszyscy dążą do tego samego celu, który, jak sądzę, ma niewiele wspólnego z zatapianiem statków. Co najwyżej jest to działanie mające pomóc w szybkim zdobyciu funduszy na przeprowadzenie operacji o znacznie większej skali.

St. Ives napełnił szklanekę Hasbro resztką burgunda, skinął na kelnera, poprosił o naczynie dla mnie i zamówił jeszcze jedną butelkę. Prawdę mówiąc pijam tylko piwo, ponieważ po czerwonym winie dostaję w nocy rozstroju żołądka. St. Ives wpatrywał się w swój talerz.

- Chcą pewnie w ten sposób odwrócić uwagę - mam na myśli tę hecę ze statkami. Trzeba przyznać, że sposób okazał się dość skuteczny. Godall przypuszcza, że Korona jest skłonna spełnić ich żądania. Będą tylko musieli złożyć solenną obietnicę, że zostawią maszynę tam, gdzie jest. Wyobrażacie to sobie? Tak właśnie wyraził się Parsons: „solenną obietnicę”. Ten człowiek chyba zwariował. Ale teraz, gdy my również znamy miejsce przechowywania maszyny, nie będą się już tak śpieszyć z zapłaceniem okupu. To tyle, jeśli chodzi o nasze osiągnięcia. Akademia wprowadziła już blokadę tego obszaru i spróbują odholować aparat w inne miejsce.

St. Ives wysączył zawartość swojej szklanki i z poważną miną wpatrywał się teraz w osad, który wirował na dnie zgodnie z ruchem jego dłoni.

- Gdybym miał chociaż cień szansy... - powiedział, nie zadając sobie nawet trudu dokończenia zdania. Ale ja i tak domyśliłem się, co chciał powiedzieć. Był uprzedzony do tej maszyny od momentu, kiedy lord Kelvin szykował się, by za jej pomocą odwrócić bieguny Ziemi. Do czego była im jeszcze potrzebna, jeśli nie po to, by doprowadzić do kolejnej niewyobrażalnej katastrofy w imię nauki? Podejrzywałem nawet, że profesor znał ich plany. Nie chciał wyjawiać nam wszystkich sekretów tego urządzenia i tylko najważniejsze figury orientowały się w zasadach tej gry. Ja oczywiście byłem tylko pionkiem i nie próbowałem tego zmieniać. Jestem jednak pewien, że profesor już wcześniej rozważał, czy nie udać się do Holborn, by samemu wykraść maszynę.

Cóż, nie zrobił tego i oto są skutki jego braku zdecydowania - przynajmniej on tak to widział. Jak zwykle brał każdą winę na siebie. Próbowaliśmy skierować rozmowę na inne tory, by odwrócić uwagę od samej maszyny.

- A więc czego oni tak naprawdę chcą? - zapytałem.

- W tej chwili najbardziej zależy im na notatniku. Na tym przeklętym notatniku. Wydaje im się, że są o krok od nieśmiertelności. Narbondo był już bardzo bliski celu jakieś dziesięć lat temu, kiedy podkradał karpie z oceanarium i pracował z Willisem Pule. Był naprawdę blisko, do tego stopnia, że w Norwegii Higgins zdołał go odratować za pomocą eliksiru i specjalnej aparatury. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Narbondo, kiedy wpadał do jeziora, był wręcz napompowany tym eliksirem z karpia, dzięki czemu przeżył - jego komórkowa struktura nie uległa krystalizacji. Z kolei Higgins, jak mi się wydaje, uznał, że opłaci mu się uratować doktora. Razem będą szukać tych notatek, by w końcu dopracować szczegóły i móc wyprodukować wreszcie „zdrój młodości”. Ale nie mam pojęcia, jak dużo wiedzą o maszynie lorda Kelvina.

Higgins od dawna usiłował wytropić te notatki. Napisał do pani Pule, bo podejrzewał, że ona może znać miejsce ich ukrycia. Jednak ten list tylko pobudził ją do działania. Jest na tyle sprytna, że odwiedziła sklep Godalla. Wiedziała, że jeśli przekona nas o istnieniu tych notatek, a przy okazji uwierzemy, że Narbondo żyje, to zaczniemy ich szukać. Pozostałoby jej tylko podążać naszym śladem od samego Londynu.

Taki scenariusz wydał mi się całkowicie prawdopodobny. Jeśli chcesz luźne fakty połączyć w sensowną całość, zwróć się z tym do St. Ivesa.

- Dlaczego - zapytałem - tak bardzo im zależy, żeby mnie sprzątnąć? Czy ktoś może mi to wyjaśnić? Jestem przecież w tej całej sprawie tylko

drobną płótką.

- Byłeś po prostu pod ręką - odparł St. Ives. - Na dodatek okazałeś się dość natrętny węsząc tak w ich hotelu. To są wyjątkowo krwiożercze typy. Myślę zresztą, że pani Pule i jej synek to zaledwie amatorzy w porównaniu z doktorem. Higgins nie zdawał sobie kompletnie sprawy, komu ratuje życie.

St. Ives odsunął talerz i zamówił porcję budyniu. Zbliżyła się dziesiąta i na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Wypite piwo dało o sobie znać; ziewnąłem i oznajmiłem, że pójdę się już położyć. Profesor zgodził się i powiedział, że wybierze się jeszcze na krótki spacer, by sprawdzić, co dzieje się w chłodni. Kiedy to usłyszałem, zupełnie oklapłem. W końcu to ja dowiedziałem się wszystkiego tam w Norwegii; byłem prawie pewien, że wiem, o co chodzi z tą chłodnią. Nie byłem więc przygotowany na to, że będą chcieli mnie wykluczyć z gry.

- Chyba trochę na to za wcześnie - zasugerowałem. St. Ives wzruszył ramionami.

- Być może.

- Czy nie lepiej teraz przespać się ze dwie godzinki, żeby trochę odpocząć? Dobierzemy im się do skóry w środku nocy, kiedy będą spać.

St. Ives zastanawiał się nad moją propozycją. Spojrzał na zegarek. - Niech tak będzie. Spotkamy się tutaj punkt dwunasta. Będziemy po drugiej stronie holu, na wypadek gdyby ktoś się tu kręcił.

- Zbudźcie mnie piętnaście minut wcześniej, żebym miał czas się pozbierać - poprosiłem wstając od stołu, po czym poczłapałem do swego pokoju i natychmiast zasnąłem, nie zdjawszy nawet ubrania.

Noc była wyjątkowo zimna, a niebo bezchmurne, pełne gwiazd. Księżyc, owszem, był - akurat wystarczający do powieszenia na nim płaszcza. Wyślizgnęliśmy się tylnym wyjściem i podążyliśmy „moją” ścieżką wzdłuż falochronu, nie odzywając się ani słowem. Plan działania ustaliliśmy już wcześniej. Hasbro miał przy sobie pistolet. On najlepiej się nadawał, żeby go użyć. Nie napotkaliśmy absolutnie nikogo. Tu i ówdzie migotały uliczne lampy i tylko w jednym oknie zajazdu „Pod Kufelkiem” paliło się światło. To zapewne Willis Pule przerabiał Higginsa w płaza. Zacienione molo wybiegało w lśniący światłem księżycy ocean, a sylwetka opustoszałej chłodni majaczyła w ciemnościach pośród krzewów. Widok ten budził złowrogie skojarzenia.

Przylgnęliśmy do ściany nasłuchując, niepewni, co zastaniemy w środku. Zauważyłem, że Hasbro gdzieś zniknął, a przecież jeszcze przed chwilą stał za moimi plecami. Szarpnąłem za poję płaszcza St. Ivesa. Profesor odwrócił się, mrugnął do mnie i przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Następnie dał ręką znak, bym szedł naprzód. Zgięci w pół skradaliśmy się pod rzędem brudnych okien. St. Ives zatrzymał się przy drzwiach i delikatnie odciągnął zasuwkę. Metal zadzwieczał cicho i drzwi uchyliły się z wolna.

Znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu, w którym stało tylko zniszczone biurko.

Nasze oczy zdążyły już przystosować się do ciemności i sączące się do środka światło księżyca całkowicie nam wystarczało. St. Ives z największą ostrożnością pchnął lekko kolejne ciężkie wrota i wsunawszy w szparę głowę stał nieruchomo próbując rozpoznać znajdujące się przed nim kształty. Bardzo powoli odwrócił się, spojrzął na mnie i pchnął drzwi trochę dalej.

W tym momencie dobiegło mnie czyjeś chrapanie - ciężki, basowy pomruk niedźwiedzia śpiącego snem zimowym. Podążając za profesorem w głąb pokoju, rozglądałem się w poszukiwaniu kapitana Bowkera. Był tu, a jakże - leżał na kozetce głową do ściany. Cichutko prześlizgnęliśmy się obok niego i znaleźliśmy się w przestronnej sali.

Nie był dla nas zaskoczeniem, okropny ziąb w niej panujący. Wielkie lodowe bloki, przykryte w połowie słomą, niczym srebrne trumny piętrzyły się aż pod wysoki sufit. Jeszcze więcej słomy wałało się po podłodze; stały tu także dwa wózki do wywożenia śmieci i jakaś taczka. Pod ścianami leżały szczypce i piły do lodu; trudno się temu dziwić, zważywszy na przeznaczenie tego miejsca. St. Ives nie tracił czasu. Wiedział, czego szuka. Ja chyba również, tak mi się przynajmniej zdawało. Ale myliłem się. Przedmiot pożądania profesora spoczywał za spiętrzonym lodem, po drugiej stronie podnoszonych drzwi, które były nie do końca zamknięte. Podeszliśmy bliżej i opadliśmy na kolana, by zajrzeć przez szparę pod nimi. Zobaczyliśmy kwadratowe pomieszczenie z ukośnym sufitem. Na przeciwległej ścianie widać było podwójne drzwi. Centralne miejsce zajmowała natomiast osadzona na czterech przysadzistych nóżkach metalowa kula, połyskująca blado odbitym światłem księżyca.

Ależ to maszyna lorda Kelvina... - pomyślałem, ale zaraz zrozumiałem swoją pomyłkę. Był to bowiem dzwon nurkowy, służący do podwodnych badań. Sporządzono go z mosiądzu i miedzi. Na jego obwodzie znajdowały się iluminatory obserwacyjne i zaopatrzone w przeguby mechaniczne ramiona, które w jakiś sposób ożywiały całe to urządzenie; wydawało się, że zaraz zaczną dreptać na tych swoich świńskich nóżkach. Przeczółgaliśmy się pod drzwiami; nie chcieliśmy ich dalej popychać z obawy, że narobimy hałasu. Kiedy podnieśliśmy się, by otrzepać ubrania, rozległ się nagle okropny łomot. Skrzypiąc i terkocząc, zajechał pod bramę wóz. Do naszych uszu dobiegło parskanie konia i zgrzytanie hamulca o koło.

Rzuciłem się na ziemię z zamiarem powrotu do lodowni, zanim przybysz, kimkolwiek był, otworzy drzwi i zastanie nas tutaj. St. Ives chwycił jednak połam mego płaszczka i pokręcił odmownie głową. Usłyszałem, że ktoś mocuje się z zamkiem, podniosłem się więc powoli, by dzielnie stawić czoła gościowi, jak na prawdziwego mężczyznę przystało.

Ale oto w drzwiach stanął niezrównany Hasbro. St. Ives nie tracił czasu na pogawędki. Ramieniem pchnął jedno skrzydło bramy, podczas gdy Hasbro zajął się drugim. Następnie chwycił za uprząż i pokierował końmi tak, by wraz z wozem znalazły się w środku. Hasbro wgramolił się na platformę, szarpnięciem zwolnił hamulec i zaczął odblokowywać łańcuch oraz linę dźwigu przytwierdzonego do platformy.

Z początku tylko stałem gapiąc się, aż w końcu pojąłem, do czego zmierzamy. Podciągnąłem więc spodnie i zabrałem się do roboty.

W mgnieniu oka, przekładając linę tam i z powrotem i zaciskając na niej węzły, opasaliśmy dzwon czymś w rodzaju kosza, który Hasbro uniósł za pomocą niemiłosiernie rżężącego dźwigu.

W tym czasie St. Ives i ja naprowadzaliśmy kołyszący się ładunek, aż w końcu zadudnił ciężko o platformę. Hasbro wskoczył na kozioł, pochwycił cugle, cmoknął na konie i pogalopował w noc, wzbijając obłoki pyłu srebrnego w świetle księżyca. Tak więc poszło nam całkiem gładko, chociaż wciąż nie byłem pewien, jaki był dokładnie cel naszego przedsięwzięcia. Jeśli maszyna spoczywająca na dnie cieśniny strzeżona była teraz przez królewską flotę, to i tak ten dzwon na nic się naszym łotrykom nie mógł przydać. Ten etap ich zmagania wydawał się już niechlubnie zakończony. Ale kimże ja jestem, by kwestionować poczynania profesora? Był niezwykle zadowolony, że udało nam się wywieźć ten dzwon; wyraźnie dostrzegłem to na jego twarzy.

Dostrzegałem jednak też, że to jeszcze nie koniec naszych zmagania. Dlaczego nie wyjechaliśmy stąd razem z Hasbro? Ponieważ profesor nie zamierzał spocząć, dopóki nie spenetruje całej chłodni. Sam Narbondo we własnej osobie musiał się gdzieś tutaj znajdować i St. Ives chciał go odnaleźć. Przeczółgaliśmy się z powrotem pod podnoszonymi drzwiami - najpierw profesor, a za nim ja. Gdy podnieśliśmy się, dowcipniś kapitan już na nas czekał; szczerząc zęby w uśmiechu stał dwa metry dalej z wymierzoną w nas strzelbą.

Rozbój o północy tym razem nie mógł chybić. Byłem już gotów udawać człowieka skłonnego do współpracy, któremu nie śpieszy się do śmierci. Za nami otworzyły się gwałtownie drzwi i pojawił się w nich Higgins. Miał na sobie laboratoryjny fartuch, a na głowie bandaż, spod którego wystawały kępki włosów. Dyszał ciężko i śmierdział jak zdechła ryba.

- Leopold Higgins, jak sądzę - skłonił się profesor. - Nazywam się Langdon St. Ives.

- Znam cię aż nadto dobrze - warknął tamten i przez jedną straszną chwilę popatrzył na mnie. - Jak ci smakowały owoce, młodzieńcze? - zapytał. Najwyraźniej nie miał pojęcia, kto zdzielił go w łeb w „Kufelku”, gdy zakradał się do pokoju Pule’ów. Inaczej nie byłby teraz taki skłonny do żartów. Pomimo panującego półmroku zauważyłem, że twarz ma dość mocno pokiereszowaną.

To już musiała być robota tych wariatów.

- Masz to? - zapytał Bowker, wciąż trzymając nas na muszce.

- Nic z tego - powiedział Higgins. - Dziwna jakaś była ta twoja wachta. Ja takie coś nazywam drzemką. Spałeś jak niemowlę, podczas kiedy ci dwaj...

Kapitan wykonał zwrot i - bang! - pocisk przeleciał tuż obok ucha Higginsa. Odskoczyłem jak oparzony. A Higgins - tego to dopiero ścięło z nóg! Naukowiec padł na słomę twarzą do podłogi, miaucząc jak pijany kot. Kapitan Bowker prawie popłakał się ze śmiechu, patrząc jak Higgins, blady i oszołomiony, gramoli się na nogi; z oczu mu wycierał strach pomieszany ze wściekłością.

- Chcesz jeszcze coś powiedzieć? - spytał kapitan. Higgins bezgłośnie poruszał ustami, aż w końcu odchrząknął.

- Ale przecież dzwon do nurkowania...

- Kogo obchodzi jakiś parszywy dzwon? Dla mnie on nie wart złamanego grosza. Ty zresztą też. Chętnie załatwiłbym was wszystkich, żeby mieć Jo już z głowy. Odzyskasz swój dzwon, kiedy tamten drażal skapuje, że mamy jego kołesiołów.

Ta informacja zabrzmiała pocieszająco. „Drażal” to oczywiście Hasbro, który gotów byłby oddać tuzin tych cholernych dzwonów za życie profesora i starego Jacka. Osobiście nie miałem nic przeciwko roli zakładnika; rola nieboszczyka odpowiadała mi o wiele mniej.

- Albo przynajmniej jednego z jego kołesiołów - sprecyzował kapitan, przyglądając się nam na zmianę, jakby dokonywał wyboru. Mój optymizm prysł. Niewątpliwie z nas dwóch to ja byłem niepotrzebny, bo wiedziałem najmniej. Kapitan Bowker pociągnął nosem, jakby coś zwęszył, i zrobił groźną minę.

- Dawaj eliksir - zwrócił się do Higginsa.

- Ależ on go potrzebuje - zaprotestował naukowiec, kręcąc głową. Był to akt dużej odwagi, zważywszy, że Bowker znów skierował na niego broń, celując dokładnie między oczy. Kapitan zaśmiał się, a Higgins nie zastanawiał się już dłużej. Sięgnął do kieszeni fartucha, wyjął zakorkowaną flaszkę i podał ją Bowkerowi.

Kapitan wyciągnął po nią rękę i właśnie w tym momencie, gdy strzelba znalazła się pomiędzy nami a Higginsem, St. Ives zaatakował. Kapitan zbyt był pochłonięty gnębieniem Higginsa i to go zgubiło.

- Uciekaj, Jack! - krzyknął profesor, rzucając się na kapitana. Wymachując energicznie ramionami odbił się od ziemi i bokiem staranował obfity brzuch marynarza, przewracając go na plecy. Głowa kapitana walnęła o podłogę, butelka z eliksirem poszybowała w kierunku składnicy lodu, a Higgins błyskawicznie skoczył w ślad za nią. Wypadłem na zewnątrz. W ciemnościach podążyłem ku wypróbowanemu przejściu pomiędzy domami;



okrzyk St. Ivesa jeszcze dźwięczał mi w uszach. Kazał mi uciekać, więc oto wieję jak zaszczuty zając. Na podjęcie walki przyjdzie jeszcze czas - przekonywałem sam siebie.

Biegając co sił w nogach, nasłuchiwałem, czy nie padnie strzał. Ale co zrobię, jeśli ten strzał usłyszę? Wrócę tam? Nie, to nie wchodziło w rachubę. Pędziłem wąską ścieżką, zbliżając się do falochronu. Leciałem tak jak wariat, zamiast zwolnić i przemyśleć całą sprawę. Nikt mnie w końcu nie gonił, z chłodni nie było mnie widać, więc nie miałem powodu obawiać się, że ktoś do mnie strzeli. Paniczny strach pchał mnie naprzód, ale wstyd, że uciekłem zostawiając profesora samego, kazał mi zwolnić.

Dotarłem na brzeg już powoli, ale wciąż sapiąc jak lokomotywa. Wstająca znad wody mgła przesłoniła księżyc. Chwilami ledwo widziałem falochron. Podążyłem wzdłuż niego w kierunku „Korony” - wlokłem się teraz noga za nogą, wsłuchując się w spadające z dachów krople... i jakby delikatny plusk wioseł niedaleko od brzegu. Ta cisza, stanowiąca taki kontrast z niedawnym hukiem wystrzału zakończonym kakofonią wrzasków, ta przytłaczająca cisza przerażała mnie. Dokąd zmierzałem? Do „Korony”, żeby w ukryciu czekać na wiadomość, że moi przyjaciele nie żyją, a ci zbroje uciekli bezkarnie? A może w moim pokoju czekają już Pule’owie z naostrzonymi brzytwami? Musiałem się teraz poważnie zastanowić. Dzięki St. Ivesowi zdołałem uciec. Nie mogłem wprost uwierzyć, że zdobył się na takie bohaterstwo tylko po to, by ocalić moje nędzne życie. Ale tak niewątpliwie było. Teraz była kolej na mnie. Potrzebowałem planu, jakiegokolwiek planu, żeby ofiara profesora i moje ocalenie nie poszły na marne.

Tak rozmyślając, dostrzegłem światło latarni, z trudem przebijające się przez mgłę jakieś dwadzieścia metrów od brzegu. Światelko podskakiwało jak błędny ogień, zawieszony na tyczce przymocowanej do dziobu łodzi. Zatrzymałem się, by wyrównać oddech i uspokoić zmęczone serce. Obserwowałem zbliżającą się latarnię. Nagły podmuch wiatru rozpedził mgłę i oto ujrzałem kołyszącą się na ciemnych falach łódkę. Wioślarz, widząc teraz przed sobą falochron, od razu skierował się ku brzegowi. Wkrótce łódka zachręściła o kamienne dno, rufa zatoczyła łuk i oto pasażer brodził już w płytkiej wodzie. Był to Hasbro. Nogawki miał podwinięte, a buty przewieszane przez ramię.

Przeciągnął cumę przez zardzewiały, wystający z falochronu pierścień i uściśnął moją dłoń, jakby nie widział mnie co najmniej miesiąc. Natychmiast zdałem mu relację. Opowiedziałem, że profesor został w rękach tych zbirów i że właśnie próbowałem przygotować jakiś plan odbicia go. Musiałbym jeszcze dopracować szczegóły, żeby nie pchając się na ślepo nie pogorszyć sprawy. Uświadomiłem mu też, że kapitan Bowker to bardzo niebezpieczny człowiek. Jest jak dynamit - każdy najmniejszy wstrząs może go zdetonować.

- Bardzo dobrze, panie Owlesby - rzekł Hasbro swym oficjalnym głosem lokaja. Niespodziewany bieg wydarzeń nie wyprowadził go z równowagi; po prostu nigdy mu się to nie zdarzało. Siedział na falochronie wdzwiewając buty, słuchając i kiwając głową. Jego twarz wyrażała kamienny spokój, jakby właśnie studiował listę startową na końskich wyścigach albo dobierał koszulę i spodnie na następny ranek dla swojego pana. Wyobraziłem sobie jego mózg jako skomplikowany, niezwykle skuteczny mechanizm zegarka i ten obraz natchnął mnie otuchą. Kapitan był twardzielem, ale Hasbro to człowiek jeszcze bardziej niebezpieczny. Niezliczoną ilość razy miałem okazję się o tym przekonać, ale ciągle o tym zapomniałem, bo tak głęboko ukrywał swoje zalety. Wszystko robił dyskretnie, ale skutecznie. Oto przykład: przed chwilą wiosłując przybił do brzegu, a jeszcze pół godziny temu pędził wozem na złamanie karku, wywożąc dzwon w Bóg jeden wie jakim kierunku. Tym się właśnie różniliśmy. On zawsze wiedział, dokąd zmierza, co niezmiennie mnie zdumiewało, bo ja miałem pewność, dokąd zmierzam, tylko wtedy, kiedy udawałem się akurat do baru. Czy Dorota odkryła już tę moją cechę? Dlaczego ona trwa przy mnie pomimo moich słabości? Może dlatego, że przypominam jej ojca. Ale nie czas teraz na smutki ani rachunek sumienia. Hasbro nie zdradził mi, gdzie się podziewał; odkryłem to dopiero później. Teraz jednak obaj posuwaliśmy się naprzód we mgle. Znow miałem do odegrania rolę spiskowca, ale tym razem pod czyimś kierunkiem. Szkoda, że Dorota nie może mnie teraz zobaczyć - jak wyruszam na niebezpieczną misję, jak przedzieram się przez mgłę, by wybawić profesora z rąk zdesperowanych przestępców. Nagle potknąłem się o kamień i wylądowałem twarzą w trawie. Podniosłem się natychmiast, spojrzałem z wyrzutem na zdradliwy krawężnik i rozejrzałem się, czy nikt nie był świadkiem mego kompromitującego upadku. Hasbro był daleko z przodu i nie zwrócił na ten incydent uwagi, może zresztą udawał, że nic nie widział, by nie wprawić mnie w zakłopotanie.

Ale tam, w kierunku pomostu, na drugim końcu trawnika... cóż, w tej przeklętej mgle trudno było mieć pewność, ale chyba tam ktoś stał obserwując nas. Serce znow mi zaczęło łomotać, gdy podbiegłem, by zrównać się z Hasbro.

- Ktoś nas śledzi - oznajmiłem przyciszonym głosem. Hasbro przytaknął.

- Trudno rozpoznać. Może to pani Pule ze swoim synkiem - wyszeptał wprost do mojego ucha. Nie wydawało mi się to możliwe; ta postać była wyraźnie niższa od Willisa Pule. A może to Narbondo? Podobno jest gdzieś w pobliżu, i nikt nie wie, czy naprawdę jest zamrożony. Dostałem gęsiej skórki na samą myśl o doktorze Narbondo czającym się w mgle. Mój strach jeszcze się wzmógł, bo oto znow znaleźliśmy się w pobliżu chłodni. Przez brudne

okno sączyło się światło; skradaliśmy się w jego kierunku, jak robiliśmy to godzinę wcześniej ze St. Ivesem.

Cały czas uważałem, co się dzieje za moimi plecami. Wyteżalem maksymalnie wzrok i słuch - tym razem na pewno nie dam się zaskoczyć. Jednak to, co zobaczyliśmy przez okno, sprawiło, że zapomniałem o ostrożności. Podobnie jak Hasbro, w zdumieniu obserwowałem trzy męskie postacie. St. Ivesa wśród nich nie było.

Ten pokój, a może raczej wnękę oddzielono zasłoną od samej lodowni. Było tu bardzo widno w porównaniu z panującymi na zewnątrz egipskimi ciemnościami, widzieliśmy więc wszystko bardzo dokładnie. Miejsce to przez swą niezwykłą czystość robiło wrażenie zaaranżowanej naprędce sali operacyjnej. Środek pomieszczenia zajmował stół na kółkach, a na nim, na materacu, spoczywał doktor Narbondo we własnej osobie. Odziany w coś, co wyglądało na gumowy kombinezon, był blady jak trup, a śnieżnobiałe włosy miał krótko przycięte. Powinien się teraz nazywać Doktor Mróz. Narbondo jednak spotkał swoje przeznaczenie tam w jeziorze; człowiek, którego z tego jeziora wydobyto, mógł być zupełnie odmieniony.

Leżał teraz na materacu, obłożony bryłami lodu wielkości pięści, i wyglądał jak wyjątkowo wielka ryba. Kapitan siedział na krześle - wielki, siwowłosy, zmęczony. Strzelbę oparł w kącie o ścianę tak, by była w zasięgu ręki. Higgins krążył nad leżącym nieruchomo doktorem. Majstrował coś przy laboratoryjnej aparaturze. Składała się ona z naczynia zawierającego jakąś żółtą substancję oraz gumowego pęcherza podłączonego za pośrednictwem spiralnej rurki do zachodzącej parą dyszy. Na stoliku pod ścianą stała fiolka z eliksirem, którą Higgins najwidoczniej zdołał ocalić.

Naukowiec najpierw spryskał płynem ciało doktora, później, unosząc mu kolejno powieki, zwilżył jego oczy. W pomieszczeniu zrobiło się mgliście jak w Londynie, tyle że ta mgła była zabarwiona na żółto. Narbondo zadrżał, jakby wstrząsany przejmującym zimnem, i krzyknął coś niezrozumiale. Podniósł się trochę i oparł na łokciach, tak że prawie usiadł. Rozglądał się teraz wokół z dzikim błyskiem w nienaturalnie wielkich oczach.

Po chwili jednak jego wzrok zlągł się, jakby doktor zrozumiał, gdzie się znajduje. Sięgnął po eliksir, odkorkował butelkę drżącą ręką i wypił połowę zawartości. Spojrzał prosto w okno i to spojrzenie prawie ścięło mnie z nóg, ale w porę uświadomiłem sobie, że przecież nie może nas widzieć w takich ciemnościach i do tego we mgle.

Co my teraz mamy zrobić? Gdzie jest St. Ives? Czy jeszcze żyje? A może leży związany gdzieś wewnątrz? To bardzo prawdopodobne. Pod każdym względem opłacało im się zachować takiego zakładnika przy życiu. Trąciłem Hasbro łokciem i wskazałem głową kierunek, sugerując, że powinniśmy ruszyć wzdłuż ściany chłodni. Nie widziałem powodu, żeby

zwlekać z próbą uwolnienia profesora. Hasbro jednak, wpatrując się z wielką uwagą w okno, pokręcił przecząco głową.

To doktor tak przykuł jego uwagę. Doktor Mróz, czy doktor Narbondo - jak kto woli. Zdołał już usiąść i kręcił powoli głową, jakby jego stawy wymagały naoliwienia - patrząc na to niemal się słyszało skrzywienie jego kręgow. Na jego twarzy malowało się na przemian przerażenie i najwyższe zdumienie. Najwyraźniej usiłował przełamać jakąś blokadę w swojej świadomości. Zsunął się na podłogę i stał tak przez chwilę chwiejąc się, aż w końcu odwrócił się do nas plecami, by przytrzymać się stołu. Chwycił kawałek lodu i przyłożył go sobie do piersi. Mimo wszystkich okoliczności, zrobiło to na mnie wrażenie teatralnego gestu.

Higgins czuwał w pobliżu, jak kwoka doglądająca piskląt. Położył dłoń na ramieniu doktora, ale ten strącił ją, omal się przy tym nie przewracając; w ostatniej chwili udało mu się znowu chwycić stołu i odzyskał równowagę. Odwrócił się powoli i puściwszy stół ruszył krok za krokiem w kierunku zasłony. Wyglądał jak wykuty z kamienia. Zdołał zrobić trzy krótkie kroki, nim padł jak długi twarzą do podłogi i już się więcej nie poruszył. Kapitan Bowker podniósł się z ociąganiem, jakby ten upadek nie zrobił na nim większego wrażenia. Podążył do Higginsa, który skakał wokół jak opętany wykrzykując chaotyczne rozkazy, chociaż sam nie robił nic sensownego; przeszkadzał tylko, więc kapitan w końcu pchnął go na ścianę.

- Cofnij się! - wrzasnął.

Higgins zajął się zbieraniem rozsypanych po posadzce kawałków lodu.

- To nie działa - jęczał, pocierając ręką czoło. - Muszę zdobyć te notatki. Jestem już tak blisko!

- Wygląda na to, że nic z tego nie będzie - powiedział kapitan. - Kiedy zapłacą wreszcie za tę maszynę, zmykam do Paryża, tyle ci powiem. Twój koleś może tutaj sobie gnić. Lepiej daj mi jeszcze trochę tego eliksiru. Jemu i tak on się już tej nocy nie przyda.

Właśnie w tym momencie, gdy kapitan był odwrócony, a Higgins chwycił butelkę, by uchronić ją przed zakusami Bowkera, zasłona uniosła się i do małego pomieszczenia wkroczył Willis Pule ze swą upiorną mamusią. Ona trzymała w ręku rewolwer, on zaś czarną, nie wróżącą niczego dobrego torbę lekarską. Uśmiechał się szeroko, jak dziecko, które szykuje jakąś psotę.

Muszę przyznać, że kapitan potrafił być naprawdę szybki. Zapewne dojrzał ich kątem oka, gdyż wykonał półobrót i trafił Willisa łokciem w ucho; nieszczęśnik z pewnością postradałby od tego uderzenia rozum, gdyby posiadał jeszcze takowy. Bowker rzucił się teraz po swoją strzelbę, ale tym razem był zbyt powolny. Zdażyłby, gdyby nie tracił czasu na znokautowanie Willisa. Pani Pule skoczyła ku niemu z wyrazem obłąkańczej radości na twarzy i wcisnęła lufę rewolweru w obfite sadło kapitana; zniknęła pośród fałd

tłuszczu, które stłumiły odgłos wystrzału. Zdołał ją jeszcze odepchnąć, zanim pocisk odrzucił go do tyłu. Wykonał niezgrabny piruet, przytrzymując rękami brzuch i poruszając jak ryba ustami. Przewrócił opartą o ścianę strzelbę i osunął się z gracją na podłogę. To była najbardziej okrutna scena, jaką w życiu widziałem, a zdażyłem już być świadkiem niejednej podłości dokonanej z zimną krwią. Pani Pule zwróciła teraz lufę rewolweru ku Higginsowi, który najwyraźniej stracił głowę, bo rzucił się w kierunku zasłony. Młody Pule, wciąż siedzący na podłodze, wyciągnął rękę i chwycił naukowca za nogę. Higgins runął głową do przodu, jakby już został ugodzony pociskiem. Willis skoczył mu na plecy i dosiadł go okrakiem.

- Wio, koniku! - krzyczał śmiejąc się histerycznie. Dźgał przy tym Higginsa palcem w krzyż; chyba nawet próbował go łaskotać, choć brzmi to dość niewiarygodnie. Jednocześnie drugą ręką walił swą ofiarę po głowie.

- A masz! A masz! A masz! - powtarzał, jakby dostał czkawki i nie mógł jej powstrzymać. Pani Pule nie omieszkała skorzystać z okazji i wymierzyła synowi potężny cios.

- Zachowuj się! - krzyknęła. Tym razem jednak nie było żadnej reakcji, więc musiała jeszcze raz zdzielić go w głowę. I tak przez jakieś dwadzieścia sekund byliśmy świadkami następującej sceny: Willis ciągnął Higginsa to za uszy, to za włosy, nie szczędząc mu też razów w potylicę, aż głowa podskakiwała, natomiast sam inkasował cios za ciosem od swojej matki. W końcu kobieta szarpnęła go z całej siły za włosy i Willis z rykiem przewrócił się na plecy. Higgins, korzystając z okazji, na kolanach próbował dosięgnąć zasłony; opatrunek mu się rozluźnił i świeża krew zabarwiła bandażę.

Pule'owie błyskawicznie chwycili go za nogi i przyciągnęli z powrotem. Po krótkiej szarpaninie usadowili Higginsa na krześle, na którym uprzednio wypoczywał świętej pamięci kapitan i skrępowali go niczym innym, jak getrami Bowkera.

W tym momencie mignęła mi przed oczami jakaś ciemna sylwetka przy ścianie w głębi chłodni. Tak, byłem tego pewien. Ktoś był tam w środku; być może wypłoszył go odgłos wystrzału i bijatyki. Teraz zauważył nas przyczajonych pod oknem i chociaż nie ruszaliśmy się z miejsca, na wszelki wypadek rzucił się do ucieczki.

Zanim zdażyłem szturchnąć Hasbro, straciłem tego kogoś z oczu. Nie miało sensu podążać jego śladem, tym bardziej iż na pewno nie był to żaden z naszych przeciwników - wszyscy w komplecie znaleźli się w środku. A może to ktoś z zewnątrz, kto chciał sprawdzić, jak się sprawy mają, zanim wykona swój ruch? Ktoś, kto czekał, aż inni wykonają za niego mokrą robotę?

Przez cały ten czas Narbondo leżał bez ruchu; najwidoczniej zdażył znowu zamarznąć na kość. Wydawało się, że Willis widzi go pierwszy raz w życiu. Podkraść się bliżej, by przyjrzeć się dokładniej twarzy doktora; od razu

pobladł jak ściana. Narbondo, nawet pogrążony w tym letargicznym śnie, zdołał śmiertelnie przerazić biednego Willisa. Na dodatek, jakby coś wyczuwając, Narbondo poruszył się i zaczął mamrotać. Pule odskoczył jak oparzony. Przyłgnął do przeciwległej ściany, skrzyżował ręce na piersi i jak flaming uniósł jedną nogę; wyglądało to, jakby próbował zwinąć się w kłębek, a jednocześnie zachować gotowość do biegu, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

Matka przyskoczyła do niego i pogłaskała jego biedne czoło. Mrugając powiekami przemawiała w idiotycznie dziecinny sposób, by go uspokoić, lecz przez cały ten czas trzymała gotową do strzału broń. Gdy próbowała ominąć rozłożone szeroko nogi kapitana, poślizgnęła się w kałuży krwi. Musiała aż przytrzymać się kurtki syna, by nie upaść. Dziecinne gaworzenie ustąpiło miejsca przekleństwu. Z namaszczeniem wytarła zakrwawiony but w koszulę kapitana. Hasbro chyba nie mógł tego zobaczyć z miejsca, w którym stał, ja natomiast widziałem tę scenę doskonale i wiercie mi, zrobiło to na mnie obrzydliwe wrażenie, tym bardziej że pani Pule zaraz wróciła do syna, obsypując go pieśczośliwymi słówkami. Nie mogłem oderwać oczu od wstrząsającego widoku poplamionej krwią koszuli. Zrobiło mi się niedobrze. Spojrzałem w twarz Hasbro. To oblicze zawsze tchnęło stoickim spokojem, lecz tym razem maska opadła; ujrzałem na jego twarzy zdumienie i odrazę. Więc jednak reagował jak normalny człowiek.

- Spróbujmy odnaleźć profesora - szepnąłem do niego. Nie chciałem już oglądać tego, co z pewnością niebawem nastąpi. Nie pozostawią doktora żywym, a jego śmierć nie będzie przyjemnym widokiem. Ci dwoje to była para wcielonych diabłów, ale pomimo to, choć może zabrzmie to jak kłamstwo, nie zazdrościłem im okazji do wyrównania porachunków z Narbondem. Po prostu nie chciałem na to patrzeć.

Przedzierając się przez zielsko, dotarliśmy do drzwi, prowadzących do prowizorycznej sypialni kapitana. Zasuwka znajdowała się na zewnątrz, tak by nikt nie mógł się stamtąd wydostać. Weszliśmy więc do środka bez problemu. W środku na kozetce leżał St. Ives; ręce i nogi miał związane, a do tego knebel w ustach, który natychmiast wyjęliśmy. Gdy już oswobodziliśmy profesora z więzów, szeptem i na migi próbowaliśmy opowiedzieć mu o jatce, jaka miała miejsce za ścianą. Natychmiast podniósł się, zdecydowany wkroczyć i powstrzymać oprawców. Nie miało dla niego znaczenia, czyje życie było w niebezpieczeństwie. Po prostu nie mógł tego znieść. Nawet doktorowi Narbondo należy się uczciwy sąd.

Szarpnął drzwi i domyślacie się już chyba, kto przywitał go na progu. Była to pani Pule z pistoletem w dłoni i małpim uśmiechem na twarzy. Rzuciłem się ku wyjściowym drzwiom, które wciąż były otwarte i już chciałem wiać, gdzie pieprz rośnie, tłumacząc sobie, że trzeba wezwać na pomoc konstabli. Cóż poradzę, że to zawsze mnie wyznaczano do takich

zadań. Ale oto zagroził mi drogę czekający na zewnątrz Willis. Wyglądał na wykończonego fizycznie i psychicznie, a w drżących rękach trzymał wycelowaną we mnie strzelbę kapitana. Stałem jak wryty i przyglądałem się biernie, jak Hasbro oddaje swój rewolwer pani Pule. I tak to się skończyło.

Zaprowadzili nas z powrotem do lodowni, której posadzka pokryta była mokrym sianem. Pachniało błotem i amoniakiem.

Od razu dał mi się we znaki chłód. Pomyślałem, jak nieprzyjemnie jest stawać w obliczu śmierci, gdy człowiek jest zziębnięty, diabelnie zmęczony i do tego jest koło trzeciej nad ranem. Ta długa noc, pełna pogoni i ucieczek, zakończyła się powrotem do jaskini lwa - a może lwów? Teraz, gdy jednego z nich miałem przed sobą, a drugi pilnował mnie z tyłu, niewiele miałem do powiedzenia. St. Ives przystąpił do dzieła, gdy tylko zobaczył leżącego na stole Narbonda. Zbadał mu puls, pokiwał głową i uniósł powiekę doktora. Następnie obejrzał aparaturę i powąchał eliksir. Na koniec schował flaszkę z eliksirem do kieszeni płaszcza, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- Wyjmij to natychmiast - zażądała kobieta przystawiając mi rewolwer do skroni. Z napięciem patrzyłem, jak St. Ives spełnia jej polecenie. - Obudź go - padł kolejny rozkaz. Odjęła lufę od mojej głowy i wskazała pistoletem na śpiącego doktora. St. Ives tylko wzruszył ramionami.

- Uczyniłbym to z wielką przyjemnością, ale nie potrafię - wyjaśnił. - Byłby to najszczęśliwszy dzień w moim życiu, gdybym mógł go ożywić i postawić przed sądem, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Kobieta wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Mówiłam to samo - nawiązała do swojej wizyty w sklepie Godalla. - Sprawiedliwość. Sami wymierzymy mu sprawiedliwość, prawda, Willis?

Willis przytaknął, bardzo zadowolony - pewnie dlatego, pomyślałem, że St. Ives nie podjął się obudzenia doktora. Pule bardzo by tego nie chciał. Podniósł teraz swoją torbę z narzędziami, postawił ją na stole i otworzył. Od razu uderzył mnie specyficzny swąd spalonej gumy. Tak jak się spodziewałem, młodzieniec wyjął z torby pocięte i nadpalone fragmenty mojego słonika oraz złożone z powrotem trybiki mechanizmu.

- Patrz, co zrobiłem z tym słoniem - powiedział do mnie, zerkając przy tym na Higginsa.

- Słoniem? - powtórzył naukowiec, rzucając w moim kierunku niepewne, wystraszone spojrzenie. Niejasna wzmianka o słoniu zrobiła na nim dziwnie piorunujące wrażenie, zwłaszcza że szczątki w rękach Willisa raczej nie przypominały tego wielkiego zwierzęcia. Były to po prostu wiotkie kawałki podartej, farbowanej gumy.

Chciałem wyjaśnić sprawę biedakowi.

- Zamknij dziób! - wrzasnął jednak Willis piskliwym głosem szaleńca, zaciskając z całej siły powieki. Nie miał ochoty słuchać tego, co miałem do

powiedzenia; tkwił w swoim własnym obłąkanym świecie. Zabrał się z namaszczeniem do rozkładania swoich instrumentów - kleszczy, skalpeli i dziwnego przyrządu przypominającego trochę obcęgi, a trochę sekator, służącego, jak przypuszczam, do cięcia kości.

Willis uklonił się nam i wskazując na Narbonda, przemówił do nas niby do grupy studentów zgromadzonych w sali operacyjnej.

- Teraz przeszczepię głowę tego pana do ciała tamtego grubasa, a potem obudzę go, żeby spojrzał w lustro i zobaczył, jaki jest brzydki. Następnie zamontuję ten mechanizm w jego sercu. - Tu pokazał trybiki wymontowane z zabawki. - Wtedy będę mógł nim sterować za pomocą dźwigni. A tego pana - tu wskazał na przerażonego i zszokowanego Higginsa - potnę na kawałki i poskładam z powrotem, ale na odwrót, żeby zapinając koszulę musiał sięgać rękami do tyłu. Jeśli mi się to uda, to sprzedam go do cyrku pana Szczęśliwego.

A jednak Willis Pule był bardziej obłąkany, niż myślałem. Co on miał na myśli mówiąc, że poskładam go „na odwrót”? Przecież to oczywista bzdura. Nic nie wskazywało, że ma jakiegokolwiek pojęcie o wiwisekcji i temu podobnych rzeczach. Chyba że przyuczył się pracując z Narbondem. Ale nie mogłem wątpić w to, że jest zdolny do popełnienia okrutnych czynów. Oto zamierzał porąbać na kawałki trzech ludzi, z tego dwóch jeszcze żywych. Powodował nim ten sam chorobliwy popęd, który kazał mu zmasakrować mego słonia czy rozbebeszać biedne ptaki, które potem upychał pod podłogą w swoim domu. A wszystko to robił z najwyższą rozkoszą - tego byłem zupełnie pewien.

Biedny Higgins był chyba jeszcze bardziej tego pewien; gdy Willis wspomniał, że sprzeda go do cyrku, zaczął żałośnie szlochać i przewracać oczami. Upadł na czworaki, napinając krępujące go getry, a jego głos brzmiał o oktawę wyżej niż przedtem.

Pani Pule podała synowi rewolwer; ten nie chciał odkładać strzelby, więc przełożył ją tylko do lewej ręki. Kobieta podniosła pojemnik z żółtym płynem i poradziła Higginsowi, by to wypił. Kiedy stwierdziła, że nie jest w stanie tego zrobić, całą zawartością naczynia chlusnęła mu w twarz. Higgins, krztusząc się i spluwając, próbował stanąć na nogi. Pani Pule zamierzała zdzielić go po głowie, ale nie trafiła i zawadziła tylko o nos, bo zanadto się szarpał i wiercił.

- Słyszałeś, co mój syn powiedział? - syknęła.

- Co? Co? Nie wiem, o co chodzi! - krzyczał zszokowany Higgins.

- Możesz jeszcze ocalić życie - powiedziała kobieta - Albo... - pochyliła się i resztę zdania wyszeptała wprost do jego ucha.

- Boże miłosierny! Dlaczego? - biadolił. - Naprawdę chcecie ze mną zrobić coś takiego? Pan Szczęśliwy! - Głos mu się załamał; już tylko mamrotał



coś do siebie i pojękiwał.

Chyba przesadzili. Chcieli skłonić Higginsa do współpracy, ale nieopatrznie wpędzili go w taki szok, że nie był już zdolny do negocjacji. Nie pozostało jej nic innego, jak zdzielić go jeszcze raz i drugi... aż w końcu usiadł prosto i skoncentrował się trochę.

- Gdzie są notatniki? - zapytała. W tym momencie St. Ives odchrząknął i swobodnym głosem, jakby rozmawiał z sąsiadem przez płot ogródka, powiedział:

- Nie przypuszczam, żeby ten człowiek coś wiedział...

- Stul pysk! - wrzasnęła kobieta, odwracając się w naszym kierunku.

- Stul pysk! - powtórzył jej syn i mrugając nerwowo wymierzył broń, nie wiedząc czemu akurat we mnie. Przecież nie odezwałem się nawet słowem. Mam się zamknąć? Proszę bardzo. Wzruszyłem tylko ramionami. St. Ives był jednak ulepiony z innej gliny.

- Chciałem tylko powiedzieć, madam - mówił spokojnie i powoli - że profesor Higgins nie ma zielonego pojęcia, gdzie te notatniki mogą się znajdować. To przecież on wysłał do pani list po uratowaniu doktora. Jak dotąd, nie udało mu się ich odnaleźć pomimo wielkich starań. Torturami nic tu pani nie zdziała, chyba że, czego nie wykluczam, robi to pani dla zabawy.

- Ty parszywy... - wykrztusiła i z wściekłością wyrwała z rąk syna rewolwer. - Ty ścierwojadzie! Co ty możesz o tym wiedzieć? Chyba jednak zacniemy od ciebie, panie Długi Nos, a potem Willis zrobi z ciebie stracha na wróble.

Jeszcze jej głos nie umilkł, kiedy rzuciłem się na nią. Nie pytajcie mnie, dlaczego to zrobiłem. Może chciałem powetować sobie wcześniejsze niewykorzystane okazje. Zdołałem chwycić lufę rewolweru i z całej siły trzasnąłem ją w szczękę, co wystarczyło, by padła jak długa na wznak.

Willis nie zdążył nawet unieść strzelby, kiedy Hasbro zdzielił go w skroń. Szaleniec od razu padł na kolana, a po chwili osunął się twarzą na podłogę.

Było już po wszystkim. Cóż, musiałem dla dobra sprawy uderzyć kobietę. Bóg mi świadkiem, że gdyby zaszła taka potrzeba, zrobiłbym to raz jeszcze, tylko może mocniej.

- Jack, sprowadź konstabla - rzucił St. Ives odbierając mi rewolwer. - Postaraj się zrobić to naprawdę szybko. Dopóki Narbondo nie znajdzie się pod kluczem, nie zostawię go samego, przytomnego czy nie - nie ma to żadnego znaczenia.

Zanim zdołałem zrobić krok, zasłona poruszyła się i oto, jak na zawołanie, stał przed nami policjant. Był to ten sam stróż porządku, który przepytывał mnie w parku. Nie przybył jednak sam. Obok niego stał Parsons i jeszcze dwóch zaspanych mężczyzn, zapewne wyrwanych z łóżek

przedstawicieli prawa. To właśnie Parsonsa zauważyliśmy wtedy na zewnątrz, kiedy czekał na swoją szansę. Gdy sytuacja stała się dramatyczna, gdy rozumiał, w jak ciężkich tarapatach się znaleźliśmy, popędził co sił, by sprowadzić pomoc. Tak się złożyło, że przybyli w chwili, gdy już nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

- Muszę odebrać wam tę broń - wyjaśnił konstabl bardzo oficjalnie.

- Ależ oczywiście - St. Ives podał mu rewolwer; trzymał go tak, jakby to był jadowity wąż.

W centrum uwagi znalazł się teraz leżący na stole Narbondo. Ktoś przyniósł więcej lodu, ktoś inny opisywał części składowe aparatu. W pewnym momencie St. Ives nie wytrzymał i zwrócił się do Parsonsa.

- Notatniki są u pana, prawda? - Parsons nie zareagował. - To Piper, okulista, odebrał je temu staremu człowiekowi i trzymał przez cały czas, a kiedy umarł, zjawił się pan, by wejść w ich posiadanie.

- Zgadza się w każdym szczególe - potwierdził z uśmiechem Parsons. Był bardzo zadowolony, że wreszcie wyprowadził St. Ivesa w pole, że choć raz to on był szybszy. - Nie wie pan tylko jednej rzeczy. Ja to wszystko zniszczyłem. To był straszliwy przykład wykorzystania nauki dla niecných celów, coś obrzydliwego, mówię panu. Spaliłem te notatki w piecu po przeczytaniu zaledwie fragmentu.

- W takim razie - powiedział St. Ives - Narbondo jest już właściwie martwy. Ile czasu może tak trwać między życiem a śmiercią - nie wiem, ale jedno jest pewne: Higgins nie potrafił przywrócić go do normalnego stanu. Ja również. Bez tych notatek pan też, dzięki Bogu, nie może nic zrobić.

Parsons wzruszył ramionami.

- Trzymajcie go cały czas pod lodem - zwrócił się do policjanta. - Akademia się nim zajmie. Będzie interesującym królikiem doświadczalnym.

To ostatnie zdanie od razu skojarzyło mi się w nieprzyjemny sposób z Willisem i jego „badaniami”. Wtedy też zrozumiałem, co różni Parsonsa od takiego człowieka jak St. Ives. Zacząłem żałować, że Narbondo wpadł w jego ręce. St. Ives okazywał jednak w tym względzie zupełną obojętność.

- Myślę, że czas wracać do „Korony”. Mam tam kilka butelek piwa. Proponuję uczcić sukces profesora Parsonsa.

- I kto to mówi! - powiedział Parsons, jak mi się wydawało, z nutką dumy w głosie, kiedy wychodziliśmy już na zewnątrz. Pomyślałem sobie, że parę butelek piwa, a potem kilka godzin snu dobrze mi zrobią. Nasza misja dobiegła końca i jutro wyruszymy ekspresem do Londynu. Sprawdziłem, czy wciąż mam w kieszeni płaszcz dowód rezerwacji pokoju w zajeździe „Pod Kufelkiem” dla mnie i dla Doroty. Można by pomyśleć, że powinienem mieć już dość tego miejsca, ale gotów byłem postawić na swoim i spędzić tam kilka dni, tak jak planowałem. Tym bardziej że teraz będzie inna sytuacja, na pewno

nie będzie się zajmować gośćmi ta kobieta, która mnie tak wodziła za nos. Posterunkowy już wysłał kogoś, by ją przymknął.

Siedzieliśmy w pokoju St. Ivesa. Gospodarz podawał wszystkim otwarte butelki, aż przyszła kolej na Parsonsa.

- Pan pija tylko wodę, o ile dobrze pamiętam...

- Ma pan godną podziwu pamięć, sir. Woda jest esencją życia.

- A więc mam też specjalnie dla pana butelkę wody źródlanej. Parsons był zachwycony. Przyjął od St. Ivesa pełną szklanekę i obracał ją w dłoni z takim namaszczeniem, jakby to był szkocka whisky, burgund czy inny normalny napój. Następnie opróżnił szklanekę duszkiem i zacmokał jak koneser, lecz po chwili skrzywił się.

- Trochę gorzka - powiedział. - Pewnie francuska. Ale jestem bardzo spragniony po tym dzisiejszym małym zamieszaniu. - Jeszcze raz wyciągnął rękę.

- To woda mineralna - wyjaśnił St. Ives napełniając naczynie. Kusiło mnie, by wtrącić trzy grosze na temat wspomnianego „małego zamieszania”, ale dałem sobie spokój. Hasbro tymczasem zasnął na krześle.

Parsons puścił oko do profesora. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby był taki zadowolony z siebie.

- Wracając do wskrzeszenia Narbonda - powiedział - mam pewien pomysł dotyczący maszyny lorda Kelvina. Zapewne czytał pan prace sir Josepha Johna Thompsona z laboratorium w Cavendish?

Twarz St. Ivesa zdradzała jego myśli; najwyraźniej wiedział, że prędzej czy później rozmowa zejdzie na ten temat.

- Tak, czytałem. Bardzo interesujące, ale nie widzę związku ze sprawą.

Parsons był w siódmym niebie. Warto było całe lata czekać i knuć, by usłyszeć takie wyznanie St. Ivesa. Przybrał minę pokerzysty, który trzymając w ręku cztery asy, spogląda łączywie na stertę monet na stole.

- Elektry - powiedział tylko, jakby to jedno słowo miało wszystko wyjaśnić.

- Proszę kontynuować - zachęcił go St. Ives.

- Cóż, jest to dosyć proste. Jak wiemy, elektrony krążą wokół atomu po okrągłej orbicie. Silne pole elektromagnetyczne wyciąga tę orbitę na kształt owalu, co można porównać ze zjawiskiem pływów na Ziemi. W żywych stworzeniach wywołuje to nagłą i niepowstrzymaną aktywność komórek. A gdyby tak poddać Narbonda działaniu takich sił, potężnej dawce energii elektromagnetycznej? To mogłoby, jak to określam, „uruchomić” go, tak jak uruchamia się czterosuwowy silnik systemu Otto.

- Niewykluczone - odparł St. Ives bez entuzjazmu. - Mogłoby działać nawet o wiele więcej. Przypominam panu, że to nie jest temat do żartów. Akademia już raz zdecydowała się użyć tej przeklętej maszyny i nie ukrywam,

że to mój człowiek ją popsuł. Wie pan, o czym mówię?

Parsons wiedział; pamiętał dobrze incydent z maszyną, który pogłębił konflikt pomiędzy nim a St. Ivesem.

- Zablokował aparat wpuszczając do środka myszy polne, o ile pamiętam. Bardzo zmyślny sposób, choć nie da się ukryć, że, hmm... dość prymitywny - sekretarz pozwolił sobie na pewną dozę zgrzyźliwości.

- No cóż - odparł St. Ives - część tych myszy przeżyła, by dać świadectwo gorzkiej prawdzie, jakby to ujął mój przyjaciel Jack. Przez dwa lata badałem ich populację zamieszkującą okoliczne pola, do czasu, gdy nie miałem już wątpliwości, że ostatnie z tych biednych stworzeń zdechło. Stwierdziłem zatrważające przypadki mutacji i raka. Jestem przekonany, że pańska „niepohamowana aktywność komórek” to po prostu niekontrolowany ich przyrost. Porównanie do silnika może jest i trafne, ale nie ma to żadnego znaczenia. Nie może pan beztrzesko uruchamiać tej maszyny dla byle powodu, a zwłaszcza tak błahego, jak ten. Powierzmy los Narbonda Opatrzności.

- Błahego! - zawołał Parsons. - Guzik mnie obchodzi los Narbonda, ale niech pan sobie wyobrazi, jak wielkie to może mieć znaczenie. Ten biedny Higgins, który całe życie poświęcił kriogenice; Narbondo i jego wieloletnie badania na polu chemii. Był potworem, to fakt, ale co z tego? Musi pan być bardzo krótkowzrocznym naukowcem, jeśli nie dostrzega pan możliwości wynikających z ich wspólnej pracy i jej wpływu na dalszy rozwój ludzkości. To właśnie maszyna lorda Kelvina otworzy nowy rozdział w dziejach. Krótko mówiąc, mój statek jest już w drodze i zamierzam ją wciągnąć na pokład. - Parsons uderzył pięścią w oparcie krzesła, by podkreślić swoje zdecydowanie. W chwilę później powieki mu opadły, a głowa zaczęła się chwiać ocieężale. W ostatnim przebłysku świadomości zdążył jeszcze wymamrotać, że nagle poczuł się bardzo senny. Niebawem chrapał już z głową zwieszoną na piersi, nie mając najwidoczniej nic więcej do powiedzenia.

Na ten widok znów zatęskniłem za swoim łóżkiem; zacząłem ziewać i oznajmiłem, że chyba też pójdę się położyć, ale właśnie wtedy St. Ives zerwał się z krzesła i położył przygotowany wcześniej list na kolanach sekretarza.

- Czas na nas! - zawołał. Obudził Hasbro, który natychmiast zerwał się na nogi i już był przy drzwiach. - Hej, Jacky, idziesz z nami czy nie? - zapytał profesor.

- Teraz? No tak, pewnie, że idę, ale dokąd?

- Płyniemy do Cieśniny Kaletańskiej. Będiesz mógł się zdrzemnąć na pokładzie.

Popędził jeszcze do pokoju Parsonsa i po chwili wrócił z naręczem ubrań sekretarza. Mogliśmy ruszać w drogę.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami i podążyliśmy wzdłuż falochronu, by w końcu wsiąść do przycumowanej łódki. Hasbro zamocował wiosła i odbiliśmy

od brzegu. Płynęliśmy pośród gęstej mgły, aż w końcu dostrzeżliśmy przed sobą cień małego parowego trawlera. Przybiliśmy do jego burty, wspięliśmy się na pokład i wciągnęliśmy za sobą łódź. Kotwica poszła w górę; przywitałem się z dzielną ciotką Hasbro, Edie oraz siwiutkim wujem Botleyem, który pilotował trawler. Na małej barce z tyłu wieźliśmy dzwon, skradziony wcześniej tej nocy.

To oczywiście St. Ives uspił Parsonsa dosypując mu czegoś do wody. Uradowany swym sukcesem sekretarz wypił jej wystarczająco dużo, by nie obudzić się przez następne pół dnia. Znajdziemy się w cieśninie przed nim, z dzwonem nurkowym na holu, a wtedy...

Parsons mówi do widzenia 'kazało się, że zatopionej maszyny strzeże pół tuzina statków, stojących na kotwicy w bezpiecznej odległości. Do aparatu przymocowano boję, by nie stracić go z oczu, a jednocześnie móc uniknąć podpłynięcia zbyt blisko. Bez specjalnych ceregieli skierowaliśmy się wprost na pilnujący maszyny kordon. Wtedy to właśnie musiałem odegrać swoją rolę. I myślę, że spisałem się całkiem nieźle.

Wyszedłem na pokład ustrojony w potężną białą brodę i perukę. Miałem na sobie także ubranie Parsonsa, które St. Ives skradł z jego pokoju w „Koronie”. Profesor pozostał w ukryciu, bo ktoś z ludzi na łodziach mógłby go rozpoznać. Sekundował mi jednak z wnętrza kabiny. Wspólnymi siłami zdołaliśmy okpić strażników długą i jak sądzę, przekonującą przemową. Oznajmiliśmy im, że znaleźliśmy sposób, jak „rozbroić” maszynę i że specjalnie do tego celu przyholowaliśmy dzwon do nurkowania. W każdym razie wzięli mnie chyba za sekretarza, bo przepuścili nas bez problemu. Popłynęliśmy w kierunku boi, zachowując jednak rozsądną odległość, by w końcu przesiąść się do naszej wiosłowej łódki. Ciągnęliśmy za sobą barcę, na której pokładzie przysiadł na szeroko rozstawionych nóżkach dzwon, a nad całością górował przymocowany mosiężnymi nitami dźwig. Łańcuch został zastąpiony bardzo mocną liną. Musieliśmy się jednak śpieszyć. Wuj Botley usunął z naszej łódki i z barki tyle żelastwa, ile zdołał, ale wciąż mogło się zdarzyć, że przy braku należytej ostrożności maszyna zacznie wrywać gwoździe i w końcu nas zatopi.

Hasbro i ja pracowaliśmy przy wiosłach, do czego miałem szczególne predyspozycje, zważywszy, że niegdyś ścigałem się na Tamizie. Ci z kordonu musieli być nieźle zdumieni widząc, jak stary Parsons płynie w takim tempie, bo przecież miał on już co najmniej osiemdziesiąt pięć lat. Ta myśl tak mnie rozbawiła, że wiosłowałem jeszcze mocniej, oglądając się przez ramię, gdy zbliżaliśmy się powoli do boi.

St. Ives sam zajął miejsce w dzwonie i szykował się do wodowania. To on ponosił największe ryzyko. Będzie musiał zejść pod wodę bez zapasu powietrza, bo kompresor zostałby rozerwany na kawałki. Miało to być jednak

płytkie zanurzenie, które nie powinno zabrać dużo czasu. Tak przynajmniej twierdził profesor. Wcześniej nakazał nam, byśmy kontrolowali czas na zegarku i po ośmiu minutach wyciągnęli go na powierzchnię. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to zanurzy się jeszcze raz. Powiedział też, że jeśli łódź zacznie się rozpadać lub coś złego zacznie dziać się tam w dole, mamy odciąć linę i jak najszybciej uciekać.

Hasbro upierał się, że zanurzy się razem z nim, ja zresztą również - obaj nie chcieliśmy ustąpić, ale St. Ives, jak zwykle, postawił na swoim. Był jednak bardzo zdenerwowany; obwinał siebie, że zmarnowaliśmy tyle czasu. Nie mógł też odżalować tych dwóch statków, które poszły na dno; jego zdaniem można było tego uniknąć. Czuł się odpowiedzialny nawet za to, że maszyna przetrwała przez wszystkie te lata stojąc beczynnie w warsztacie, aż w końcu ktoś ją ukradł, by wykorzystać dla swych niecznych celów. Takim już był człowiekiem - brał wszystko na siebie, za to nie tolerował głupoty innych. Tak więc dla jego psychiki lepiej chyba było, że miał zejść pod wodę sam i sam ryzykować życiem; widać było wyraźnie, iż jest z tego zadowolony; pewnie myślał, że jeśli wydarzy się coś złego i będziemy musieli go zostawić, to trudno - na nic lepszego nie zasługuje. W dodatku ta stara historia z Alicją ciągle tkwiła w jego głowie. Mógłbym nawet zaryzykować stwierdzenie, nie uchybiając wrodzonej odwadze profesora, że o swoje życie dbał nie więcej niż o wczorajszą kolację.

I chociaż nie miałem pojęcia, ile powietrza może zużyć jeden człowiek na głębokości ośmiu sądni, przyjąłem do wiadomości jego argumenty, że dwóch ludzi zużyje go dwa razy więcej i tyle samo razy wzrośnie ryzyko przedsięwzięcia. Również wyposażenie i stery dzwonu przeznaczone były tylko dla jednej osoby. St.

Ives zapoznawał się z nimi przez całą drogę od Sterne Bay. Hasbro i ja bylibyśmy tylko niebezpiecznym balastem. Chcieliśmy wprawdzie okazać swoją lojalność i pójść razem z nim na śmierć, gdy takie będzie zrządzenie losu, ale St. Ives nie potrzebował takich dowodów oddania.

Nadszedł moment zanurzenia. Jedno z ramion dzwonu trzymało wiązkę materiałów wybuchowych, opakowaną w gumę i zapieczętowaną lakiem. Do tego przytwierdzony był zegarowy detonator. St. Ives nigdy nie zamierzał „rozbierać” maszyny; od początku uważał, że należy ją unieszkodliwić na dobre i właśnie w tym celu skradł dzwon Higginsa.

Wody cieśniny na szczęście były spokojne - zaledwie ślad wiatru i leciutka fala. Lina zatańczyła leniwie na dębowych blokach i zobaczyliśmy, jak dzwon opada coraz niżej ku ciemnej sylwetce spoczywającej w głębinie. Byłem nieco zaskoczony rozmiarem tego cienia na dnie, ale uświadomiłem sobie, że to nie jest kształt samej maszyny, ale także zatopionych statków, spoczywających na piaszczystej ławicy.

To przez te statki St. Ives nie zrobił tego, co wydawało się oczywistym rozwiązaniem. Można było przecież wetknąć kawałek żelaza pomiędzy ładunki i wyrzucić całość za burtę; ale wtedy mogłoby się to z łatwością przyczepić do kadłuba zatopionego statku. Wrak zostałby zmieciony wybuchem, podczas gdy maszyny mogło nawet nie naruszyć. Dlatego profesor musiał opuścić się wprost na nią lub użyć wysięgnika, by w ten sposób precyzyjnie umieścić ładunek. Nasz wysiłek nie mógł pójść na marne. Ale St. Ives miał na to tylko osiem minut.

W pewnym momencie lina nagle zwiotczała i jej zwoje zaczęły odkładać się na powierzchni wody. St. Ives musiał o coś zaczepić. Mógł to być wrak, mogła też być maszyna. Nam pozostało tylko bacznie kontrolować upływający czas. Myślicie pewnie, że biegł bardzo szybko? Nic podobnego - każda minuta trwała wieczność.

Chłodziła nas delikatna bryza, chmury wędrowały po niebie, a luźny krąg statków kołysał się na spokojnych wodach. Nikt tam nie miał pojęcia, kim byłem, naprawdę, zamaskowany peruką i sztuczną brodą. Hasbro głośno odliczał minuty, a wuj Botley stał przy korbie dźwigu. Gdy doliczyliśmy do ośmiu, wszyscy trzej napaarliśmy na nią z całych sił. Lina naprężyła się jak struna, rozpryskując wokół krople wody. Obciążone bloki jęczały, kiedy dzwon bardzo powoli wyłonił się na powierzchnię i w końcu, ociekając obficie wodą, zawisł w powietrzu. Mogliśmy dostrzec w środku St. Ivesa, natomiast ładunku już nie było. Czy znaczyło to, że profesorowi się powiodło, czy że poniósł całkowitą klęskę? Nie było czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Dzwon wreszcie zadudnił o pokład i podczas gdy wuj Botley przytwierdzał go do podłoża, ja i Hasbro chwyciliśmy za wiosła i po chwili barka dosłownie fruwała tuż nad wodą. Nic tak nie dodaje wigoru, jak świadomość, że bierzesz udział w szatańskim przedsięwzięciu, które może spowodować potworny wybuch.

Na otaczających nas łodziach podniosła się radosna wrzawa, więc zdjąłem kapelusz i pomachałem nim w powietrzu, przez co omal nie straciłem peruki. Czym prędzej wcisnąłem kapelusz z powrotem na głowę i zaniechałem dalszych teatralnych gestów. Przedostaliśmy się na drugą stronę kordonu i wreszcie przybiliśmy do burty naszego trawlera. Wspięliśmy się na pokład, wzięliśmy barkę na hol i natychmiast opuściliśmy to miejsce.

Oczywiście nie zostawiliśmy St. Ivesa wewnątrz dzwonu. Wyszedł w ostatniej chwili; wcześniej nie chciał ryzykować, bo mógł zostać rozpoznany. Kazał nam tylko ruszać w drogę i od razu skrył się w kabinie. Chwyciłem tubę i zacząłem pokrzykiwać w kierunku najbliższego statku; paru zniecierpliwionych ludzi stało przy jego burcie, a jakiś wyższy oficer najwyraźniej czekał na dalsze rozkazy. Starłem się naśladować sposób mówienia Parsonsa, licząc, że tuba dodatkowo zniekształci mój głos. Wydałem

wszelkie niezbędne dyspozycje. Oznajmiłem, że zdołaliśmy uruchomić proces, który doprowadzi do unieszkodliwienia maszyny, ale nadmiar zgromadzonej w niej energii elektromagnetycznej osiągnie stan krytyczny tuż przed jej wyłączeniem. Kazałem im więc oddalić się dla zachowania ostrożności, gdyż inaczej mogą pójść na dno.

Moje słowa zrobiły na nich duże wrażenie. Myślę, że zastosowałyby się do moich poleceń nawet wtedy, gdyby powiew wiatru zerwał mi akurat brodę. Hagi poszły w górę, dał się słyszeć gwizdek i po krótkiej nerwowej krzataninie łodzie ruszyły, by zająć pozycje ćwierć mili dalej, tak jak im kazałem. Mieli tam czekać na dalsze dyspozycje. My sami nie zwalnialiśmy tempa - płynęliśmy pełną parą z powrotem do Sterne Bay, co musiało z pewnością wprowadzić ich w niemałe zdumienie. Byliśmy już daleko, ale nie na tyle, by nie móc dojrzeć pióropusza wody na horyzoncie. W chwilę później dobiegł nas stłumiony odgłos wybuchu.

Tak więc z maszyny lorda Kelvina pozostały już tylko porozrzucane po dnie szczątki, nadające się tylko na siedziby dla mieszkańców morskich głębin. Jeśli chodzi o doktora Narbondo, będzie śnił dalej swój lodowy sen, aż w końcu to, co trzymało go przy życiu, straci swą moc. Parsons, biedak, nie stanie na czele armady, którą wprowadzi do wymarzonego portu naukowej sławy. Jego plany legły w gruzach, nie zostało z nich nic. Nawet jego triumf nad St. Ivesem okazał się krótkotrwały. Triumf, za który wzniósł toast szklanką nie całkiem źródlanej wody. St. Ives miał nawet wyrzuty sumienia w związku z tą ostatnią historią. Ale sprawa Narbonda gnębiła go jeszcze bardziej; obawiał się, że doktor będzie spał całe wieki i nigdy nie zostanie publicznie osądzony i stracony. Ja jednak byłem zupełnie zadowolony. Po pierwsze, nie przepadałem za Parsonsem i nawet czułem złośliwą satysfakcję, gdy paradowałem w jego przebraniu - z brodą i w peruce. Chciałbym, żeby się kiedyś o tym dowiedział - dopiero by się wściekł! Ale raczej nie mogłem na to liczyć. Jeżeli nawet pozna część tej historii, nigdy nie dowie się, że to byłem ja.

Z poczuciem spełnionego obowiązku wróciliśmy do Sterne Bay. Wkrótce rozstaliśmy się z ciotką Edie i wujem Botley. W „Koronie” znaleźliśmy wsuniętą pod drzwi St. Ivesa notatkę. Była to ta sama kartka papieru, którą St. Ives pozostawił na kolanach Parsonsa. Staruszek dopisał jednak kilka słów od siebie: „Odjeżdżam popołudniowym pociągiem do Londynu. Będzie mi miło, jeśli przybędzie pan, by się ze mną pożegnać.” Tylko tyle. Nawet odrobiny żalu czy złości, chociaż można się było tego spodziewać po tym, co St. Ives mu wcześniej wyjawiał. Te kilka słów wyrażało jedynie smutek człowieka spragnionego towarzystwa.

Pośpieszyliśmy więc na stację, by go pożegnać. Tyle w końcu mogliśmy dla niego zrobić. Jego zrezygnowanie uczyniło całą sprawę tym



smutniejszą; kusiło mnie przez moment, by założyć brodę i perukę, ale pozostawiłem je w „Koronie”.

Pociąg posapywał na torach. Wszyscy pasażerowie już wsiedli, pobiegliliśmy więc wzdłuż peronu. St. Ives był przekonany, że istniał jakiś ważny powód, dla którego Parsons chciał się z nim zobaczyć. Naszym obowiązkiem było - po tym, jak obróciliśmy wniwecz marzenia sekretarza - dowiedzieć się, jakie ostatnie oświadczenie pragnął złożyć na znak kapitulacji. Dajmy mu szansę wyżalenia się - pomyślałem, patrząc na to z dystansu. Jeszcze wczoraj dosiadał rumaka swej dumy, a teraz, jak to mówią... bywają wzloty i upadki. Niech staruszek zrzuci ten ciężar z serca, nie będę miał mu tego za złe.

Ale gdzie on u licha jest? Wagony ruszyły z miejsca, a my truchtaliśmy obok nich aż na koniec peronu. Dopiero gdy mijał nas przedostatni wagon, otworzyło się okno i ukazało się w nim roześmiane oblicze sekretarza. Wyglądał jak diabeł.

- I ha ha! I ha ha! - rżał jak koń. Najwyraźniej postradał zmysły, biedaczek.

W tym momencie wystawił przez okno rękę i pomachał nam oprawionym notatnikiem, który wyglądał na bardzo stary i zniszczony. Na okładce można było dostrzec wyblakły napis, ułożony z wyszukanych liter: „John Kenyon”. Było to oczywiście nazwisko zapomnianego ojca pani Pule. Chciałem jednak okazać zainteresowanie tym, co sprawiało staremu taką radość.

- Co to jest? - zawołałem, ponieważ nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Pociąg już przyśpieszał i zaczął oddalać się w kierunku Londynu.

Parsons wychylił się jeszcze bardziej; pokazał nam obraźliwy gest, co najwyraźniej sprawiło mu wielką satysfakcję, i wychrypiał:

- A jak myślisz, idioto, co to do diabła może być? W końcu przeklęty stary głupiec cofnął rękę i zatrzasnął okno. Nie słyszeliśmy już więcej jego zawodzącego śmiechu.

Pociąg unosił więc Parsonsa do Londynu, a wraz z nim żywego-nieżywego Ignacia Narbondo. Gdyby tylko na wpół zamrożony doktor był świadom swego zwycięstwa i nowej nadziei na zmartwychwstanie!

## Część trzecia

### Podróżnik w czasie

Morze Północne powietrze syczało w gumowych węzłach, przywodząc na myśl sapanie jakiejś żywej istoty. W ciasnym wnętrzu batyskafu unosił się zapach metalu i oleju do maszyn, zmieszany z akwariową wonią morskiej wody, sączącej się powoli przez nitowane złącza i gumowe uszczelki. St. Ives spoglądał przez iluminator - nic, tylko morska głębia, cicha, zimna i mroczna - i usiłował odpędzić przykre wrażenie, że został zamknięty w metalowym grobowcu.

Jedno z przegubowych ramion batyskafu zadzwoniło o mosiężny kadłub z głuchym dźwiękiem, jakby pochodzącym z innego świata. St. Ives poczuł go nawet w zębach. Otarł zimny pot z czoła i skoncentrował się na stojącym przed nim zadaniu. Zamierzał wydobyć maszynę lorda Kelvina, spoczywającą na pokrytej szczątkami wraków piaszczystej ławicy, na głębokości czterdziestu stóp. Wokół leżały kadłuby trzech statków - jeden z nich zniszczony przez ładunek dynamitu, który St. Ives upuścił w jego wnętrze pół roku temu.

Pociągnął za dźwignię w podłodze. Czuł teraz i słyszał metaliczny chrobot wysuwającej się z podbrzusza batyskafu pary nóg. Mozolnie, cal po calu, kulista machina kroczyła po dnie morza, wzbijając tumany drobnego piasku, który przesłonił iluminatory, tak że przez minutę St. Ives nie był w stanie nic dojrzeć. Zamknął oczy, zacisnął dłonie na skroniach i znów dotarł do niego szum powietrza w przewodach. Poczuł pulsowanie krwi pod czaszką. Ogromne ciśnienie, choć istniało tylko w jego wyobraźni, sprawiało mu ból. Oddychał teraz szybko i płytko, starając się nie poddać panice. Za przejrzystymi już iluminatorami płynęła leniwie ławica makreli; ryby wpatrywały się w niego, jakby był dla nich podręcznikowym przypadkiem, ale czego?...

- Przestańcie! - nie wytrzymał profesor. Jego głos został zwielokrotniony odbiciem od mosiężnych ścian. Wpatrywał się teraz przed siebie, próbując naprowadzić i zarzucić zakończoną pętlą linę na tył maszyny.

- Pan coś mówił, sir? - zapytał przez tubę mocnym głosem Hasbro.
- Nie, nic, tylko trochę tu duszno.
- Może teraz ja spróbuję, sir?
- Nie. Wszystko w porządku. Niedługo skończę.

- To bardzo dobrze - powiedział Hasbro niepewnie. Puszczona przez St. Ivesa lina, ocierając się tylko o miedziany korpus maszyny, zsunęła się z przeciwległej krawędzi i opadła na piaszczyste dno. Klapa. Trzeba zaczynać od nowa. Profesor zamknął oczy i siedział tak przez chwilę, myśląc, że mógłby teraz zasnąć. Przestraszył się tej możliwości. Rozejrzał się wokół, sprawdzając wskaźniki i dźwignie. Potrzebował czegoś, czym mógłby zająć swój umysł, czegoś ze świata zewnętrznego, czegoś miłego i swojskiego.

Ni stąd, ni zowąd pomyślał o jedzeniu - o ziemniaczanej zapiekance i butelce piwa. Z wysiłkiem starał się przypomnieć sobie przepis na zapiekankę, powtarzając go w myślach. Nie chciał mówić tego głośno, bo Hasbro natychmiast wyciągnąłby go na powierzchnię. Teraz próbował sobie ten przysmak wyobrazić: tłuczone ziemniaki ubite z masłem i śmietaną, pokryte stopionym serem. Wlewał wyimaginowane piwo do szklanki; widział nawet, jak rosnąca piana spływa po ściankach naczynia. Mając ten obraz przed sobą, wciągnął linę i manewrując z wielką uwagą, pochwycił pętlę raz jeszcze. Teraz powoli, za pomocą mechanicznego ramienia naprowadził ją z powrotem nad cel i opuścił ostrożnie - tym razem skutecznie. Lina opadając w dół opasała solidny fragment korpusu maszyny.

- Zapiekanka - wymamrotał St. Ives.

- Słucham?

- Trzymam ją za... rogi - powiedział cicho, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to jeszcze bardziej idiotycznie, niż to o zapiekance. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Był już tak blisko celu. Uczucie desperacji i klaustrofobii zaczęło go powoli opuszczać. Ponownie pochwycił linę, ciągnąc ją bardzo ostrożnie, cał po cału, by zacisnąć pętlę. Jeśli się postara, to już za pięć minut może być na powierzchni. Pięć minut.

- W górę! - zawołał tonem kapitana i po kilku sekundach poczuł szarpnięcie. Batyskaf przechylił się lekko i w końcu oderwał się od dna. Wznosił się ku powierzchni lekkimi zrywami, a makrele podążały za nim, uderzając pyszczkami w szkło iluminatorów. St. Ives uświadomił sobie nagle, jak przyjaźnie usposobione są te ryby. Pobłogosławał Boże te stworzenia za to, że dotrzymują człowiekowi towarzystwa. Zrobiło się jaśniej i nie miał już uczucia, że został pogrzebany żywcem. Oddychał ciężko, obserwując wirujące wokół bańki powietrza i oddalającą się ławicę. Nagle ujrzał rozhuśtane fale i w końcu morska toń ustąpiła miejsca strzępom mgły, podświetlonym porannym słońcem. Słyszał stłumiony plusk spływającej z kadłuba batyskafu wody. Ostatnim akordem było uderzenie metalowych nóg o pokład.

Profesor otworzył właz, wydostał się na zewnątrz i natychmiast wraz z Hasbro przepchnęli batyskaf nieco dalej, by zrobić miejsce dla aparatu lorda Kelvina. Odpięli go od dźwigu, przytwierdzili mocno do pokładu i przykryli dla kamuflażu naoliwionym brezentem. Pracowali w pośpiechu, bo wspinające

się po niebie słońce w każdej chwili mogło rozpędzić mgłę i ich poczynania byłyby wtedy z daleka widoczne. Szybko przyczepili do dźwigu linę opasującą maszynę lorda Kelvina i wciągnawszy ładunek na pokład, również ukryli go pod brezentem.

Po kolejnych dwudziestu minutach parowy trawler, za którego sterem stał człowiek znany profesorowi jako wuj Botley, skierował się na północ. St. Ives przez jakiś czas jeszcze pozostał na pokładzie, wpatrując się w mgłę. Jeszcze trochę i znajdą się na tyle daleko od tego miejsca, że będą mogli udawać niewinnych rybaków wracających z połowu.

Od sześciu miesięcy nikt z Akademii Królewskiej nie kręcił się w tej okolicy, powinni być więc bezpieczni. Sprawa feralnego urządzenia została już oficjalnie zamknięta. Jednak profesora prześladowała myśl, że jego poczynania zostaną w końcu odkryte, że coś przeoczył, że jego plan uratowania Alicji nie powiedzie się, jeśli nie będzie czujny w dzień i w nocy. Kolejne zagrożenia odsłaniały się przed nim jak karty w talii. Profesor trzymał wachtę jeszcze przez godzinę; w tym czasie wiatr rozpędził już mgłę i jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnych statków.

St. Ives, wyczerpany, zszedł pod pokład i legł na koi. Trawler zmierzał w kierunku Grimsby, by przez Humber dotrzeć do Goole. O ile nic złego się nie wydarzy, za trzy dni będzie już w domu, w Harrogate. Tam dopiero zacznie się prawdziwa praca. Od utrzymania sprawy w ścisłej tajemnicy zależało teraz jego życie. Dosłownie. I życie Alicji. Z Goole przewiozą aparat ładem, pozorując transport maszyny rolniczej, ale i tak pozostawią ładunek pod przykryciem. Nikomu nie można ufać - nawet najbardziej niewinnie wyglądający wiejski głupek może okazać się szpiegiem Akademii.

Gdy dotrą w okolice Harrogate, zaczekają, aż zapadnie noc i wyślą Krakena przodem na zwiady. Zagrożenie będzie tym większe, im będą bliżej jego majątku. Gdyby ludzie Akademii chcieli dobrać się do skóry St. Ivesowi, to mogliby właśnie tam ukryć się i czekać, by upomnieć się o maszynę. Jak bardzo byliby zdesperowani? A co istotniejsze, do czego zdolny byłby posunąć się on sam, by ich powstrzymać?

Profesor zdawał sobie sprawę, że Parsons nie będzie przebierać w środkach, żeby odzyskać maszynę. O ile, oczywiście, wie, że jest ona do odzyskania. Chyba już pięćdziesiąty raz St. Ives próbował skalkulować ryzyko, ale, jak zwykle, pozostał pełen obaw i wątpliwości. Parsons, choć trząśnięty już ze starości, był niezłym kombinatorem. Już raz wyprowadził go w pole w Sterne Bay i jedynym atutem, jakim dysponował jeszcze St. Ives, była właśnie maszyna. Sekretarz Akademii nie spodziewał się, że St. Ives ją zniszczy, a już z pewnością nie domyślał się, że upozorował jej zniszczenie. Może należałoby raz jeszcze powtórzyć ten oszukańczy manewr, aby sprawę zupełnie zagmatwać? Ale trudno przez resztę życia udawać, że się niszczy i znów

odzyskuje aparat. Można by też spróbować zatopić trawler po przeniesieniu maszyny na inny statek, zachowując pozory, że poszła na dno. Parsons co prawda nie miał pojęcia, że maszyna jest w ogóle w ich posiadaniu, więc należałoby znaleźć jakiś sposób, żeby się o tym dowiedział. Wtedy wystarczyłoby udawać, że zatapiają statek, nie ruszając może nawet maszyny z miejsca...

St. Ives rzucał się w koi, zaplątany w swych absurdalnych myślach. Wreszcie morze ukołysało go do snu, przynosząc wytchnienie skołatanego głowie. Woda z pluskiem uderzała o kadłub, a cały statek trzeszczał, gdy na przemian wznosił się i opadał na falach. Ten hałas wkraść się w sen St. Ivesa jako odgłosy powozu pędzącego wzdłuż ciemnej i błotnistej ulicy.

Znów był zupełnie sam w deszczową noc - w Seven Dials, trzy lata temu. Z początku myślał, że są z nim przyjaciele, ale okazało się, że otacza go tylko ciemność i szum ulewy. Nie, jednak coś tam było. Wpatrywał się w mrok, w okno sklepu. Dostrzegł w nim własne odbicie, przerażone i bezradne, na tle zacinającego deszczu. Nagle wodna kurtyna rozsunała się, jakby w poprzek teatralnej sceny, i na zakurzonej szybie uformował się kolejny obraz: przewrócony na bok kabriolet; jedno z kół obracające się wciąż i wciąż, zasłaniające zwróconą w górę twarz martwej kobiety...

Profesor zerwał się z koi, usiłując złapać oddech. „Zapiekania” - powiedział głośno. Niech go nawet usłyszą, palicho. Co oni mogą wiedzieć? Zdążył się już przekonać, że może liczyć tylko na siebie. To nie była niczyja wina; takie jest życie. Położył się znowu, czując jak statek unosi się na fali. Rozmyślał intensywnie o zapiekance, przypominał sobie zapach tymianku, rozmarynu i szaławii, unoszący się z bulgocącego na wolnym ogniu rosółu. Oczami wyobraźni widział zioła w ogrodzie założonym przez Alicję, który zdążył już zarosnąć chwastami. Zanim ją poznał, nie dbał o to, co je, ale ona zmieniła jego nawyki w tym względzie. Jeszcze przez jakiś miesiąc, aby uczcić pamięć Alicji, doglądał ogrodu, ale pielęgnowanie go okazało się w pewnym sensie trudniejsze, niż ucieczka w niepamięć. Teraz wzięła go we władanie cała kolonia kretów.

Znów odpłynął w sen. W tym śnie przez okno w salonie podglądał krety. Jeden z nich przypominał starego Parsonsa, miał nawet okulary. Udawał, że zajęty jest swymi krecimi sprawami, ale ukradkiem obserwował St. Ivesa znad szkieł. Dalej, za polem, płynęła okolona wierzbami rzeka Nidd. Zza jednego z drzew wyłonił się sam lord Kelvin i trzęsąc brodą kroczył w kierunku dworu; jak to we snach bywa, nie można go było w żaden sposób powstrzymać. Wyglądał dość nieszczęśliwie; na pewno nie szedł tu po to, by pogadać sobie na temat teorii elastyczności lub budowy materii. Miał przy sobie kij, którym uderzał rytmicznie w otwartą dłoń.

St. Ives, gotów na wszystko, wyszedł do ogrodu na jego spotkanie, omal

nie rozdeptując po drodze przypominającego Parsonsa kreta. Zielsko szeleściło pod stopami. Dzień był przerażająco mroczny, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Lord Kelvin co prawda był niedużym staruszkim, ale jego wściekle spojrzenie zdawało się mówić ze szkockim akcentem: - Zniszczyłeś moją maszynę, teraz ja zniszczę ciebie. Ale powiedział co innego:

- Pracowałem nad tym aparatem ponad dwadzieścia lat, synu. A teraz jestem już zbyt stary, by zaczynać od początku. - Jego twarz przybrała wyraz bezradnego smutku. St. Ives pokiwał tylko głową. Cóż, może pewnego dnia potrafi to jakoś wynagrodzić. Ale teraz nie mógł mu tego obiecać.

- Bardzo mi przykro... - zaczął.

- Nie możesz sobie, człowieku, wyobrazić, jaki to był dla mnie cios - przerwał lord Kelvin gestykulując kijem, który zamienił się w kawałek plecionego miedzianego przewodu.

St. Ives przypomniał sobie ten dzień, kiedy przyszedł do szopy lorda Kelvina z zamiarem zniszczenia maszyny. Odebrał przewód z rąk starca, ale rozpadł mu się w dłoniach i tylko pojedyncze włókna opadły na jego buty.

- Przy użyciu tej maszyny moglibyśmy dotrzeć dosłownie wszędzie - powiedział lord Kelvin smutno. - My obaj. Nie wyłączając podróży w czasie...

Wyglądało na to, że mówi szczerze; był przekonany, że jego aparat został rozniesiony w strzępy, nie widział więc już potrzeby, by cokolwiek ukrywać. St. Ives pozwolił mu mówić dalej; obydwu sprawiało to ulgę. Profesor czuł się zarazem szczęśliwy i rozżalony: gdyby tak oni dwaj, jeden obok drugiego, podróżowali razem aż do epoki wielkich gadów, lub też naprzód - do czasów, kiedy ludzkość pożegluje pośród gwiazd. St. Ives zbyt długo pracował w ukryciu; ignorowany przez Akademię udawał, że nią pogardza, ale przez cały ten czas pukał do jej wrót, błagając, żeby go wpuścili. Czyż nie taka była właśnie smutna prawda? Oto najwybitniejszy członek Akademii, lord Kelvin we własnej osobie, rozmawia z nim jak ze starym, zaufanym kolegą po fachu.

Lord Kelvin pokiwał głową, a ta zamieniła się w przypominający kwadrant elektrometr. W rękach trzymał busolę własnego pomysłu. Igła wskazywała na wschód, jakby coś sugerując.

- Wiedziałem, co to jest... czemu to mogło służyć - powiedział St. Ives ze skruchą - ale chciałem mieć tę maszynę wyłącznie dla siebie, by użyć ją dla swoich, a nie pańskich celów.

Porzuciłem badania naukowe dla osobistej korzyści. - Nie mógł powstrzymać się od szczerych wyznań.

- Nigdy w ten sposób nie uda ci się dojść do godności szlacheckiej, chłopcze.

St. Ives zauważył, że kret z fizjonomią Parsonsa wpatruje się w niego

swymi małymi skośnymi oczkami. Zwierzątko pośpiesznie odwróciło się i pognąło przez łąkę, unosząc ze sobą walizkę. Lord Kelvin spojrział na swój zegarek, który dyndał na kawałku transatlantyckiego kabla.

- Jeśli się pośpieszy, to może jeszcze złapać londyński pociąg o drugiej trzydzieści. Tak, powinien zdążyć. - Pokazał zegarek St. Ivesowi. Szkło zegarka było przeogromne, wielkie jak samo niebo; wypełniało horyzont zniekształcając krajobraz jak kuliste akwarium. St. Ives musiał zmrużyć oczy, by cokolwiek dostrzec. Wskazówki zegarka skokami pokonywały swój okrężny tor, tykając głośno. Pod nimi, na cyferblacie, jakaś postać skradała się w ciemnościach deszczowej nocy. To był on sam, brodzący w sięgającej do kostek wodzie. Był to przerażająco powolny marsz. Woda, niczym ruchome piaski, kępowała jego stopy. W głowie St. Ivesa kłębiły się nieprzerwanie rozliczne pytania - dlaczego te statki musiały zatonać, dlaczego on spóźnił się na pociąg, dlaczego zapadł się w nicość tam na Trakcie Północnym, dlaczego nie może wyrwać się z uchwytu tej przeklętej rzeki... Otarł oczy zalane deszczem i oto ujrzał przed sobą przykucniętego Ignacia Narbondo z dymiącym pistoletem w dłoni. Jego twarz wyrażała obłąkańczy triumf.

St. Ivesowi raz jeszcze udało się wyrwać z koszmaru. Powietrze w kabinie było zimne i wilgotne. Przez chwilę wydawało mu się, że znów jest wewnątrz batyskafu na dnie morza, ale zaraz usłyszał krzyk wuja Botleya, a później jego śmiech, który wydał się profesorowi cudownym dowodem istnienia realnego świata - czymś, czego mógł się uchwycić, tak jak swojej zapiekanki.

St. Ives badawczo przyjrzał się swojemu odbiciu w wiszącym na ścianie lustrze. Był wychudzony i blady. Narastał w nim nieuzasadniony, przejmujący strach; nagle uzmysłowił sobie, jak bardzo się zestarzał. To mogłaby być twarz jego ojca. - Czas i sposobność dane są każdemu - wymamrotał i wyszedł na pokład. Zbliżała się noc i światła Grimsby migotały wzdłuż lewej burty, a estuarium Humber jak zawsze oddawało swe wody Morzu Północnemu.

Pies Bingera Ot. Ives siedział na fotelu w swoim gabinecie. Był to wyjątkowo ponury, wietrzny dzień. Jednostajnie szare niebo płakało deszczem. Profesor od prawie sześciu miesięcy pracował nad aparatem i wreszcie sukces zarysował się na horyzoncie, jak powoli zbliżający się statek. Spał niewiele, jadał mało i w pośpiechu. Przyjaciele krążyli zatroskani wokół niego, a on parł nieugięcie naprzód, jak w kieracie, pod ich czujnym wzrokiem. Jednak teraz Jack wraz z żoną przebywał na kontynencie, a Bili Kraken pojechał na pomoc odwiedzić chorą matkę. Było całkiem prawdopodobne, że żadnego z nich już nigdy więcej nie zobaczy, ale nie trapił się tym zbyt - zdążył się już pogodzić z tą myślą.

Mucha krążyła leniwie nad zagraconym biurkiem. St. Ives łupnął ją książką i stracił na podłogę, gdzie teraz owad zataczał się jak pijany. Z

nieczystym sumieniem St. Ives zgarnął muchę na kartkę papieru, przeszedł przez pokój i otworzywszy przeszkłone drzwi, wyrzucił ją w pobliskie krzewy. - Leć! - zachęcał biedaczkę, która pobzykiwała zagubiona w gęstwinie.

St. Ives, stojąc w oknie, wdychał wilgotne powietrze i wpatrywał się poprzez łąkę w ceglany silos, który tkwił tam samotnie, jak skarbiec jego naukowych aspiracji. Wyglądał jak żałosna replika wieży Babel. W środku znalazło się miejsce zarówno dla maszyny lorda Kelvina, jak i batyskafu Higginsa. St. Ives usunął większość elementów korpusu maszyny i pewnej nocy wywiózł gdzieś świadczące o jej burzliwych losach zniszczone części. To, co zostało, było już prawie gotowe. Musiał jeszcze wyłudzić od łaskawego lorda Kewina pewne istotne detale, a staruszek już następnego ranka zamierzał opuścić Harrogate, by udać się do Glasgow.

St. Ives nie spał od dwóch dni. Ostatnio prawie nie sypiał przez swoje koszmary. Ale na sen przyjdzie jeszcze czas. A może jednak nie przyjdzie? Odruchowo zostawił drzwi otwarte, aby udowodnić innym muchom, że nie żywi do nich urazy, i z powrotem ciężko osunął się na fotel. Kosmyk włosów opadł mu na oczy. Odrzucił go do tyłu i zajął się obgryzaniem paznokcia, ale przesadził nieco i wraz z nim oderwał kawałek skóry. Jęknął z bólu, potrząsając dłonią, ale już po chwili zapomniał o całej sprawie. Siedział tak jeszcze dłuższą chwilę, nie myśląc o niczym.

W końcu wziął się w garść i przyjrzał swojemu miejscu pracy. Panował tam niesamowity rozgardiasz. Zwoje przewodów, miniaturowe wskaźniki, powyrywane z książek kartki - niektóre z nich służyły do zaznaczania miejsc w innych książkach. Było tam też całe mnóstwo maleńkich nakręcanych zabawek, które William Keeble wykonał z cynowej blachy. Połowa z nich zardzewiała i nie nadawała się już do niczego - padły ofiarą eksperymentu, który St. Ives przeprowadził trzy tygodnie wcześniej. Patrzył teraz na nie niepewnie, próbując sobie przypomnieć, co chciał udowodnić spryskując je solanką i umieszczając potem na dachu.

Obudził się wtedy w środku nocy z uczuciem, że ma coś niesłychanie ważnego do zrobienia. Przez godzinę ślęczał nad zabawkami; zanim, wyczerpany, wrócił do łóżka, wyniósł je na dach i tam zostawił. Rano już o nich nie pamiętał. Dopiero kilka dni później spostrzegł je z daleka, stojąc na łące. Choć przypomniał sobie, jak je tam kładł, a nawet swoje absolutne przekonanie, iż robi rzecz wielce słuszną i pożyteczną, to za żadne skarby nie mógł uzmysłwić sobie, co chciał przez to osiągnąć. Takie przypadłości miewał dość często - po okresach wręcz nadprzyrodzonego olśnienia następowały krótkie napady szału; bywało też, że przeżywał chwile dzikiego entuzjazmu z powodu, jak mu się zdawało, ważnego odkrycia, które za chwilę okazywało się totalną bzdurą.

Zamyślony, szturchnął nakręcaną kaczkę, która na sekundę powróciła



do życia, by zaraz przewrócić się na bok. Były tu też rozmaite porcelanowe figurki, przycupnięte pomiędzy zabawnymi kubkami w kształcie otyłych klaunów i szklanymi bibelotami, z których część należała niegdyś do Alicji. Wszędzie poniewierały się kulki zgniecionego papieru, połamane ołówki, okruchy grafitu i gumki do wycierania. Jezioro rozlanego kiedyś atramentu dawno zdążyło już wyschnąć pod tym całym bałaganem, farbując dębowy blat na intensywny fiolet.

Wiedziony nagłą potrzebą działania, jednym ruchem ręki oczyścił połowę biurka, zgarniając książki, papiery i cynowe zabawki na podłogę. Ostrożnie zabrał się do ustawiania szklanych i porcelanowych bibelotów. Małego pieska z błękitną mordką umieścił tuż obok Humpty Dumpty'ego, za nimi tańczącą na paluszkach baletnicę, a wreszcie dodał z przodu maleńki szklany bucik wypełniony kryształkami cukru. Następnie usiadł z powrotem i z wielką uwagą przyglądał się całej kolekcji. Coś w niej było nie tak, ale co? Jakby brakowało rytmu, proporcji. Pchnął czubek szklanego buta odrobinę w prawo. Teraz wyglądało to prawie, prawie... Obrócił Humpty Dumpty'ego tak, że patrzył teraz na tancerczkę, a pieska przesunął, układając jego łeppek na bucie.

To było to. W jednej chwili ten prosty układ nabrał sensu. Było coś w tej małej ekspozycji, co nasunęło mu pewne skojarzenia. Jakie? Domowe zaciszę. Porządek. Uśmiechał się i z nostalgią kiwał głową, tęskniąc za czymś, co zdążyło już zatrzeć się w jego pamięci. Jednak ten błogostan szybko minął. Nie można tęsknić do czegoś, co nie istnieje; taka tęsknota jest tylko mgielką, bezpodmiotową abstrakcją. Rozwiewa się jak dym. Może kiedyś znów powróci, gdy przestanie jej tak mocno pragnąć.

Rozgoryczony, podszedł znów do drzwi, przyglądając włosy. W miejscu, gdzie wyrzucił muchę, dojrzał teraz złamaną gałąź, jakby ktoś nieostrożnie na nią nadepnął. Dziwne. Pół godziny temu nie było tu żadnych połamanych gałęzi.

Poczuł niepokój. Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się. - Zaczyna się! - rzekł do siebie. Ale nikogo w pobliżu nie było. Pobiegł wzdłuż ściany i w pełnym pędzie skręcił za róg, by dorwać intruza, jeśli jeszcze się tu kręci. Chwilę gorączkowo rozglądał się wokół, a potem pognął ku powozowni. Okrążywszy ją stwierdził, że drzwi są nienaruszone, darował więc sobie zaglądnienie do środka i pomaszerował przez łąkę w kierunku silosa. Pomyślał, że powinien był wezwać Hasbro, a już na pewno zabrać ze sobą broń.

Drzwi silosa zaopatrzone były w podwójny zamek. Widać je było nie tylko z gabinetu, ale i z sypialni na górze. Także okna kwatery Hasbro wychodziły na łąkę i nawet pani Langley mogła zobaczyć silos ze swojej kuchni. St Ives był zbyt czujny, by ktokolwiek zdołał... Nie, nie zdołał. Drzwi były zamknięte, nikt nie majstrował przy zamkach. Z uwagą badał grunt wokół

silosa, znajdując pojedyncze ślady to tu, to tam. Dopiero kiedy chciał porównać z nimi swoją stopę, zauważył, że wybiegł z domu w samych skarpetkach. Ale i tak żaden z tych śladów nie był mniejszy od jego nieobutej stopy, nie mogły więc należeć do Hasbro. Może to Bili Kraken? Kraken był jednak w Edynburgu, a te ślady wyglądały na dość świeże. Parsons! To na pewno Parsons węszyć tu znowu. Któż inny mógłby to być? Nikt, tylko on.

Truchtem powrócił pod drzwi gabinetu, raz po raz uderzając pięścią w otwartą dłoń - nerwowe napięcie brało górę. W jego głowie panował zupełny mętlik. Musi sobie to wszystko spokojnie uporządkować... Ziemia pod domem była miękka, zroszona wodą ściekającą z dachu. Wzdłuż ściany widniał szereg śladów, jakby ktoś skradał się wzdłuż niej i nie chcąc zostać zauważony, przeciskał się ku drzwiom przez zarośla, łamiąc przy tym gałęzie. St. Ives w swoim zdenerwowaniu nie zauważył wcześniej tych śladów; dopiero teraz pochylił się, by im się lepiej przyjrzeć. Palce były głęboko odcisnięte, co mogło wskazywać, że intruz skradał się nisko pochylony. Te ślady również były niewielkie, nie mógł sam ich zostawić.

Czym prędzej wrócił do gabinetu. Otworzył szufladę biurka i wyrzuciwszy z niej rozmaite papiery i książki, dotarł do paczki owiniętej w kawałek materiału. Zerwał płótno, odsłaniając cztery odlewy odcisków buta. Odwrócił je, by sprawdzić wypisane na spodach daty i miejsca. Pierwsze dwa zostały wykonane sześć miesięcy wcześniej w Sterne Bay, a druga para - zaledwie tydzień temu nad brzegiem rzeki. Odciski te pochodziły od dwóch różnych par butów tego samego rozmiaru.

Jedną parę odlewów włożył z powrotem do szuflady, a drugą zabrał do ogrodu i przyłożył do śladów. Pasowały idealnie. Klęcząc zbadał jedno z wgłębień po obcasie. Obcas musiał być starty, ponieważ brakowało fragmentów na krawędziach, przez co odcisk miał kształt zbliżony do rodowego herbu, z którego odpadła ćwiartka tarczy. Natychmiast stanął przed oczami profesora obraz Parsonsa, poruszającego się w charakterystyczny dla niego sposób - na ugiętych nogach; musiał zdzierać przy tym krawędzie obcasów. Odciski na odlewach wskazywały na identyczne zużycie obuwia; co do tego nie mogło być chyba żadnych wątpliwości. To Parsons przyszedł tu na zwiady. St. Ives nie mógł mieć jednak całkowitej pewności, że człowiekiem, którego widział przyczajonego nad rzeką, był właśnie on. Działo się to dość późnym wieczorem, na dodatek siąpił deszcz. Był to jednak na pewno ten sam człowiek, który nie dalej jak pół godziny temu skradał się wzdłuż ściany i zaglądał przez szklane drzwi, łamiąc przy tym gałęzie.

Profesor wszedł do pokoju, owinał odlewy w płótno i schował je z powrotem do szuflady. Włożył płaszcz i pomaszerował przez łąkę raz jeszcze, jak człowiek świadom celu. Dopiero w połowie drogi do rzeki zauważył, że wciąż nie ma na nogach butów.

Wrócił do domu późnym popołudniem. Był w znacznie lepszym nastroju po trzech godzinach spędzonych u lorda Kelvina. Wielki naukowiec potrafił zrozumieć tragedię, na skutek której St. Ives postępował jak człowiek niespełna rozumu. Raz nawet pogłaskał go po głowie, co było może nieco upokarzające, ale St. Ives był nawet wdzięczny za ten gest. Mogło to świadczyć o tym, w jak wielką popadł depresję. Ale teraz sprawy miały się lepiej. Okazało się, że jeszcze nie wszystko stracone, chociaż zdawał sobie sprawę, że trwa wyścig pomiędzy nim a Parsonsem i Akademią. Gdyby tamci byli pewni swego, po prostu wyłamałoby drzwi do silosa w asyście tuzina żołnierzy. Szach i mat. Tak skończyłaby się ta gra.

Ta myśl znowu popsowała mu humor. Wielka radość, spowodowana tym, że udało mu się wyciągnąć z lorda Kelvina kilka bardzo istotnych informacji, nagle się ulotniła; załamany i bardzo zmęczony opadł na fotel. Popadał z jednej skrajności w drugą - z poczucia klęski w nadmierną pewność siebie i odwrotnie. Nic pośrodku. A właśnie równowagi najbardziej potrzebował; cóż z tego, kiedy co chwila chwiał się i zataczał.

Już jutro, najpóźniej pojutrze, zabierze się do roboty. Teraz musi wypocząć. Nawet lord Kelvin litował się dzisiaj nad nim. Trudno się dziwić - jedno spojrzenie w twarz St. Ivesa i na jego wymięte ubranie wystarczyło, by Kelvin gotów był traktować go pobłaźliwie, jak wiejskiego głupka. Ten człowiek niewątpliwie miał serce jak stodoła. St. Ives prawdopodobnie zawdzięczał swój sukces temu, że udał się w odwiedziny bez butów. Lord Kelvin w końcu zapalił się do kwestii podróży w czasie. St. Ives naprowadził go na temat samej maszyny i jej zastosowania z taką łatwością, jak tresowaną małpę.

To było sprytnie posunięcie - pomyślał - ten spacer boso. Już prawie w to uwierzył, ale po chwili zrozumiał, że wcale sam na to nie wpadł. Wyszedł z domu bez butów wyłącznie z powodu roztargnienia, a trzeba pamiętać, że była to późna jesień. Musi uważać, by podobne wypadki więcej mu się nie przytrafiały. Mogą go w końcu zamknąć w domu dla obłąkanych, jeśli nie będzie uważał. Sukces był już tak blisko, nie mógł dać się teraz zapakować w kaftan bezpieczeństwa. Odzyskawszy zdolność prawidłowego postrzegania rzeczywistości, przyjrzał się sobie w stojącym na biurku lustrze. Chyba powinien też przyszczyć włosy. Jeżeli człowiek wystarczająco dużo uwagi poświęca temu, by wyglądać na normalnego...

Znów w nie najgorszym nastroju, wsunął stopy w kaptcie i zapalił fajkę. Usiadł i zaciągnął się aromatycznym dymem. To niepowodzenie doprowadziło go do takiego stanu. Cała seria niepowodzeń może pomieszać człowiekowi rozum. Myśląc o swych rozlicznych klęskach nagle, bez widocznego powodu stał się półprzytomny z przerażenia, niemal wpadł w panikę. Zauważył, że nie jest w stanie powstrzymać drżenia rąk.

Natychmiast przystąpił do recytowania przepisu na zapiekanke, ale okazało się, że nie może go sobie przypomnieć. Z kieszeni koszuli wyjął skrawek papieru i przeczytał uważnie sporządzoną na nim notatkę. Aha - szałwia i słodka bazylia. Słodka bazylia, a nie słodka lukrecja. Czuł, jak serce trzepocze mu w piersi, niczym ptak. Zrobiło mu się słabo. Kilka razy głęboko odetchnął i szum w głowie zaczął powoli ustępować. Lukrecja? Dlaczego pomyślał o lukrecji? Czyż to nie jakiś rodzaj byliny? To chyba coś, co jedzą Hiszpanie, a może raczej króliki...

Zauważył, nieprzyjemnie zaskoczony, że ktoś uprzątnął jego biurko. Również cały śmietnik z podłogi został starannie ułożony pod ścianą; papiery posegregowane, książki poskładane w stosy. Nawet szklane i porcelanowe figurki ktoś oczyścił z kurzu i ustawił jedną obok drugiej. St Ives był naprawdę zdumiony. Poczł też narastającą wściekłość - ten porządek wydał mu się wielką zniewagą.

Zaczął rozrzucać poukładane na podłodze rzeczy, aż nic nie pozostało na swoim miejscu. Potężnymi kopniakami posyłał przedmioty w powietrze, wprawiając się przy tym w coraz większe szaleństwo. Wreszcie przyszedł czas na samo biurko. Metodycznie podnosił kolejne książki i wytrząsał z nich luźne kartki, które opadały bezładnie na podłogę. Wziął do ręki ciężki żelazny przycisk w kształcie słonia i miażdżył nim jedno po drugim gęsie pióra, zahaczając przy tym niechcący o krawędź kryształowego kałamarza, tak że nawet jego koszulę pokryły atramentowe plamy. Tak był zaskoczony rozbiciem naczynia, że aż przygryzł cybuch fajki; czując i słysząc, jak drewniana końcówka pęka mu w zębach, natychmiast rozwarł szczęki. Fajka rozpadła się na dwie części. Cybuch pozostał w ustach profesora, a lulka spadła na blat biurka i zataczała się teraz jak pijak pośród szklanych okruchów i granatowych plam. St. Ives znów pochwycił żelaznego słonia i z całych sił uderzał w nieszczęsną fajkę. Przestał dopiero wtedy, gdy z zażenowaniem zauważył, iż w progu stoi pani Langley, a oczy niemal wychodzą jej z orbit, tak jest zaskoczona i przerażona.

St. Ives spokojnie odłożył przycisk i odwrócił się w jej kierunku. Nie wiedzieć czemu poczuł, że ta kobieta zawadza mu w jego własnym domu. Ani się spostrzegł, a całą złość przelał na gosposię. Czy on zresztą w ogóle potrzebował gosposi? To oczywiste, że nie. Potrzebował tylko, żeby pozostawiono go w spokoju - jego biurko, książki i wszystkie rzeczy. Wkrótce sam stąd odejdzie, by już nigdy nie wrócić. Ta część jego życia już się dopełniła, ten rozdział dobiegał końca. Cały świat podlegał gwałtownym przeobrażeniom.

Nie pierwszy to raz biedna kobieta przerwała mu napad szaleństwa. Kiedyś rozmawiał z nią na ten temat i ostrzegał, żeby tego więcej nie robiła. Ale nie będzie musiał wracać do tej sprawy.

- Zwalniam panią, pani Langley. Od zaraz - oznajmił profesor chłodno.  
- Otrzyma pani trzymiesięczną odprawę.

Kobieta zasłoniła ręką usta. St. Ives uświadomił sobie, że powieka drży mu nerwowo, każdy mięsień jest maksymalnie napięty, a dłonie otwierają się i zaciskają spazmatycznie. Wskazał ręką za okno, na drogę.

- Musi się pani tak gapić? - nie wytrzymał.

- Boże, postradał zmysły - mamrotała poprzez palce kobieta. St. Ives zacisnął zęby.

- O nie. Jeszcze nie zwariowałem. Rozumie pani? Nie zwariowałem!

Wykrzykując te słowa, niejasno zdawał sobie sprawę, że właśnie potwierdza obawy swej gosposi. Tak, rzeczywiście postradał zmysły, zupełnie oszalał. Nie był w stanie przyznać się do tego nawet przed samym sobą. Zabrnął już zbyt daleko. Wiedział tylko, że nie może pozwolić, by pani Langley grzebała w jego rzeczach i biegła za nim z miotełką do kurzu, jak gdyby potrzebował niańki.

Patrzył, jak kobieta wychodzi z dumnie uniesioną głową. Pani Langley nie była z tych, co łatwo wybaczą. Odejdzie. Pójdzie do swych sióstr. Cóż... Przez chwilę chciał ją jeszcze zawołać, zawrócić, ale znów zaczęły się kłopoty z oddychaniem.

W końcu opadł z powrotem na fotel i postanowił ustawić na nowo te cztery figurki, którym już wcześniej poświęcił tyle uwagi. Jednak ręce trzęsły mu się tak mocno, że potracił szklany bucik i połowa cukru wysypała się na stół. Dwa razy przewrócił też Humpty Dumpty'ego, skupił więc maksymalnie uwagę, wyrównał oddech i dopiero wtedy udało mu się ustawić je jako tako. Gdyby tylko był w stanie odtworzyć ich pierwotną konfigurację, może wróciłaby ta nieokreślona satysfakcja, której doświadczył kilka godzin wcześniej. Pozwoliłoby mu to ochłonać nieco, odzyskać psychiczną równowagę. Ale nic z tego. Tym razem nie mógł tego osiągnąć. Jeszcze raz spróbował się skoncentrować. Tak, w takim ustawieniu bibelotów był jakiś drobny feler. Niby głowa psa znów spoczywała na szklanym bucie, a Humpty Dumpty spoglądał tęsknie na tancerkę, ale scenka nie miała już w sobie poprzedniej harmonii, dawnego stylu. Jakby Ziemia wykonała nieznaczny obrót wokół swej osi i teraz cienie układały się inaczej.

Odnalazł buty i tym razem, gdy wychodził, miał je na nogach. Praca to podstawa. Postanowił, że pozwoli pani Langley trochę się pozłoczyć, a dopiero potem zładodzi wyrok. Musi w końcu nauczyć się, by nie traktować go jak dziecko. Tymczasem on zajmie się czymś, co przyniesie wymierny rezultat. Przy odpowiednim wysiłku i opanowaniu jest w stanie osiągnąć swój cel w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale dokąd ta maszyna go w rezultacie zabierze, pozostawało dla niego zupełną tajemnicą. Najprawdopodobniej zostanie rozerwany na strzępy; albo jeszcze gorzej - maszyna okaże się tylko

kupą złomu. Pewnie będzie siedział w silosie za jej sterami, naśladować odgłosy silnika, jak dziecko „prowadzące” lokomotywę zbudowaną ze starych skrzynek. St. Ives stanął przy oknie próbując zebrać myśli. Nie było czasu na to, by roztrząsać problem pani Langley. Nie było czasu na to, by zastanawiać się nad czymkolwiek. Trzeba działać, trzeba wreszcie posunąć sprawy naprzód.

Jego dłonie przestały wreszcie drżeć. Na początek zmusił się do wyrecytowania nazw metali, biorąc za kryterium kolejności ich narastający ciężar właściwy. Zapiekanka była dobra wtedy, gdy człowiek potrzebował prostego sposobu na pozбиерanie myśli. W tej chwili musiał naprawdę wyostrzyć zmysły. Wymienił więc metale raz jeszcze, tym razem w kolejności ich temperatury topnienia. Wreszcie spróbował powtórzyć obie te listy, tyle że od końca. Cały ten zabieg przypominał autohipnozę. Jednak w połowie recytacji zauważył, że coś z nim jest nie w porządku. Zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się biurka, chcąc przeczekać ten napad słabości. Zdumiony przyjrzał się swojej dłoni. Stawała się coraz bardziej przezroczysta, jak galareta. A więc doświadczał tego raz jeszcze - Trakt Północny, zjawia na drodze. Widział to niezbyt wyraźnie, jakby przebywał pod wodą. Osunął się na podłogę i spróbował podpełznąć do okna z nadzieją, że świeże powietrze go ocuci. Każdy pokonywany centymetr wydawał mu się wielką wyprawą; w końcu ręce i nogi odmówiły zupełnie posłuszeństwa i całym ciałem opadł na podłogę. Leżał tak pod oknem, zrezygnowany, nieszczęśliwy, ogarnięty czarnymi myślami... aż nagle, bez ostrzeżenia, przestał myśleć w ogóle.

Gdy się obudził, miał zawroty głowy, ale znów czuł, że tkwi we własnym ciele. Wstał i przyjrzał się swej dłoni. Była całkiem normalna, a już na pewno nie przezroczysta. Ile czasu był nieprzytomny? - tego nie wiedział. Był nieco oszołomiony; usiłował zrozumieć coś, co opierało się zrozumieniu; może zresztą dawno to rozumiał, tylko sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nagle wiedział, co powinien zrobić. Poprawiwszy koszulę wyszedł na zewnątrz. Zmierzchało już. Co prawda nie pamiętał hecy z gosposią, ale nie zapomniał tym razem włożyć butów.

Jego dorsz zdążył wystygnać, a restauracja „Wronie Gniazdo” w Harrogate opustoszała. Było już po lunchu i tylko kilka osób marudziło przy barze. St. Ives siedział przy narożnym stoliku w głębi lokalu, zwrócony plecami do okna. Pochylony nad blokiem papieru kreślił szeregi cyfr. Nagle przerwał obliczenia, bo zakręciło mu się w głowie. To brak snu i złe odżywianie - tłumaczył sobie. Postanowił zignorować tę słabość, ale czuł się coraz gorzej i musiał wyprostować nogi, by nie spaść z krzesła. Niech to diabli, jeszcze jeden atak. Tym razem sobie z tym poradzi.

Dobiegł go przytłumiony śmiech z drugiego końca sali. Podniósł głowę i ujrzał nieznanego mężczyznę, który przypatrywał mu się uważnie.

Mężczyzna odwrócił głowę, ale z kolei jego towarzysz spojrzał ciekawie na St. Ivesa. Profesor, nieco poirytowany, skłonił się w tamtym kierunku i w tym momencie zdał sobie sprawę ze swego wygniecionego ubrania i niechlujnego zarostu. Widelec z nabitym nań kawałkiem ryby wypadł mu z ręki lądując na kolanach. Spoglądał tylko bezradnie, bo był pewien, że ręka odmówi mu posłuszeństwa, gdy będzie chciał go podnieść.

Czuł, że za chwilę zemdleje. Czy nie lepiej od razu położyć się na podłodze i mieć to z głowy? Ale nie mógł przecież tak postąpić w obecności tych ludzi. Nie w tym stanie. Zacisnął powieki. Powoli, z głębokim namysłem zaczął powtarzać składniki ziemniaczanej zapiekanki, starając się każdy z nich zobaczyć i zidentyfikować w wyobraźni jego zapach. Uchwyciwszy się takich konkretności, natychmiast odzyskał równowagę.

Słyszając hałas, obrócił się na krześle, żeby sprawdzić, co dzieje się za oknem. Ku jego zaskoczeniu jakiś człowiek obserwował go zza węgła. W pierwszej chwili myślał nawet, że to jego lustrzane odbicie - te włosy w nieładzie, to wymięte ubranie. Ale to nie było odbicie. To po prostu był on sam, dokładnie tak, jak zdarzyło się na Trakcie Północnym. Jego płaszcz był ubabrany błotem, jakby zaliczył każdy przydrożny rów pomiędzy Harrogate i Londynem. Zjawa pomachała tylko ręką i zaraz zniknęła; w tym samym momencie St. Ives zsunął się z krzesła i dłuższy czas leżał tak bez czucia pośród gąszczy drewnianych nóg.

Dwaj mężczyźni, którzy przedtem się w niego wpatrywali, próbowali wyciągnąć go spod stołu.

- W porządku - odezwał się jeden z nich - już dobrze. Już nic panu nie grozi.

St. Ives podniósł się, mamrocząc słowa podziękowania. Tak, w porządku. Nic mu nie jest. Umysł miał zupełnie jasny i niczego tak nie pragnął, jak tylko, by realizować dalej swój plan. Jego dobroczyńcy, ukłoniwszy się, powrócili do swego stolika. Poradzili jeszcze St. Ivesowi, by wrócił do domu. Cały czas przyglądali mu się ciekawie.

- Jak Boga kocham, on przez moment całkiem zniknął - odezwał się pierwszy, lecz jego przyjaciel tylko machnął z lekceważeniem ręką.

- Pewnie, że zniknął. Pod stołem.

Obaj panowie na powrót zajęli się dorszem, nie przestając rozmawiać ściszonymi głosami.

St. Ives za wszelką cenę pragnął wydostać się stąd. Te ataki przytrafiały mu się zbyt często, ale zdawało mu się, że potrafi przynajmniej odczytać ich znaczenie. Czyż to nie St. Ives przyszłości nawiedzał go, ciężko zapracowany? Widział to jak kostki domina upadające jedna na drugą, hen, daleko, na osi czasu. Czy to znaczy, że maszyna go nie zawiedzie? Wierzył w to z całych sił. Wierzył w powodzenie swej misji i nie mógł doczekać się, kiedy pchnie

pierwszą kostkę domina, by uruchomić sekwencję przyszłych wydarzeń.

Zostawiwszy trzy szylingi na stoliku, raz jeszcze uklonił się w podzięcie swoim wybawcom i skierował się ku drzwiom. Tamci spoglądali na niego sceptycznie. Wychodząc na skapaną w słońcu ulicę, omal nie wpadł na Parsonsa. Sekretarz wielce zdumiony i wystraszony, jakby przyłapany na gorącym uczynku, odskoczył w bok. Zdołał się w końcu opanować i wyciągnął dłoń na powitanie. W pierwszej chwili St. Ives pomyślał, że prędzej samemu diabłu... Zreflektował się jednak, że nie byłoby to zbyt mądre z jego strony. Lepiej dalej bawić się w ciuciubabkę.

- Parsons! - zawołał, starając się przybrać odpowiedni ton.

- Profesor St. Ives! To ci dopiero niespodzianka!

- Och, nie taka znów wielka, mieszkam przecież niedaleko stąd. A co pan tu porabia, bawi pan na urlopie? - St. Ives wiedział, że mówi nienaturalnie wysokim głosem, zdradzając w ten sposób swoje zdenerwowanie. Parsons spisywał się znacznie lepiej; mógł służyć za przykład radosnej bez troski.

- O tak! Wakacje z wędką, dokładniej mówiąc. O tej porze w rzece Nidd jest mnóstwo pstrągów. Łowią je na muchę. Wpadłem teraz do miasteczka na zakupy. Pan też się gdzieś wybiera? - zmierzył St. Ivesa wzrokiem od stóp do głowy. Wyglądał na zażenowanego; pewnie pierwszy raz widział profesora w tak opłakanym stanie. - Sprawia pan wrażenie... zmęczonego - dodał. - Może pracuje pan po nocach?

- Nie - St. Ives tym jednym słowem odpowiedział na wszystkie pytania sekretarza, choć rzeczywiście cierpiał na brak snu. Ale dokąd zmierza, nie potrafiłby określić; wiedział tylko, dokąd chciałby pójść. Współrzędne celu określił z aptekarską wręcz dokładnością. Po raz kolejny zakręciło mu się w głowie. To pozostałość po ostatnim ataku - pomyślał. Nie mógł się skoncentrować, nie docierał do niego sens słów Parsonsa, starał się skupić tylko na tym, by nie upaść. Bazylia, ziemniaki, ser... - wyliczał w pamięci. Znowu spadał w przepaść, a jednocześnie czuł dziwną lekkość, jakby w każdej chwili mógł poszybować ku niebu.

Parsons nie przestawał wpatrywać się w niego, więc czynił wysiłki, by odzyskać zdolność jasnego myślenia. Czuł, że powinien jeszcze coś powiedzieć, że tamten najwyraźniej na to czeka. Nagle, jakby otworzyła się pod nim zapadnia, usiadł z impetem na chodniku. Był bezwładny i zimny jak trup. Nie mogło być wątpliwości - to znowu on, St. Ives przyszłości, przeklęty dureń. Będzie potrzebował naprawdę niezłej wymówki. Jego mózg musiał przypominać rzadką galaretę. Wyobraził sobie niezawodną zapiekanekę, prosto z pieca, pokrytą roztopionym serem. Chociaż czasem używał masła zamiast sera. Mniejsza z tym. Trzeba się skoncentrować na jednej tylko rzeczy.

Usłyszał straszliwe szczekanie. To chyba jakaś wielka bestia... Rozejrzał się niepewnie, wciąż siedząc na chodniku. Tylko cienka nić łączyła



go jeszcze z realnym światem. Obok przebiegł z wywieszonym jęzorem biały pies w brązowe i czarne łaty; jego ślepią były ledwo widoczne spod ciężkich powiek. St. Ives, nawet w tym zamroczeniu, zdołał rozpoznać czworonoga. To był Kudłaty, wierny towarzysz starego Bingera. Zawsze skory do pieszczot, zawsze gotów wysłuchać zwierzeń, jednym słowem - przyjaciel na każdą pogodę... Ale oto wyskoczył skądś drugi pies, chyba mastiff, i omal nie przewrócił Parsonsa. Warcząc i kłapiąc zębami próbował dopaść Kudłatego. Resztką sił St. Ives rzucił się na napastnika i już, już dosięgał jego obroży, ale rozpędzony pies pobiegł dalej, jakby palce profesora stawiały nie większy opór niż powietrze.

Profesor jak przez mgłę widział biednego Kudłatego, jak pędzi środkiem ulicy wprost pod koła ciężkiego, hałaśliwego wozu - stukot końskich kopyt mieszał się ze zgrzytem okutych metalem kół. W tym momencie jakiś człowiek wybiegł zza budynku, w którym mieściło się „Wronie Gniazdo”. Skinął ręką w kierunku Parsonsa i pognął dalej ulicą, wyciągając przed siebie ramiona. St. Ives przymrużył oczy, by uzyskać lepszą ostrość widzenia, i po chwili wiedział już wszystko. Od razu rozpoznał ten zniszczony, zabłocony płaszcz, te sterczące w nieładzie włosy. Był to ten sam człowiek, którego odbicie widział wcześniej w oknie restauracji. On sam - St. Ives przyszłości. Parsons również to zauważył. St. Ives przesłonił oczy dłonią, ale wciąż widział ulicę jak przez mgłę.

Mężczyzna z rozpędu rzucił się na owczarka i wtedy dopiero woźnica ściągnął wodze i chwycił hamulec. Jakaś kobieta krzyknęła, konie szarpnęły, a pies i jego wybawca zdążyli uskoczyć w bezpieczne miejsce. Nagle cały ten obraz zniknął jak halucynacja.

Znów widział wszystko normalnie i ostro; pierwsze, co ujrzał, to Parsons oddalający się pośpiesznie w tym samym kierunku, co drugi St. Ives, który ocalił psa. Parsons, popełniasz wielki błąd - pomyślał profesor próbując się podnieść. - Spóźniłeś się, bracie.

St. Ives dygotał, jak człowiek, który za dużo wypił. Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku przeciwnym do tego, który obrał sekretarz. Parsons niczego już się nie dowie. Ta maszyna, ten wehikuł czasu zniknął, a wraz z nim on sam - ten człowiek z przyszłości. Profesor wybuchnął śmiechem, lecz słysząc jego brzmienie zaraz się opanował.

Owczarek przyskoczył do niego machając ogonem. St. Ives podrapał go po puszystym łbie. Gdy doszli do przecznicy, napotkali starego Bingera.

- Kudłaty! - zawołał mężczyzna na psa, jednocześnie zły i uradowany. - A pan co tu robi, profesorze? - zapytał patrząc sceptycznie na St. Ivesa.

- Ma pan tu gdzieś swój wóz? - zapytał St. Ives niecierpliwie.

- A jakże - odparł Binger. - Tylko wjechałem do miasta, kiedy to stare bydlę wyskoczyło za jakimś cholernym mastiffem. Liczył pewnie, że się z nim

pobawi - pokiwał z politowaniem głową. - To cały on. Każdemu ufa bezgranicznie. W zeszłym tygodniu...

- Niech mnie pan natychmiast zawiezie do dworu - przerwał staremu St. Ives. - Jestem w strasznych tarapatkach.

Bingerowi zrzęda mina. Nie lubił kłopotów. Był w tym podobny do swego psa. „Nigdy nie szukam guza” - wyznał kiedyś St. Ivesowi i teraz jego mina odzwierciedlała wyraźnie to życiowe credo.

- Krowa mi się cieli - skłamał profesor starając się złagodzić swój ton. Poklepał się po kieszeni płaszcz, jakby tam znajdowało się coś, bez czego żadna krowa się nie obejdzie. - Niedobrze z nią, ale jeśli się pośpieszymy, to może da się ją jeszcze uratować.

Binger popędził do wozu, a Kudłaty skoczył za nim. Cóż, taki kłopot stary Binger był w stanie zrozumieć. Po chwili byli już w drodze. St. Ives zastanawiał się, jak dużo czasu będzie potrzebował Parsons, aby pojąć, że człowiek, którego ściagał, dawno już zniknął - rozpląnął się w powietrzu razem z maszyną. Odczuwał wielką satysfakcję, że Kudłaty został uratowany; wciąż widział oczyma duszy, jak rzuca się i spycha psa, ratując go od stratowania. Ale przede wszystkim był prawie pewien, że już niedługo wyruszy w podróż w czasie, a wtedy nie będzie się musiał nigdzie śpieszyć. Parsons w niczym nie mógł mu teraz przeszkodzić. Ocalenie psa było tego najlepszym dowodem. Na razie jeszcze jemu, St. Ivesowi, nic złego stać się nie może. Parsknął śmiechem, ale widząc badawcze spojrzenie Bingera udął, że to atak kaszlu i jeszcze raz z wielką powagą poklepał się po kieszeni. Binger, którego fajka kopciała jak komin, prowadził wóz równym tempem i wkrótce ich oczom ukazał się dwór St. Ivesa. Na pobliskiej łące pasło się kilka sztuk bydła. Dwumiesięczne, na pierwszy rzut oka, cielę stało przy swojej matce, która przeżuwała pokarm ze stoickim spokojem.

- Niech mnie dunder świśnie! - zawołał St. Ives, wskazując palcem na cielaka. - Wygląda na to, że już po wszystkim! - Uśmiechnął się szeroko, chcąc pokazać, jak wielką odczuł ulgę.

- Przecież to nie może być... - próbował zaprotestować Binger, ale St. Ives natychmiast mu przerwał:

- Niech pan zawraca. Ja wysiądę tutaj i przejdę się ten kawałek. Wielkie dzięki.

Binger zwolnił i zatrzymał konie. Profesor wcisnął mu w dłoń jednofuntowy banknot.

- Nie wiem, co ja bym bez pana zrobił, panie Binger. Czuję się niezmiernie zobowiązany.

Binger popatrzył na pieniądze, wciąż zerkając na pole, gdzie stał co najmniej trzymiesięczny - na jego rozum - cielak. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Po jego twarzy można było poznać, że zdążył się już

przyzwyczać do tego typu historii. Jeśli chodzi o profesora St. Ivesa, to nigdy nie wiadomo, z jakim karkołomnym pomysłem wyskoczy przy następnym spotkaniu. Wzruszył więc tylko ramionami, uchylił kapelusza i zawróciwszy konie, natychmiast odjechał.

St. Ives ruszył do domu pogwizdując wesoło. Źle się stało, że pani Langley jeszcze wczoraj wyjechała do swoich sióstr. Szkoda, że nie zaczekała do rana; nie miał sposobności, żeby załagodzić sprawę. Co mu strzeliło do głowy, żeby w ten sposób ją potraktować? Gdy przypomniał sobie, w jaki wtedy wpadł szal, czuł się naprawdę podle. Musi ją sprowadzić z powrotem. Udało się z psem Bingera, uda się i tym razem. Dzięki maszynie będzie mógł naprawić wszystkie swoje błędy.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, skąd u licha wiedział o tym psie. Musiał być świadkiem tej sceny w jakiejś innej płaszczyźnie czasowej; na pewno nie skończyło się to wtedy tak szczęśliwie - biedne psisko musiało zginąć pod kołami rozpędzonego wozu. W takim razie St. Ives musiał za pomocą maszyny powrócić do tego dnia i wyrwać biedne zwierzę z objęć nieuchronnej śmierci. Tyle że ta pierwsza wersja wydarzeń zatarła się w jego pamięci, a może nawet nigdy nie miała miejsca. Trudno było znaleźć inne wyjaśnienie. Wyglądało na to, że on sam z rozmysłem i do tego skutecznie zmienił bieg wydarzeń, mimo że ten został już raz określony. Przy okazji skazał na niebyt swoje drugie wcielenie. Uświadomił sobie, że nic nie jest ustalone raz na zawsze i myśl ta przyprawiła go o zawrót głowy. Dręczyło go pytanie, jakie jeszcze zmiany być może spowodował? Kto lub co odeszło w niebyt za sprawą jego ingerencji w przeszłość?

Musi odnosić się do kwestii podróży w czasie z większą uwagą. Związane z nimi ryzyko jest doprawdy ogromne. Takie podróże mogły oznaczać wyzwolenie, ale równie łatwo mogły doprowadzić do niewyobrażalnych szkód. Cóż, tak czy inaczej będzie miał okazję, aby się o tym przekonać. Czy miał jakiś wybór? Oto on, wpatrujący się w okno restauracji, on ratujący psa na ulicy... Nie, wszelkie rozważania były już zbyteczne. Co się ma stać, to się stanie, chyba że on zdecyduje się zawrócić z obranej drogi i nada tej historii zupełnie inny wymiar.

Miał zawroty głowy, więc pomyślał, że odrobina porto dobrze mu zrobi. Od lat trzymał butelkę bardzo dobrego rocznika. Może to ostatnia okazja, by delektować się takim smakiem; przyszłość nie wydawała mu się teraz nawet w połowie tak bezpieczna i pewna, jak dwadzieścia minut wcześniej. Przyśpieszył więc kroku, bawiąc się myślą, że jeśli zdoła się przenieść dziesięć lat do przodu, to ta sama butelka porto będzie o dziesięć lat starsza, a przecież można jeszcze zabrać ją z powrotem i...

Nie zdążył przejść nawet dziesięciu kroków, kiedy coś kazało mu obejrzeć się za siebie. Oto nadjeżdżał rozpędzony powóz; pewnie ktoś ma do

niego pilną sprawę. Czyżby pani Langley? - pomyślał bez sensu, ale zaraz zrozumiał, że jest w błędzie.

Gmerając nerwowo po kieszeniach w poszukiwaniu klucza od kłódki, puścił się pędem przez łąkę w stronę silosa. Przeszłość go wzywała, na dół i niedolę. Butelka porto będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

Podróżnik w czasie Jeszcze gdy wspinał się na maszynę, słyszał tamtych na zewnątrz silosa: turkot powozu, wydawane głośno rozkazy i na koniec straszliwy łomot w zablokowane sztabą drewniane drzwi. Zamknął za sobą pokrywę wjazdu i potężne uderzenia w drzwi stały się cichsze. Lada chwila wyłamią je z zawiasów i Parsons ze swoją bandą wpadnie do środka, by dorwać się do aparatu. Będą musieli jednak jeszcze trochę popracować, bo trudno przypuszczać, żeby mieli ze sobą taran. St. Ives modlił się w duchu, by Hasbro nie próbował ich powstrzymać. Szamotanina z tymi typami mogłaby źle się dla niego skończyć. Tym razem nie było żartów; Parsons musiał zdawać sobie sprawę, że przybył za późno i to przypuszczenie mogło pozbawić go wszelkich hamulców. St. Ives mógł liczyć jedynie na maszynę, a nie na dzielnego Hasbro, który już tyle razy wybawił go z opresji.

W końcu usadowił się w skórzanym fotelu wewnątrz kadłuba, który niegdyś był batyskafem Leopolda Higginsa. Teraz posłuży jako nieco toporny i niezgrabny wehikuł czasu. Prawie całe wnętrze zajmował magnetyczny napęd - dzieło lorda Kelvina; pozbawiono go wszelkich dodatków, niezbędnych wtedy, gdy aparat miał posłużyć do uniknięcia kosmicznej katastrofy. Dla St. Ivesa pozostało niewiele miejsca; fotel musiał przesunąć do przodu, tak iż niemal dotykał nosem iluminatora. Tylko dzięki skomplikowanej kombinacji luster mógł „wyglądać” przez pozostałe okienka. Właśnie obserwował ciemne wnętrze silosa. Z trudem rozróżniał porozrzucane na ziemi części aparatu i inny szmelc. Oto osmolona kuźnia z potężnymi miechami i jego warsztat - bezładna sterta rozmaitych narzędzi i złomu. Cóż za żalostny śmietnik. Ten widok przypominał St. Ivesowi, jak bardzo się zaniedbał przez ostatnie kilka lat - czy może miesięcy. Gdyby włożoną w to energię przeliczył na pieniądze, okazałoby się, że wszystko, do ostatniego pensa, wydał na budowę maszyny; nie miałby już nawet tyle siły, by zawiesić młotek z powrotem na ścianie. Trudno uwierzyć, że niegdyś słyszał z dyscypliny i porządku. Teraz był tylko kłębkim nerwów.

Nagle zobaczył na murze skreślone naprędce kredą przesłanie. „Śpiesz się - głosił napis - na Trakt Północny i załatw sprawę jak należy. Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem...” - tu tekst się urywał, jakby ktoś - on sam? - porzucił zamiar w połowie zdania. Trudno. Ta wiadomość i tak na niewiele się mogła przydać. Musi wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. Czas był w cenie i nie można go było marnować na zbędne słowa.

Z uwagą przyglądał się wskaźnikom, nasłuchując jednym uchem

stłumionych uderzeń w zamknięte drzwi. Wiedział dokładnie, dokąd chce się udać, ale potrzebował co najmniej kilku minut, by zgrać wszystkie instrumenty. Chcesz ciąc raz, zmierz dwa razy - jak mawiał pewien cieśla. Święta prawda, tylko że cieśla mógł zaufać swemu oku; tutaj nie było czasu na zabawę w odmierzanie taśmą. W pośpiechu dokonał końcowych obliczeń i przeszedłszy przebieg Wielkiego Traktu Północnego w kierunku Londynu, delikatnie ustawił jedno z pokręteł na pożądaną długość geograficzną, z dokładnością do jednej sekundy. Następnie zabrał się za szerokość geograficzną.

Usłyszał, że drzwi poszły w drzazgi; w silosie od razu zrobiło się jaśniej. A zatem dostali się już do środka. St. Ives gorączkowo nastawiał ostatnie parametry czasowe, gdy dobiegł jego uszu delikatny owadzi szum wprawionego w ruch koła zamachowego. Nagle całą maszyną zatrzęsło - ktoś próbował się na nią wdrapać. W iluminatorze ukazała się czerwona, spocona twarz Parsonsa. Wykrzykiwał coś, aż mu się broda trzęsła z wysiłku. St. Ives mrugnął do niego i jeszcze raz sprawdził lusterka. Drzwi silosa były otwarte na oścież, ujmując w ramy taką scenę: oto uzbrojony w strzelbę Hasbro biegnie przez łąkę, a za nim podąża pani Langley z wałkiem do ciasta w dłoni. Pani Langley! Niech ją Bóg błogosławi; odeszła słusznie urażona, ale teraz wróciła, okazując swą lojalność. Wróciła, by odpędzić jego wrogów kuchennym wałkiem. St. Ives w tym momencie bliski był kapitulacji. Ta kobieta gotowa była przecież poświęcić za niego życie, mimo że tak niegodnie ją potraktował. Nie mógł pozwolić na to, by spotkało ją coś złego. To samo zresztą dotyczyło Hasbro.

Wahał się jeszcze przez moment. W końcu jednak opanował emocje i całą uwagę skupił na zegarach kontrolnych. Na Boga, on po prostu nie pozwoli im tego zrobić - był przecież podróżnikiem w czasie. Ocali ich wszystkich, nie zważając na nic. Jeśli zostanie, jeśli pozostawi maszynę na pastwę Parsonsa, to przez resztę życia - jeśli w ogóle przeżyje - będzie tylko nikomu niepotrzebnym, gadającym do siebie ludzkim wrakiem.

Usłyszał, że ktoś majstruje przy klapie wjazdu. Nie mógł już dłużej zwlekać. „Śpiesz się...” - nawoływał napis na ścianie. Przesunął dźwignię wyzwalającą elektromagnetyczne moce aparatu. Ziemia zatrzęsła się pod nim przy wtórze narastającego pisku, który w ciągu paru sekund przekroczył granice słyszalności. Parsonsa odrzuciło w tył, gdy batyskaf wierzgnął na swych krzywych nóżkach. Jednocześnie dał się słyszeć krzyk gdzieś z góry i St. Ives ujrzał czyjeś stopy dyndające w iluminatorze. Parsons zdążył się już podnieść i chwycił zwisającego pechowca, by ściągnąć go na dół.

Zapadła gwałtowna, absolutna ciemność. St. Ives poczuł, że spada w szalonym korkociągu, jakby w głąb bezdennej studni. Odruchowo chciał się czegoś uchwycić, ale wokół była tylko próżnia, a on sam wydawał się nie mieć

rąk. Cóż, był tylko świadomością zapadającą w głąb samej siebie, która przebyła niezmiernie przestrzenie wieków, choć profesor nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystko stało się w mgnieniu oka.

Lecz oto na powrót siedział w swym batyskafie. Koniec podróży. Jeszcze tylko nie mógł zapanować nad drzeniem dłoni; a przecież nawet w najgroźniejszych sytuacjach były mu posłuszne i spokojne. Wokół wciąż panowała ciemność. Gdzie się więc znajduje? Może tkwi zawieszony gdzieś w próżni - ani tu, ani tam? Nigdzie...

Jednak, jak zauważył, nie była to ta sama ciemność, co przed chwilą. Zrozumiał, że po prostu jest noc. Padał deszcz. Jego oczy powoli oswajały się z panującym mrokiem. Znajdował się w szczerym polu, a w pobliżu przebiegała szeroka, błotnista droga. Był to Trakt Północny.

Z ciemności wyłonił się rozpędzony powóz. Powoził on sam - St. Ives z przeszłości. Nad zgrzanymi końmi unosił się welon mgły. Woda tryskała spod kół. Bili Kraken i Hasbro siedzieli wewnątrz wozu. Gdzieś przed nimi Ignacio Narbondo uciekał w panice, uwożąc ze sobą Alicję. Byli już tak blisko...

Otrząsając się z fatalistycznych myśli, St. Ives - ten, który siedział w maszynie - sporządził dla samego siebie notatkę. Wiedział, że jeśli się pośpieszy, to ma szansę doręczyć ją na czas. Zdawał sobie doskonale sprawę, jakie mogą być tego konsekwencje. Już raz doświadczył niepowodzenia, obserwując całą scenę oczami człowieka siedzącego teraz na koźle. Nie opuszczało go przeświadczenie, iż oszukuje sam siebie. Jednak nie przestawał mówić sobie, że jest w stanie zmienić przeszłość - uratował przecież psa Bingera. Co się stanie, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić, jeśli teraz stchórzy? Jeśli nawet nie zrobi nic, to i tak niewątpliwie zmieni bieg wydarzeń. A czym może się to skończyć? Nic nie zyska zachowując się jednocześnie bojaźliwie i głupio; jeden błąd wystarczy.

Pośpiesznie przeczytał sporządzoną wcześniej notatkę: „N. zastrzeli Alicję w Seven Dials, chyba że ty zastrzelisz go pierwszy. Rób, co do ciebie należy. Nie możesz się zawahać”. Kusiło go, by dodać: „Z wyrazami szacunku...” i podpisać się, ale się powstrzymał. Nie czas teraz na żarty. Może mężczyzna na koźle za chwilę już nie będzie mógł utrzymać cugli słabnącymi dłońmi. St. Ives czekał wystarczająco długo, może za długo. Zwolnił dźwignię blokującą pokrywę wjazdu i wy dostał się na zewnątrz. Ześlizgnął się po korpusie batyskafu i znalazł się w wypełnionym wodą rowie. Głośny szum siekającego po twarzy deszczu mieszał się z łomotem i skrzypieniem powozu.

Podniósł się klnąc i z mozołem zaczął się wspinać na grząski nasyp. W końcu wy dostał się na drogę, a rozpędzony powóz był coraz bliżej; St. Ives mógł już dostrzec, że powożący nim mężczyzna bardziej przypominał ducha, niż człowieka, a jego oczy były rozszerzone zdziwieniem. Rozpoznał w tej postaci samego siebie, ale cóż, było już za późno. St. Ives z przeszłości zaczął

się dematerializować. St. Ives obecny próbował podać mu - sobie - przygotowany list, wierząc, że w dłoni tamtego pozostała choć odrobina cielesności. Postać na koźle najwyraźniej poruszała ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Woźnica schylił się nawet i wyciągnął dłoń, ale nie był w stanie pochwycić kartki.

St. Ives wypuścił ją z ręki. Wiedział, że to nie może się udać.

- Weź ją, błagam! - krzyczał, ale konie i wóz przez nikogo nie kierowane popędziły dalej. Tamten St. Ives po prostu zniknął z koźła, rozpadł się na atomy. Kartkę z wiadomością wiatr uniósł w deszczową noc; pofrunęła jak latawiec targany potężnym cyklonem. St. Ives gotów już był popędzić za nią, by po wsze czasy trwać w beznadziejnym, desperackim pościgu przez puste pola, ale nie ruszył się z miejsca. Patrzył na drogę, na cugle bijące bezwładnie o końskie grzbiety, na wóz podskakujący w głębokich koleinach, gnający ku pewnej katastrofie.

Nie mógł znieść tego widoku. Ale przecież przeżyją - powtarzał sobie. Zdołają jakoś dotrzeć do Crick, a tam lekarz opatrzy ramię Krakena i ruszą w drogę do Londynu, choć Narbondo będzie już bardzo daleko. Kraken wytropi go jednak w Limehouse podczas któregoś z odrażających posiłków; będą go ścigać aż do Seven Dials. Na pewien czas znów zniknie im z oczu i dopiero o świcie, kiedy...

Miał przed oczami obraz przyszłych wydarzeń, czy może raczej ponurą przeszłość - zależy, z jakiej perspektywy na to spojrzeć. Wehikuł czasu okazał się wielkim sukcesem, ale jego próba odwrócenia wydarzeń z przeszłości - wielką klęską. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem; nie pozostało nic innego, jak wydostać się stąd jak najszybciej. Tak zresztą nakazywało mu przesłanie - śpiesz się, zawsze się śpiesz. Jednak St. Ives wciąż tkwił w miejscu, ociekający deszczem, smagany wiatrem. Wyteżał wzrok, ale na drodze nie było już nikogo. - Dokąd mam teraz iść? - zapytał na głos. - Czy powinienem wrócić do silosa i, najprawdopodobniej, stanąć oko w oko z Parsonsem? O nie! Mógłby także wrócić w to samo miejsce, tyle że o dwa dni wcześniej, by w ten sposób zaoszczędzić pani Langley obraźliwych słów. I co dalej? Będzie ryzykował, że wszystko popłacze? Przeżywanie na nowo wyrywkowych epizodów z własnego życia nie ma sensu. Tylko jedna jedyna rzecz była tego warta, to jedno zdarzenie musiał odesłać w niebyt.

Drgnął na tę myśl, jakby poraził go piorun. Kto mógł zagwarantować, że swą podróżą w przeszłość nie pogorszy jeszcze stanu rzeczy? Co by się stało, gdyby zdołał przekazać ostrzeżenie, a potem zdażył jeszcze odbyć powrotną podróż w maszynie? Całkiem prawdopodobne, że w ciągu godziny dogoniliby Narbonda. Nie rozbiliby się na Trakcie Północnym, nie stracili cennego dnia w Crick, a w rezultacie - w ogóle nie doszłoby do spotkania w Seven Dials. Notatka nie miałaby wtedy żadnego znaczenia, jej treść straciłaby

sens. Co za potworna ironia losu! Uświadomił sobie właśnie, że jego podróż w czasie, ta desperacka próba, by zapobiec śmierci Alicji, mogłaby tylko pogorszyć sprawę, wywołując sekwencję zdarzeń prowadzących do tragicznego końca. Czy w ten sposób nie on sam by ją zabił?

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Wciąż lało jak z cebra - deszcz siekł go po twarzy i strużki wody spływały mu za kołnierz, a on głośno rechotał waląc pięściami w zabłoconą ścianę batyskafu. W końcu opadł z siłą, tak że z trudem łapał powietrze. Ta noc była doprawdy paskudna i czarna jak smoła, a jego buty wyglądały jak dwie bryły mokrej gliny. Pierś profesora unosiła się ciężko, a w głowie wirowała karuzela myśli. Powoli, z ociąganiem wspiął się po szczeblach do wjazdu maszyny, wstrząsany od czasu do czasu niekontrolowanymi atakami śmiechu. Zapiekanka - powtarzał, mocując się z zamkiem - bazylika, ziemniaki, szalwia... Ta wyliczanka nie była już mu do niczego potrzebna, ale nie przestawał jej recytować. Dopiero gdy zmęczony i rozdygotany zajął znów miejsce w fotelu i zobaczył w iluminatorze czerń nocy, przestał się śmiać. Ser - zakończył wyliczanie.

Ustawił pokrętła i od razu uruchomił maszynę. Nastąpiło znajome szarpnięcie i krótkotrwały, wysoki dźwięk. Oto znowu szybował w ciemnej studni. Jednak, gdy się na powrót zmaterializował w nowym miejscu, okazało się, że to już nie noc. Nieśmiałe promienie słońca przebijały się przez mętną toń. Znajdował się na dnie jeziora Windermere - tak jak zamierzał. Jeśli czas także był zgodny z zaprogramowanymi parametrami, to działo się to pięćdziesiąt lat przed jego narodzinami. Tutaj nie znajdzie więc nieszczęsnego, rozpływającego się w powietrzu St. Ivesa. Teraz nie będzie musiał się śpieszyć. Tu schroni się przed Parsonsem i przed samym sobą... Tylko ryby będą wiedziały o jego istnieniu. Idealne miejsce, by potrenować w spokoju.

Zaczął zastanawiać się nad swoimi planami. Cała historia stała przed nim otworem, wybór był aż za duży. Z uwagą obserwował przez iluminator dno jeziora, nie było tam jednak nic, nie licząc mułu i wodorostów. Delikatnie zmienił położenie pokręteł i wcisnął odpowiednią dźwignię. Na kilka sekund zapadła ciemność, wciąż jeszcze był na dnie jeziora, chociaż tym razem wylądował w dość płytkiej wodzie, częściowo tylko zanurzony. W iluminatorze mógł dostrzec kawałek nieba.

Ostrożnie wypchnął klapę wjazdu i wychylił się, zadowolony z miejsca, w którym się znalazł. Dwadzieścia jardów gęstych trzciny dzieliło go od porośniętego trawą brzegu. Pasły się tam spokojnie owce, a wokół nie widać było żadnych ludzi. Zatrzasnął więc pokrywę wjazdu, pomanipulował przez chwilę przy sterach i wykonał kolejny krótki skok. Tym razem maszyna spoczęła na samej łące, pośród wystraszonych owiec, które rozpiezchły się na wszystkie strony. St. Ives wysiadł z maszyny i rozejrzał się wokół. Dopiero stąd mógł dostrzec nieco odsunięty od brzegu dom. Dwie kobiety w ogrodzie



zbierały kwiaty. Jedna z nich odwróciła się nagle i zasłaniając jedną ręką oczy od słońca, drugą wskazała w jego kierunku. Został więc zauważony. Druga z kobiet, widząc go, zakryła dłonią usta. W końcu obie rzuciły się pędem w kierunku domu, a St. Ives w panice uciekł z powrotem do swojej skorupy i czym prędzej zamknął za sobą włącz. Postanowił wrócić na dno jeziora, gdzie ludzie z pewnością go nie wypatrzą. Tak też uczynił, wykonując przy tym skok o pięć lat naprzód.

Nie zabawił tam jednak długo; znów przeniósł się do przodu, a potem dla odmiany sześćdziesiąt lat wstecz, lądując raz jeszcze na zielonej łące. Nie było tu teraz ani domu, ani owiec. Posuwał się w czasie małymi skokami naprzód, rok po roku. Owce to pojawiały się, to znów znikwały. Ale oto i dom, jeszcze nie ukończony. Grupa mężczyzn z mozołem wciąga na przeznaczone jej miejsce olbrzymią stropową belkę. St. Ives przeskoczył godzinę do przodu. Tym razem belka spoczywała bezpiecznie, podparta drewnianymi stemplami. Tylko ciężkie uderzenia młotów zakłócały spokojny poranek.

St. Ives uznał, że jest już gotów. Postanowił przenieść się w przyszłość, do Harrogate, na spotkanie z psem Bingera. Pomyślał, że w ten sposób będzie mógł sprawdzić nabyte umiejętności. A może jednak źle robi? Zastanawiał się przez chwilę. Może lepiej, jeśli nie będzie próbował ratować Kudłatego, może właśnie wtedy uzyska bliższe prawdy odpowiedzi na nurtujące go pytania? I co wówczas? Wtedy pies zginie. Odpowiedź na to akurat pytanie była oczywista. Stary, poczciwy Kudłaty skończy pod kołami rozpędzonego wozu. St. Ives nie miał wyboru.

Wylądował na podwórzu przy Bow Street. „Wronie Gniazdo” znajdowało się tuż za rogiem. Tym razem nie zwlekał ani chwili.

Szybko wydostał się z pojazdu i pobiegł co sił chodnikiem, zwalniając dopiero przed przecznicą. Już widział oczyma wyobraźni, jak rzuca się pędem, by pochwycić psa i zagrać Parsonsowi na nosie. Czuł jednak, że coś tu nie gra. Nie słyszał szczekania. Nie widział wozu. Przybył chyba za wcześnie. Zrozumiawszy swój błąd, zatrzymał się gwałtownie i zawrócił biegiem ku maszynie. O ile za wcześnie się tu znalazł? Zdawało mu się, że wie, ale nie mógł ryzykować. Musi się upewnić. Skręcił gwałtownie na porośnięty chwastami plac na tyłach „Gniazda”. Powoli skradając się wzdłuż muru dotarł do narożnika i wyjrzał ostrożnie. Przez tylne okno restauracji mógł dostrzec, że w środku jest prawie pusto. Ale oto on sam, St. Ives z przeszłości, siedzi przy jednym ze stolików. Właśnie upuścił na kolana widelec i teraz powoli odwraca się ku oknu, by przez ułamek sekundy spojrzeć sobie prosto w oczy. Nawet ta krótka chwila wystarczyła, by zauważył, jak bardzo - on sam - był wychudzony i zaniedbany.

Mając ten obraz w pamięci, pobiegł z powrotem, pozostawiając tamtego St. Ivesa sam na sam z zagadką. Wspiął się do środka batyskafu, obrócił

delikatnie jedno z pokręteł i przeskoczył pięć minut do przodu. Usłyszał szczekanie psa, gdy tylko uchylił kłapę wjazdu. Musiał się teraz śpieszyć. Stojąc jeszcze przy wjeździe, spojrzął w głąb ulicy - wóz już nadjeżdżał. Chryste! Czyżby tym razem przybył za późno? Ześlizgnął się na ziemię i nie zdążył nawet dobrze się rozpedzić, gdy szczekanie psa przerodziło się w skowyt, który nagle umilkł i zapadła cisza. Tylko woźnica coś krzyknął, a jeden z koni wierzgnął gwałtownie. A biedny, spocony St. Ives już wdrapywał się w panice do wnętrza maszyny. Tym razem cofnął pokrętkę odrobinę, chcąc zyskać dwadzieścia cennych sekund. Przeskoczył wstecz, materializując się w oka mgnieniu i czym prędzej rzucił się do wyjścia. Popędził ulicą na złamanie karku; gdy dotarł do przecznicy, słyszał wóz, ale nie było go jeszcze widać. Kudłaty ujadł zaciekle, a mastiff powarkiwiał do wtóru.

Zeskoczył z krawężnika, i kiedy się obejrzał, zobaczył zdumionego Parsonsa wpatzonego w niego wielkimi, przerażonymi oczyma. W pełnym biegu schylił się, by pochwycić Kudłatego i sam omal nie wpadł na rozpedzone konie. Odskoczył w tył, usiłując nie wypuścić szarpiącego się psa. Uwolnił go dopiero, gdy znalazł się na chodniku. W ostatniej cennej sekundzie wrzasnął jeszcze wściekle na warczącego mastiffa, na co ten podwinął ogon i oddalił się z wyciem, aż w końcu zniknął za sklepem modystki.

St. Ives ponaglał sam siebie półgłosem do ucieczki i pędził w górę Bow Street, a za nim Parsons, ciężko dysząc i przytrzymując rękami kapelusz. Nagle pełen energii, St. Ives bez trudu zdystansował starszaka i wkrótce zamykał już za sobą wjazd. Wiedział dobrze, gdzie teraz chce się udać, a właściwie - gdzie musi się udać. Dokonał wszelkich potrzebnych obliczeń podczas pobytu na dnie jeziora Windermere.

Gdy dostrajał instrumenty pokładowe, był prawie pewny, że Parsons wdrapie się na batyskaf i ukaże się w iluminatorze, by pogrozić mu pięścią. Ale sekretarz się nie pojawił.

Oczywiście, że tego nie zrobi - zdecydował nagle St. Ives. Jest na to zbyt sprytny. Zapewne pobiegł szukać konstabla, by ten zarekwirował jakiś wóz, żeby czym prędzej dostać się do dworu St. Ivesa i wyważyć drzwi od silosa. St. Ives nacisnął dźwignię i znów poczuł, jak spada i spada przez kolejne lata, by zakończyć podróż w Londynie, w Limehouse. Był rok 1835.

Limehouse N, la Limehouse powoli opadał całun zimnej jesiennej mgły. St. Ives przyjął to za sprzyjającą okoliczność, za dobry znak; może wreszcie będzie miał trochę szczęścia. Mgła przesłoni jego manewry na dachu, chociaż, z drugiej strony, spowoduje gorszą widoczność. Co prawda światło księżycza ułatwi mu zadanie, ale z kolei ktoś może go zauważyć, o ile nie zachowa należytej ostrożności. Na razie jednak zachwycał się otaczającym go pejzażem. Spojrzał w dół na Pennyfields, potem dalej na West India Dock Road. Urzekło go migotanie światła w oknach okolicznych domów oraz panujący w dole

ruch. Mimo późnej pory ulice były pełne przechodniów. Roili się na nich głównie dziwacznie poubierani marynarze - Hindusi, Afrykanie, Holendrzy i Bóg wie jakie jeszcze nacje. Nie brakowało w tłumie węglarzy, tragarzy, dokerów, straganiarzy i żebraków - tysiacy nędzarzy, którzy przy sprzyjającej aurze spali wprost na ulicy, a gdy padał deszcz, szukali schronienia pod którymś z mostów.

Dach trzeszczał lekko pod ciężarem batyskafu, ale na razie maszyna była bezpieczna; zresztą St. Ives nie zamierzał zabawić tu dłużej, niż było to konieczne. Konieczne? Zastanawiał się, co teraz dla niego było koniecznością. Przybył tu, do Limehouse, wiedziony jakimś potężnym impulsem, którego w żaden sposób nie potrafił określić - po prostu brakowało mu słów.

Na parterze kamienicy mieścił się sklep, a w pokoiku na poddaszu, tuż pod stopami St. Ivesa, leżał Ignacio Narbondo. Prawdopodobnie spał. Ile może mieć teraz lat? Trzy, może cztery - St. Ives nie był tego pewien, tak samo jak nie był pewien uczuć, które go tu przywiodły. Bez trudu mógłby teraz zabić Narbonda we śnie, uwalniając świat od jednego z najbardziej zbrodniczych umysłów... Jednak pomysł ten wydał mu się raczej odrażający; pogardzał sobą, że taka myśl w ogóle przyszła mu do głowy. Ale gdy wspomniał Alicję, nie czuł się już tak podle. Cóż, widać morderstwo nie leżało w jego naturze. Chciał tylko z bliska przyjrzeć się swojemu prześladowcy, by odkryć i zrozumieć, jakie siły wszechświata go tak ukształtowały.

W całym Limehouse mało kto spał. Była to pora przyływu i liczne statki korzystały z żeglowności portu - załadunek i rozładunek toczyły się pełną parą, obojętne, czy akurat świeciło słońce, czy był późny wieczór. Dokładnie pod St. Ivesem otworzyły się drzwi i snop światła zalał szarą ulicę, wydobywając z ciemności żelazny szmelc, poplamione płaszcze, brudne butelki, naczynia, obrusy i różne zużyte sprzęty domowe, które mogły się jeszcze komuś przydać, choć St. Ives nie bardzo mógł sobie wyobrazić ogromu nędzy, pozwalającej uznać któryś z tych przedmiotów za użyteczny. Czuł wstręt, a jednocześnie jakiś beznadziejny smutek, w dodatku rozbolała go głowa. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spał. Zawsze kiedy był zmęczony, miał skłonność do roztrząsania zawitych kwestii. Była to dla niego niezawodna oznaka psychicznego wyczerpania.

Pośpiesz się - nakazał, nie wiadomo czy sobie, czy kobiecie, pilnującej lawiny rupieci wylewającej się ze sklepu, jakby to był bezcenny skarb. St. Ives spoglądając na jej zniszczony czepiec i krótką fajkę, którą trzymała w ustach, próbował wczuć się w sytuację człowieka, którego przestrzeń życiową wyznacza kilka plugawych ulic i szklanka podłego dżinu.

Uznał, że takie rozważania do niczego nie doprowadzą, więc dał sobie spokój i zbliżył się do wysokiego okna poddasza. Spękane i zakurzone szyby przypominały zmętniałe oko, spoglądające na otulone mgłą kominy. St. Ives

skradał się ku niemu po śliskich dachówkach z nadzieją, że nie jest zamknięte od środka. W razie czego gotów był użyć siły, by je otworzyć. Kieszenie miał pełne monet. Zastanawiał się, co by ludzie pomyśleli widząc dziwacznie ubranego mężczyznę, czołgającego się po dachu późną nocą najwyraźniej po to, by rozdawać pieniądze - a to właśnie zamierzał uczynić, gdyby został przyłapany na gorącym uczynku. Spodobał mu się ten pomysł - zakradać się po dachach domów w Pennyfields i zostawiać szylingi zdumionym biedakom. Jednak zdał sobie sprawę, że ten pomysł wynikał raczej z próżności niż z chęci czynienia dobra. Już raczej będzie musiał za te srebrniaki kupić sobie wolność, nim noc się skończy.

Jak się okazało, okno nie miało nawet zasuwki; ktoś po prostu zaklinował je za pomocą złożonych kartek papieru, wyrwanych zapewne z jakiejś książki. St. Ives nie zastanawiając się długo wyszarpnął je i wsunął się cicho do ciemnego wnętrza. Żałował, że nie wziął ze sobą żadnej lampy, na dodatek omal nie powalił go panujący w dusznym pokoju fetor. Przytrzymując się okiennej ramy, jedną stopą badał teren - w pewnym momencie trafił na miękkie ciało, które zaraz odsunęło się jęcząc z cicha. Natychmiast cofnął nogę i tkwił na parapecie jak zwierz przyczajony do skoku. Powoli jego oczy przywykły do panujących ciemności, którą rozpraszało tylko blade światło księżyca, otulonego gęstniejącą mgłą.

W pokoju było prawie pusto. Pod jedną ze ścian stało stare łóżko, krzywy stół i dwa drewniane krzesła, pod drugą zaś zrujnowany kredens, straszący pustymi półkami. Miał dziwnie tymczasowy wygląd, podobnie zresztą, jak dwoje śpiących w tym pokoju ludzi. Na stole leżała otwarta książka, inne poniewierały się na podłodze - niektóre porozrzucane w nieładzie, inne ułożone w stosy, co w tym mrocznym pokoju mogło przypominać egzotyczne skarby zgromadzone w ciemnej i zatechłej jaskini piratów. Szmaty pod jego stopami znów się poruszyły i usłyszał ciche kwilenie, gdy przykrytym nimi dzieckiem wstrząsnął atak kaszlu. Leżący na łóżku człowiek spał ciężko, nie reagując na nic.

St. Ives, teraz już ostrożniejszy, zrobił duży krok, by ominąć leżący na podłodze kształt. Zamykając za sobą okno, odepchnął się od parapetu w głąb pokoju. Podszedł do stołu, by przyrzeć się jednej z książek, która wyglądała na dosyć nową. Nie zaskoczyło go specjalnie, że trzyma w rękach „Eksperymenty przeprowadzone na stworzeniach oddychających skrzelami”, opracowane przez Ignacia Narbondo seniora. St. Ives próbował obliczyć, kiedy starszy Narbondo uległ zbrodniczym pokusom wiwisekcji. Z pewnością niedawno - może rok, może dwa lata wcześniej. Ten zbiór książek był chyba jedyną rzeczą, którą pozostawił porzuconej rodzinie, nie licząc upodobania do deprawującej wiedzy. Teraz syn, choć jeszcze taki młody, podąża w ślady ojca.

Śpiący na podłodze chłopiec oddychał z trudem. Głośny, chrapliwy,

bulgocący oddech wskazywał na zaatakowane płuca.

St. Ives pochylił się nad rozdygotanym ciałem i delikatnie zsunął z niego brudny koc. Dziecko leżało sztywno na jednym boku, z wyciągniętą szyją, jakby tylko w ten sposób mogło sobie zapewnić dostęp powietrza. Ramiona chłopca były cienkie jak patyki, a blade policzki zapadnięte. St. Ives lekko przesunął palcami wzdłuż jego kręgosłupa szukając wygięcia, które kiedyś miało urosnąć w wydatny garb.

O dziwo, nie znalazł żadnej deformacji; plecy chłopca były proste jak kij od miotły, do tego rozpalone gorączką. Przez cienkie okrycie przy każdym oddechu wyczuwał rżenie w płucach chłopca. St. Ives wstał, raz jeszcze rozejrzał się po pokoju i sięgnął po stojącą na kredensie szklankę. Przyłożywszy ją otworem do pleców dziecka, nasłuchiwał usilnie, z uchem przyciśniętym do drugiego końca naczynia. W płucach małego bulgotało jak w przepełnionym szambie. Kolejny atak kaszlu wstrząsnął chłopcem, wyrwijąc mu z ust strużki piany zabarwionej krwią. St. Ives zerwał się na nogi i odskoczył. Nie miał już teraz wątpliwości, że było to zapalenie płuc w daleko posuniętym stadium. Dzieciak był tak wyczerpany, że jego dni wydawały się policzone. Świadomość tego faktu załamała St. Ivesa. Morderstwo nie było mu chyba pisane. Nawet gdyby był zdolny do takiego czynu, to na pewno nie w tych okolicznościach. Byłoby to zbyt cenne. Natura i bieda panująca w tym brudnym, zatłoczonym ponad wszelką miarę mieście doprowadzą do śmierci Narbonda równie niezawodnie, jak przeszywający mózg pocisk.

St. Ivesowi nie pozostało więc nic innego, jak wydostać się z powrotem przez okno i rozplynać się gdzieś w przyszłości. Jednak plan ten pozostawał w sprzeczności ze znanymi profesorowi faktami. Czy Narbondo umrze, jeśli on, St. Ives, nie przyłoży do tego ręki? Człowiek może zmienić przyszłość, ale jak przyszłość ma zmienić się sama? Zastanawiał się nad tym głęboko, nie przestając wpatrywać się w twarz chłopca. Potrzebował więcej światła. Otwierając kolejno wszystkie drzwiczki kredensu, trafił w końcu na świecę i zapalki. Kobieta na łóżku nie powinna się obudzić - dzin zrobił swoje; spod koca, którym nakryła głowę, dobiegało głośnie chrapanie. St. Ives zapalił świeczkę i pochylił się nad twarzą dziecka w poszukiwaniu potwierdzającej jego przypuszczenia wysypki. Nie dostrzegł jednak nic prócz potu na bladej skórze niedożywionego, ciężko chorego dziecka.

Mały nie miał najmniejszych szans na przeżycie. Jutro, najdalej pojutrze, zakończy swój krótki żywot. Wygląda to na pneumococcus meningitis, orzekł St. Ives. Diagnoza była wprawdzie postawiona pośpiesznie, przy kiepskim świetle i ze szklanką jako stetoskopem, jednak zapalenia płuc był całkowicie pewien, a już samo to wystarczy, by małego wykończyć. St. Ives wstał i rozmyślał przez chwilę. Jeśli to jest w dodatku zapalenie opon mózgowych, mogłoby to wyjaśnić pochodzenie garbu. Zmiany w kręgosłupie

mogły z łatwością zdeformować sylwetkę Narbonda, jeśli przeżył. Utrwaliłoby się to w późniejszych latach...

Naprawdę nie miało to większego znaczenia, czy dokładnie określił stan chłopca. Był absolutnie pewien, że mały nie ma szans. Narzucił na niego z powrotem koc i zdjął płaszcz, by dodatkowo okryć śpiące dziecko, które łapało teraz powietrze jak zziąjany pies. St. Ives zupełnie nie potrafił postawić znaku równości pomiędzy tym małym, cierpiącym chłopczykiem, a potworem, do którego strzelał w Seven Dials. Dla niego były to po prostu dwie różne istoty. Czas i sposobność - pomyślał i przypomniał sobie, że nie dalej jak sześć miesięcy temu mówił to samo o sobie, rozpamiętując swoje życie. Znow ogarnęło go uczucie melancholii i niespełnienia.

Miał wizję ludzkości miotającej się jak stado małych wystraszonych zwierzątek w wielkim trzęsawisku. Tak łatwo zapomniał, że kiedyś był szczęśliwy. A przecież ten umierający dzieciak z pewnością nigdy nie zaznał podobnego szczęścia. St Ives westchnął i potarł dłonią czoło, by oddalić zmęczenie i koszmarne obrazy. Takie rozmyślenia do niczego dobrego nie prowadzą. Lepiej zostawić je filozofom, którzy pomagają sobie trzymając pod ręką butelkę brandy. Wszelkie abstrakcyjne dywagacje nie mają sensu w obliczu faktu, że tutaj umiera dziecko. W końcu St. Ives podjął decyzję.

Położył na stole trzy srebrne monety, po czym wyszedł przez okno i zamknął je za sobą. Płaszcz zostawił w pokoju. Jeśli nie wróci, będą bogatsi o płaszcz i o te parę groszy. Zresztą nawet gdyby jeszcze się tu pojawił, i tak pozwoli im to zatrzymać. Drżał z zimna, więc czym prędzej ruszył do batyskafu, nie zwracając już więcej uwagi na poranną krzątaninę w dole.

Wszedł przez otwarte drzwi do swego gabinetu. Pokój wydał mu się dokładnie taki sam, jakim go zapamiętał. Nie zdziwiłby się, gdyby zastał tu obraz samego siebie jako starego człowieka, rozplywający się w powietrzu. Do tej pory mógł zresztą całkiem zniknąć, bo upłynęło sporo czasu, zanim wyczołgał się przez okienko silosa i przybiegł chyłkiem do dworu. Oczywiście istniała możliwość, że dawno temu zszedł z tego świata - był to przecież rok tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy. Datę wybrał dość przypadkowo. Jego dom mógł nawet mieć nowego właściciela, na przykład jegomościa, który nie rozstawał się ze strzelbą załadowaną śrutem. Jednakże wewnątrz silosa wskazywało na coś zgoła innego - zapełniono je mnóstwem rozmaitych przyrządów o nie całkiem zrozumiałym przeznaczeniu. W każdym razie były to takie urządzenia, które mógł posiadać tylko naukowiec. W dodatku wyglądały na nowe; panował tam wręcz wzorowy porządek. Nie to, co ten okropny bałagan, który zostawił... Kiedy? Przez chwilę był zupełnie zdezorientowany, w żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie daty.

Gabinet również był schludnie utrzymany - żadnych walających się po podłodze książek, żadnych porzucanych bezładnie papierów. Nie

opuszczało go poczucie winy w związku ze sposobem, w jaki potraktował panią Langley. Ale nie pora teraz na takie rozmyślania, zamącą mu tylko w głowie. Pani Langley musi jeszcze trochę poczekać. W pokoju zaszyły jednak interesujące i, w pewnym sensie, znamienne zmiany. Z sufitu zwisał powiązany drutem szkielet jakiegoś skrzydlatego jaszczura, a o jedną ze ścian oparto przytrzymywaną drewnianymi bolcami kość udową monstrualnych rozmiarów gada - musiał być co najmniej tak wielki, jak brontozaur. Wygląda na to, że zajął się w końcu tym, co naprawdę go pociągało - paleontologią. Jak do tego doszło? Czy wykorzystał do tego celu wehikuł czasu? Czy cofnął się aż do ery wielkich gadów? Przeszył go dreszcz oczekiwania i jednocześnie zdał sobie sprawę, nie po raz pierwszy, że wszystko potoczyło się jak najlepiej. Oto dowód - pokój idealnie pasujący do człowieka o jego talentach.

Nagle jakby ktoś wylał na niego kubek zimnej wody; uświadomił sobie, że dużo czasu upłynie, zanim stanie się takim człowiekiem. Nie było się czym chełpić. Musi wrócić do przeszłości, dostać się w tryby czasu niczym odłamek żelaza, czym być może uszkodzi delikatny mechanizm raz na zawsze. To był tylko wycinek przyszłości, jej przejaw, równie trwałe jak bańka mydlana. Nagle w lustrze dostrzegł swoje odbicie i aż się cofnął, tak bardzo zaskoczył go ten widok. Spoglądała na niego udręczona, mizerna, nie ogolona twarz. Odruchowo dotknął policzka, tracąc dopiero co odzyskany optymizm.

Na uprzątniętym biurku leżała zapisana kartka papieru. Biorąc ją do ręki, zauważył, że na drugim końcu blatu stoi butelka porto, a obok czysta szklanka. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy przypomniał sobie, jak wcześniej snuł naiwne plany o zabraniu z przyszłości kilku butelek wina. Do diabła z przenoszeniem czegokolwiek w przeszłość. Nie będzie czekał. Spróbuje od razu. - Na zdrowie! - zawołał i wypił.

Usadowił się wygodnie w fotelu, by przeczytać notatkę.

„Uprzątnąłem dokładnie silos - czytał - bo inaczej zmaterializowałbyś się w samym środku auta i wywołał czort wie jaką eksplozję. Przestań się tak chełpić. Wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Masz pojechać do Oxfordu i spotkać się tam z profesorem Flemingiem. Może i jest idiotą, ale ma to, czego szukasz. Można powiedzieć, że my z Flemingiem jesteśmy przyjaciółmi. Jedź tam natychmiast, a potem zmykaj i więcej nie wracaj. Migasz się od zrobienia czegoś, co i tak musisz zrobić. Specjalnie wyszukujesz przeszkody. Zrób coś ze sobą, na litość Boską. Niedobrze się robi na twój widok”.

Lekko oburzony St. Ives odłożył kartkę z powrotem na biurko i wychylił do końca szklaneczkę porto. Ta notatka wprawiła go w podły nastrój. Jak on może zwracać się do niego takim tonem? Czyżby nie wiedział, do kogo kieruje te słowa? Coś zaniepokoiło St. Ivesa, ale co? Rozejrzał się wokół, wyczuwając, że tamten on, rozbity na pojedyncze atomy, krąży gdzieś w pobliżu, śmiejąc się z niego. Może te niewidzialne cząstki osiadły na

wiszących nad jego głową kościach pterodaktyla, który patrzył na niego śmiesznie małymi, pustymi oczodołami. Profesorowi skojarzył się on z pewnym nauczycielem z czasów dzieciństwa, którego nos przypominał ptasi dziób.

St. Ives pogrzebał w szufladzie biurka w poszukiwaniu pióra. Zamierzał napisać parę słów w odpowiedzi. Ale co właściwie miałyby w ten sposób przekazać? Parę obelg? Coś zupełnie oczywistego? Jakiś oklepany banał? Co on, terazniejszy on, wiedział takiego, czego tamten przyszedł St. Ives wiedzieć nie mógł? Może znalazłby nawet treść notatki i po zmaterializowaniu się roześmiałyby na jej widok - nawet nie musiałyby jej czytać. St. Ives, zniechęcony, odłożył pióro; czuł do siebie coś w rodzaju pogardy za swoją bezradność.

Nagle w drzwiach stanął Hasbro.

- Dzień dobry - powiedział, nie okazując na widok St. Ivesa najmniejszego zdziwienia i położył na otomanie garnitur.

- Hasbro! - krzyknął St. Ives i skoczył ku niemu, by go uściskać. Jego służący był teraz znacznie starszy. Jakżeby mogło być inaczej? Jednak wciąż wydawał się w pełni sił. Widząc go tak szczupłym i dziarskim pomimo siwych włosów, St. Ivesowi zrobiło się przykro z powodu własnego oplakanego wyglądu.

- Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz - powiedział profesor.

- Oczywiście, że nie, sir. Nikt nie jest. To ubranie powinno jednak pasować.

- Jak dobrze znów cię widzieć - nie wytrzymał St. Ives. - Nie wyobrażasz sobie...

- Bardzo dobrze, sir. Otrzymałem instrukcje, by przystrzyc panu włosy.

- Hasbro przyjrzał się uważnie St. Ivesowi, mrużąc przy tym nieco oczy, jakby to, co zobaczył, nie sprostало jego oczekiwaniom. Wyszedł z pokoju bez słowa, pozostawiając profesora w niewymownym zdumieniu. Wkrótce wrócił z dzbanem wody i dużą miską.

- Będzie pan musiał dokonać ablucji w dość prymitywnych warunkach i do tego szybko - oznajmił. - Obawiam się, że absolutnie nie będzie pan mógł wejść do pozostałych pokoi w tym domu. Otrzymałem bardzo precyzyjne instrukcje. Mamy natychmiast udać się do Oxfordu i jak najszybciej stamtąd wrócić, ograniczając rozmowę do minimum. Mam dwa bilety na pociąg. Musimy do niego wsiąść dokładnie za pięćdziesiąt cztery minuty.

- No tak - odrzekł St. Ives - ty przecież wiesz najlepiej. Pośpiesznie rzucił koszulę, wyszorował twarz nad miską, a w końcu namydlił włosy i zanurzył głowę w wodzie. Wkrótce na powrót zasiadł w fotelu, a Hasbro przystąpił do golenia jego brody.

- Powiedz mi zatem - nie rezygnował St. Ives - co się dzieje. Czy... czy



z Alicją wszystko w porządku? Czy żyje? Czy osiągnąłem swój cel? Musiało mi się udać. Wszystko w tym pokoju za tym przemawia. Proszę, powiedz mi, jak się rzeczy mają?

- Nie wolno mi niczego mówić. Proszę odchylić głowę do tyłu.

Mydło spływało St. Ivesowi za koszulę.

- Powiedz cokolwiek - namawiał.

- Nie mogę. Ani pary z ust. Profesor pouczył mnie, że materia czasu utkana jest z bardzo delikatnej przędzy; jest jak stary jedwab i nawet mój głos może ją rozedrzyć na strzępy. Bardzo poetycko to ujął, trzeba przyznać.

- Moim zdaniem, gada raczej jak głupiec - odrzekł St. Ives ze złością. - Możesz mu to nawet ode mnie przekazać. Poezja. Też mi coś...

- Oczywiście, sir, jak pan rozkaże. Będziemy musieli przypudrować pańskie włosy.

- Przypudrować? Co u licha?...

- Profesor Fleming, sir, ten z (Mordu, zna pana jako człowieka posuniętego w latach. Co prawda z powodu przemęczenia i niedożywienia wygląda pan na starszego, niż jest, ale nie wolno nam niczego zaniedbać. Musimy unikać zbędnego ryzyka. Proszę to zrozumieć.

- Starszy? - St. Ives znów przyjrzał się sceptycznie swemu odbiciu w lustrze. Niestety, to była prawda. W ciągu ostatnich dwóch, trzech lat postarzał się o dziesięć. Aż przykro było patrzeć.

- Jeszcze będzie pan młody, sir - próbował dodać otuchy Hasbro. St. Ives był bliski płaczu. Czuł, że zaplątał się w sieć nie kończących się ucieczek i powrotów, gdzie żadne zdarzenie nie mogło się obyć bez poprzedniego, a samo prowadziło do innych przyszłych faktów, i tak w kółko. Co gorsza, nie wiadomo, czym się to wszystko skończy. Przeszłość także była delikatną materią - jak stary jedwab...

- Co takiego ciekawego ma ten Fleming? - zapytał St. Ives próbując wziąć się w garść.

- Proszę mi wierzyć, muszę nalegać, byśmy zaniechali wszelkiej dyskusji, sir. Zostałem poinstruowany, że musi pan zawierzyć swoim własnym instynktom.

St. Ives poprawił się w fotelu, raz jeszcze spoglądając w lustro. Po wielodniowym zaroście nie było śladu, a włosy miał teraz krótsze i uczesane. Czuł się o niebo lepiej, chociaż ubranie, które wybrał mu Hasbro, było doprawdy błazeńskie. Ale czy miał prawo narzekać? Gdyby Hasbro otrzymał polecenie, by wylać na niego kubel pomyj, też by musiał to jakoś wytrzymać. To przyszły on pociągał teraz za sznurki, a on, obecny St. Ives, musiał tańczyć, jak mu zagrają.

Wyszli przez okno, bo Hasbro nie chciał dopuścić, by St. Ives zobaczył cokolwiek w innych częściach domu. Na podjeździe stał długi, lśniący

automobil. St. Ives widział już wcześniej dorożki napędzane silnikiem, sam nawet zamierzał coś takiego zbudować, ale to wykraczało poza jego najśmielsze marzenia; to było coś... coś z przyszłości. Z radością wskoczył do środka.

- Jakie paliwo napędza ten motor? - próbował przekrzyczeć ryk silnika, gdy wyjechali już na drogę do Harrogate. - Alkohol, para? Poczekaj, spróbuję zgadnąć. - Przez chwilę nasłuchiwał z uwagą. - Może to ulepszony wtryskiwacz Giffarda, może turbina Peltona?

- Bardzo mi przykro, sir.

- Oczywiście, że nie. Sprawdziłem cię tylko. Ale czy możesz mi zdradzić, do jakiej szybkości może się to rozpędzić na prostej drodze?

- Obawiam się, że nie mogę z panem na ten temat rozmawiać.

- Czy królowa jeszcze żyje?

- Niestety. Zmarła w tysiąc dziewięćset pierwszym, niech ją Bóg ma w swojej opiece. Dwór królewski podupadł nieco od tego czasu, obawiam się. Obecnie jest trochę zbyt frywolny, jeśli pan wybaczy mi to określenie.

St. Ives zauważył, że sprawy monarchii nic a nic go teraz nie obchodzą. Uświadomił sobie, że nie chce nic o tym wiedzieć; ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był powrót do przeszłych czasów z głową pełną ponurej, futurystycznej wiedzy, która i tak na nic mu się nie przyda. Powinien się cieszyć, że znajduje Hasbro tak krzepkim i rześkim, i że on sam, o ile wnętrze silosa może być tu jakąś wskazówką, jest w stanie pilnować swoich spraw. Nagle bardzo zapragnął znaleźć się z powrotem we własnych czasach i mieć już to wszystko za sobą. Musiał przyznać, choć z niechęcią, że St. Ives przyszłości miał absolutną rację. Milczenie było najbezpieczniejszą drogą do celu, który chciał osiągnąć. Wciąż jednak nie mógł mu darować tego szyderczego tonu zawartego w notatce.

Oxford wciąż był tym samym starym Oxfordem, dzięki Bogu. Hasbro prowadził profesora wzdłuż szpaleru pozbawionych liści drzew, ku laboratorium patologii. St. Ives miał dziwne samopoczucie - trochę jak wytatuowany dzikus, który pierwszy raz znalazł się w cywilizowanym świecie. Wciąż czuł się nieswojo w swoim ubraniu, mimo że w żaden sposób nie wyróżniał się spośród tłumu. Cóż, ich stroje wyglądały tak samo dziwnie jak jego. Nie ma powodu wstydzić się błazeńskiego wyglądu, kiedy inni wyglądają równie głupio. Twarz swędziała go pod warstwą pudru, którego Hasbro mu nie pożalował, chcąc, by rzeczywiście wyglądał jak starzec.

Profesor Fleming mrugnął porozumiewawczo do niego, gdy uchylili drzwi do laboratorium. Pochylał się nad zlewką stojącą na długim, zagraconym stole, a strzecha długich włosów opadała mu na czoło. Uniósł głowę i wpatrywał się w nich zza grubych szkieł okularów, jakby nie rozpoznawał St. Ivesa. Wreszcie rozpromienił się i podszedł, by poklepać profesora po plecach.

- No, no... Wygląda pan jakoś tak... - powiedział ze szkockim akcentem, przypominając tym do złudzenia lorda Kelvina, lecz utknął w połowie zdania, jakby przychodziły mu do głowy same obraźliwe określenia. - A więc nie ma pan już do mnie żalu? - zapytał, przechylając głowę.

- Nie, skąd - odparł St. Ives, zastanawiając się, o czym tamten u licha mówi. Jaki żal? Doprawdy, można oszaleć...

- Moje informacje były rzetelne. Żadnych przecieków, nic z tych rzeczy. Musi pan przyznać, że przegrał pan w uczciwej walce.

- Ależ oczywiście - zgodził się St. Ives, zerkając na swego służącego.

- Tak więc winien mi pan jest dwa funty i sześć szylingów - oznajmił Fleming. Nie powiedział już nic więcej, tylko spoglądał na St. Ivesa uśmiechając się z zadowoleniem. Odwrócił się na chwilę, by poprawić płomień stojącego na stole palnika.

- Na litość Boską - szepnęła St. Ives, oczekując od Hasbro wyjaśnień. Służący zasłonił usta grzbietem dłoni i wyszeptał zza niej:

- Obstawia pan mecze krykieta i zwykle przegrywa. Na pana miejscu potraktowałbym to jako przestrożę na przyszłość. - Pokiwał smętnie głową, jakby chciał pokazać, że sam nie jest entuzjastą hazardu.

St. Ives poczuł się nieswojo. Fleming chciał mieć te pieniądze natychmiast. Dwa funty i sześć szylingów? Obmacał kieszenie i przeliczył znalezione pieniądze. Starczy, by pokryć przegraną, ale zostanie bez grosza przy duszy. Cudownie! Wróci do domu goły, bo musi spłacać idiotyczne długi, których narobił jego beztroski odpowiednik z przyszłości.

- To oburzające - syknął w stronę Hasbro, odliczając na dłoni monety.

- Pan coś mówił? - zainteresował się Fleming.

- Chciałem tylko powiedzieć, że oburzające jest, jak fatalnie ci ludzie grają w krykieta.

St. Ives nagle zrozumiał, że przyszedł on zakładać się ot tak, dla żartu, by przytrzeć mu teraz nosa. Ta myśl wielce go wzburzyła.

W jakiegoż to potwora się zmienił, że ma ochotę kpić sobie w takiej chwili? Może znajdzie jakiś sposób, by mu się odplacić pięknym za nadobne, zanim wróci do swoich czasów...

Fleming z zadowoleniem przyjął pieniądze i schował je do kieszeni, nawet ich nie przeliczając.

- Co by pan powiedział na jeszcze jeden zakładzik? St. Ives spojrzał na niego z wahaniem.

- Niech mi pan da chwilę do namysłu. Muszę się zastanowić - St. Ives ruszył ku drzwiom i skinął na Hasbro, by ten podążył za nim. - Na kogo to stawiałem, kiedy przegrałem te pieniądze?

- zapytał szeptem.

- Na Harrogate Harriers, sir. Nie radziłbym powtarzać tego błędu.

- Są aż tak beznadziejni?

- Wręcz żałośni, sir.

St. Ives posłał Flemingowi szeroki uśmiech i zatarł ręce z uciechy.

- Cóż, jestem zagorzałym lokalnym patriotą, profesorze - powiedział, przyglądając się jak Fleming napełnia pipetę jakąś bursztynową cieczą. - Jeszcze raz stawiam tę samą sumę na Harriers. Najbliższy mecz, ma się rozumieć.

- W tę sobotę, przeciwko Wowerines? Chyba nie mówi pan tego poważnie.

- Jak najbardziej. Żeby pana o tym przekonać, stawiam pięć do jednego.

- Nie mógłbym nawet... - Dobrze, niech będzie dziesięć do jednego. Jestem niepoprawnym optymistą.

Fleming spoglądał na St. Ivesa podejrzliwie, jakby wietrzył jakiś podstęp. Może jego przeciwnik dostał jakiś cynk? Wreszcie, starając się wyglądać obojętnie, wzruszył ramionami na znak, że się zgadza.

- Zwykle nie gram o tak wysokie stawki, ale tym razem wygląda na to, że te pieniądze mam jak w banku. A więc zakład stoi. Dziesięć do jednego.

Mężczyźni podali sobie ręce, a St. Ives miał ochotę zatańczyć z uciechy na środku sali.

- No, cóż - zauważył Fleming - chyba czas wracać do pracy. St. Ives przytaknął. Fleming podał mu dwulitrowy zakręcany słoik napełniony brunatnym płynem.

- Jest to ekstrakt bulionu wołowego zawierający zawiesinę penicylium - wyjaśnił.

- Tak, naturalnie - zgodził się St. Ives. Zawiesina? Penicylium? Co on u licha ma na myśli? Jeszcze raz spojrzął na Hasbro, szukając u niego ratunku.

- Nie wolno mi... - zaczął służący, ale St. Ives machnął tylko ręką, nie chcąc znów tego słuchać.

- Nie jestem pewien, jak to podawać doustnie - ciągnął Fleming. - Jestem z natury ostrożny i mam pewne opory nawet wtedy, gdy coś zlecam człowiekowi nauki pańskiego pokroju. Bo widzi pan, to musi potrwać; potrzebujemy jeszcze kilku miesięcy na dalsze badania...

- Rozumiem i doceniam pańską troskę - odrzekł St. Ives jak w drzeniu - ale jest to sprawa życia i śmierci. Dosłownie. Chodzi o życie dziecka, które dla dobra ludzkości nie może umrzeć. Gdy to powiedział, uzmysłowił sobie, że musiało to zabrzmieć jak bredzenie szaleńca, ale profesor Fleming wydawał się nieporuszony. Co powiedział mu tamten St. Ives? Czy on... wie? Nie, nie mógł wiedzieć, inaczej Hasbro nie bawiłby się w ten cyrk z pudrowaniem.

- Proszę więc określić przybliżoną dawkę - zwrócił się do naukowca St. Ives.

- Pół kwarty dziennie, w dwóch porcjach, dopóki wystarczy leku. Aha,

jeszcze jedno. Proszę trzymać to w bardzo chłodnym miejscu.

- Rozumiem - powiedział St. Ives.

Jeszcze jeden kłopot. Będzie musiał rozmówić się z matką Narbona. Można ostatecznie trzymać lekarstwo na zewnątrz, chociażby na dachu. Londyńska jesień jest wystarczająco zimna. Miał nadzieję, że kobieta nie będzie zbyt zaprawiona dżinem i zrozumie, o co chodzi. Nie miałby jej zresztą za złe, gdyby nie zrozumiała nic - oto pojawia się jakiś dziwny jegomość, prosto z przyszłości, ze słoiem bulionu pod pachą. Mógłby ostatecznie przedstawić się jako anioł miłosierdzia, może nawet pokazać swój batyskaf, by ją przekonać. Albo jeszcze lepiej - ofiaruje jej sakiewkę pełną pieniędzy i obieca, że wróci z jeszcze większą sumką, jeśli będzie postępować dokładnie według instrukcji. Wspaniały pomysł - tylko że nie miał przy sobie ani grosza. Będzie jeszcze musiał wpaść do siebie, by zabrać trochę monet. Nagle poczuł straszliwy głód. Kiedy to ostatni raz jadł cokolwiek? Z osiemdziesiąt lat temu, lekko licząc.

Wziął od Fleminga słój. Tak więc miał już to, po co przybył, ale nie mógł przepuścić takiej okazji. Tu, w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, w laboratorium patologii, ma przed sobą człowieka, który niewątpliwie jest jednym z największych umysłów w swojej dziedzinie. Widział tutaj pełno rozmaitych nie znanych sobie urządzeń. Musi przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego rosołowego eliksiru.

- Pan wybaczy, ale pewne zagadnienia wciąż pozostają dla mnie niejasne - zwrócił się do naukowca. - Czy może mi pan zdradzić, jak pan doszedł do tego... penicylium?

Fleming splótł dłonie, po czym zaczął prostować palce, jakby się szykował do dłuższej przemowy, zamierzając opowiedzieć tę historię w najdrobniejszych szczegółach.

- No cóż - zaczaj - właściwie o wszystkim zdecydował przypadek. No, może prawie o wszystkim...

Nagle Hasbro wyjął z kieszeni zegarek, a jego twarz wykrzywił grymas przerażenia.

- Nasz pociąg! - przerwał wywód Fleminga.

- Do diabła z pociągiem - St. Ives spojrzał na służącego ze źle skrywaną niechęcią.

- Obawiam się, że nie mogę panu tym razem ustąpić, sir - Hasbro wsunął dłoń do kieszeni płaszcza, jakby ukrywał jakiś decydujący argument.

St. Ives był wściekły. Nie wykorzystać takiej okazji! Trzymają go tu na krótkiej smyczy, nie ma co. Ale Hasbro był śmiertelnie poważny i to kazało St. Ivesowi mieć się na baczności; wiedział aż za dobrze, że w takich chwilach nie ma sensu się z nim spierać, służący i tak postawi na swoim. Pewne jak amen w pacierzu. A kiedy był tak nieprzejednany, to zazwyczaj miał ku temu powody.

Wyszli więc z laboratorium i udali się prosto na stację, by po niecałych pięciu minutach oczekiwania wsiąść w pociąg do Harrogate. Wkrótce jechali już autem do dworu, a St. Ives przez całą drogę nie rozstawał się ze słoikiem. Wreszcie zatrzymali się na łące, w pobliżu silosa. Hasbro już trzymał w ręku klucz od kłódki. Wyglądało więc na to, że St. Ivesowi nie uda się wstąpić do domu. Szkoda. Nie miałby nic przeciwko jeszcze jednej małej szklaneczce porto, zanim znów powróci do przeszłości. Ale nie będzie nalegał. Nie chodziło nawet o to, że Hasbro by się upierał, ale należało zachować godność. Najlepiej będzie, jak się zastosuje do instrukcji - wynieść się stąd jak najszybciej. Miał już przecież to, po co tu przybył.

- Na mnie już czas - powiedział.

- Życzę dużo szczęścia, sir.

- Zobaczymy się, jak już będzie po wszystkim.

- Na pewno. Z przyjemnością postawię panu wtedy drinka.

- Możesz mi postawić dwa - rzucił St. Ives, maszerując przez zachwaszczoną łąkę w kierunku silosa. - Ja ci też postawię dwa - krzyknął i odwrócił się, by pomachać mu po raz ostatni. Hasbro wciąż tkwił w miejscu - stary, wypróbowany przyjaciel, który martwi się, bo wie, że wyprawa St. Ivesa może być niebezpieczna, ale jest nieunikniona. A może zwlekał z odejściem, bo po prostu chciał mieć absolutną pewność, że jego panu w ostatniej chwili nie strzeli do głowy coś głupiego.

Wreszcie znalazł się wewnątrz batyskafu. Owinął słoję w swój nowy płaszcz i umieścił go bezpiecznie pod fotelem, zanim zajął się instrumentami. Cały świat był do jego dyspozycji, ale zdecydował się zostawić współrzędne przestrzenne tak, jak były. Wróci po prostu w to samo miejsce do swoich czasów, może tylko dwie godziny później, bo nie chciał natknąć się na Parsonsa, kręcącego się w pobliżu silosa.

Gdy już wykonał skok w czasie, odczuł wielką ulgę. Westchnął i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Uśmiechnął się, gdy przypominał sobie o zakładzie, który zawarł z Flemingiem. Dla St. Ivesa z przyszłości cała znajomość przeszłych doświadczeń nie warta była złamanego grosza. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zajął się obstawianiem meczów krykieta. Nie mieściło mu się to w głowie. Miał teraz nauczkę. Jak oni się nazywali? Harrogate Haberdashers? Roześmiał się w głos. Ale się zdziwi! Mniej więcej w tym czasie St. Ives z przyszłości powinien wysłuchiwać relacji Hasbro o jego krótkiej wizycie.

Wydostał się z maszyny, skonany jak górnik po szychcie, ale wciąż nie przestawał się uśmiechać. Parsonsa ani śladu - wokół nic, tylko cisza. W silosie było dość ciemno, ale bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że zaszła tu jakaś bardzo subtelna zmiana. Oblał go zimny pot. Niedobrze. W pierwszej chwili nie potrafił jednak określić, co to takiego. Jego narzędzia leżały porozrzucone,

tak jak je zostawił... Jest! Napis kredą na ścianie. Teraz treść przesłania była jednak całkiem inna. Wyraźne, duże litery układały się w taką oto informację: Harriers 6, Wolverines 2.

Rada pani Langley. Pozostawanie tutaj niosło ze sobą zbyt duże ryzyko. St. Ives miał ochotę wreszcie przespać się, coś zjeść, a potem posiedzieć w gabinecie i pogapić się w ścianę. Jednak lekarstwo nie mogło czekać. Wydawałoby się, że czego jak czego, ale czasu nie powinno brakować, a tymczasem nigdy jeszcze nie był tak bardzo świadom jego upływu.

Wślizgnął się do domu przez drzwi gabinetu i zabawił tam tylko tyle czasu, ile potrzebował, by zabrać stamtąd sakiewkę z dwudziestoma funtami w srebrze. Czym prędzej, nawet się nie oglądając, pognął z powrotem do silosa, wspiął się do wnętrza maszyny i odpłynął w kierunku Limehouse z połowy stulecia.

Przybył tu tydzień wcześniej niż poprzednim razem. Dzieciak nie będzie jeszcze tak wycieńczony. Było już po północy i gdy spojrzął w dół na Pennyfields, wszystko wyglądało tak samo jak wtedy. Nie było tylko mgły i księżyc świecił wysoko na niebie. Stara kobieta siedziała na swoim miejscu, pośród sterty rupieci. Marynarze wchodzili i wychodzili z okolicznych barów. Tętniąca nocnym życiem ulica pozostawała jednak obojętna na rozgrywający się na poddaszu tego domu mały dramat.

St. Ives otworzył okno mansardy, ostrożnie wszedł do środka i postawił słoń pod parapetem. Chłopiec spał na podłodze, ale nie tak blisko okna, jak wtedy. Oddychał ciężko - był to niewątpliwie objaw, że płuca zostały już zaatakowane. Leżał na plecach, z poszarpanym kocem naciągniętym pod brodę. Oprócz niego nie było w pokoju nikogo.

- Niech to szlag - syknął St. Ives. Musiał koniecznie porozmawiać z jego matką; nie może przecież sam zjawiać się tutaj dwa razy dziennie, by karmić małego bulionem. Nie przychodziło mu do głowy nic lepszego, jak wrócić do batyskafu i wprowadzić nowe współrzędne. Może powinien zjawić się tu trzy godziny później, a może dzień wcześniej. Zaczynał mieć tego dosyć. Powinien teraz przynajmniej nakarmić chłopca, na dobry początek. Zawieranie przyszłości może okazać się ryzykowne. Trzeba robić co się da... - pomyślał.

Akurat wtedy rozległ się za drzwiami jakiś hałas. Usłyszał najpierw piskliwy śmiech kobiety, potem niski męski głos i znowu śmiech. Zachrotał klucz w zamku i St. Ives rzucił się ku oknu, nie chcąc, by odkryto jego obecność. Drzwi otworzyły się jednak zbyt szybko, zaniechał więc ucieczki i odwrócił się z typowym dla urzędników wyrazem dezaprobaty na twarzy. Będzie się musiał jakoś wykpić, udawać, że jest... kim? Może jego poważny, dostojny wygląd załatwi sprawę. Co za szczęście, że się ogolił i przystrzygł włosy.

W drzwiach stanęła kobieta, zapewne matka chłopca. Była całkiem młoda i można by nawet powiedzieć, że dość ładna, gdyby nie pewna surowość jej rysów i ogólne niechlujne wrażenie. Do tego miała niezłe w czubie i chwiała się jak młode drzewko na wietrze. Spojrzała zdumiona na profesora, trzeźwiejąc niemal natychmiast. Przez chwilę rozglądała się po pokoju, jakby chciała się upewnić, czy aby nie otworzyła obcych drzwi przez pomyłkę; zaraz jednak jej twarz przybrała wyraz już nie zaskoczenia, a wściekłości.

- Co pan tu robi? - zapytała. Stojący za nią mężczyzna patrzył tępo na St. Ivesa. On również musiał już sporo wypić, na pewno więcej niż ona. Wyraz zwątpienia pojawił się w jego oczach i zrobił krok do tyłu.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał St. Ives, wskazując głową na mężczyznę. Starał się, by jego głos zabrzmiał możliwie najbardziej zdecydowanie i ostro, jakby coś się za tym kryło. Tamten wykonał nagły zwrot w tył, odbił się od ściany korytarza i wkrótce jego kroki zadudniły na schodach; wreszcie trzasnęły na dole drzwi i zapadła cisza.

- No i pół korony szlag trafił - powiedziała kobieta z pretensją. - Nie jestem żadną ulicznicą, więc jeśli nasłał tu pana właściciel domu, niech mu pan powie, że zawsze płacę komorne na czas i że byłoby dużo mniej ulicznych dziewczynek, gdyby nie zdzierali tak z człowieka za byle klitkę.

- Bynajmniej, dobra kobieto, nikt mnie nie nasłał - odrzekł St. Ives, zaskoczony nieco elokwencją swej rozmówczynie. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że miał przed sobą żonę sławnego - choć była to raczej ponura sława - naukowca. Zrobiło mu się jej żal. Taka jeszcze młoda, a tak nisko upadła. W jej twarzy było coś z dawnej wiejskiej dziewczyny, zakochanej w człowieku, który wzbudził jej podziw. Teraz była prostytutką w tanim hotelu.

Wciąż stała w drzwiach, czekając na jego wyjaśnienia. St. Ives zrozumiał, nie bez zażenowania, że ona najwyraźniej się czegoś spodziewa. Czego? Może tego, że jednak zainkasuje te pół korony. Jej spojrzenie wydawało się mówić, że St. Ives wygląda raczej na człowieka z West Endu, a nie na marynarza włóczącego się po Pennyfields w oczekiwaniu na wyjście w morze.

- Jestem lekarzem, proszę pani.

- Doprawdy? - kobieta weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. - Nie ma pan przypadkiem przy sobie odrobiny dżinu? No tak, doktor. To już chyba prędzej brandy - próbowała obdarzyć profesora zalotnym spojrzeniem, ale jej twarz, nie przyzwyczajona widocznie do takich sztuczek, wykrzywiła się tylko w przykrym grymasie. Nie dodało jej to uroku, wręcz przeciwnie. Widać było, że jest wypalona wewnątrz. Już niewiele pozostało w jej oczach z wiejskiej dziewczyny zakochanej w naukowcu, a pewnego dnia dżin i ulice Limehouse dokończą dzieła zniszczenia.



- Obawiam się, że nie mam przy sobie brandy. Ani dżinu. Przyniosłem za to ten oto słoik bulionu. - St. Ives wskazał na stojące pod oknem naczynie.

- Co to niby ma być? - kobieta patrzyła na niego, jakby nie dowierzała własnym uszom.

- Bulion, proszę pani. A właściwie coś w rodzaju eliksiru. Dla dziecka - profesor skinął głową w kierunku śpiącego chłopca, który akurat obrócił się i leżał teraz z twarzą przyciśniętą do zagrzybionej podłogi. - Pani syn jest bardzo chory.

Na te słowa kobieta spojrzała nieprzytomnie na chłopca.

- Nie jest bardziej chory niż ten świat.

- Niestety, jest o wiele bardziej chory, niż pani myśli. Jeśli pozostawimy go samemu sobie, to umrze w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

- Kim pan u diabła naprawdę jest? - zapytała matka chłopca, zapalając stojącą na kredensie lampę. Pokój zalała żółta poświata i smuga kopcia uniosła się ku czarnej plamie na suficie.

- Mówi pan, że umrze?

- Jestem przyjacielem pani męża - St. Ives wymyślił to kłamstwo na poczekaniu. - Obiecałem mu, że tu wstąpię, by sprawdzić, jak miewa się jego syn. Wasz syn. Byłem tu już trzy razy, ale nikt nie odpowiadał na moje pukanie, więc w końcu zdecydowałem się wejść przez okno. Jak już mówiłem, jestem lekarzem. Uprzedzam panią, że chłopiec umrze.

Na wzmiankę o mężu kobieta opadła na stojące przy stole krzesło i skryła twarz w dłoniach. Trwało to tylko przez chwilę; zaraz wzięła się w garść i uniosła głowę, by spojrzeć na St. Ivesa. W jej oczach odżyła dawna złość.

- Czego więc pan tutaj chce? - zapytała. - Streszczaj się pan, a potem wynoś się stąd.

- Ten eliksir - powiedział St. Ives, zbliżając się do dziecka - jest naszą jedyną nadzieją, jeśli chcemy go uratować.

W tym momencie chłopiec obudził się i drgnął zaskoczony, widząc pochylonego nad sobą obcego człowieka.

- Wszystko w porządku, kotku - uspokoiła go matka i ukłękła obok, głaszcząc jego rozwichrzone włosy. - Ten pan jest doktorem i przyjacielem twojego ojca.

Słyszając to, dziecko spojrzało na St. Ivesa z takim wstrętem i nienawiścią, że profesor o mało nie odskoczył do tyłu. Ludzka nędza miała więcej twarzy, niż mógł sobie wyobrazić.

- Czy ma pani tutaj jakąś filizankę? - zapytał kobietę. Sięgnęła po stojącą na kredensie szklanekę - tę samą, którą St. Ives miał tydzień później wykorzystać do...

Do czego? W głowie miał taki mętlik, że omal nie stracił równowagi.

- Ostrożnie! - krzyknęła kobieta i wyjęła z rąk profesora napełnione w

połowie naczynie.

- W porządku - uspokoił ją St. Ives. - Proszę dopilnować, żeby to wypił.

Do dna.

- Cały ten słój? Koń nie dałby rady tyle wypić.

- Proszę mu podawać dwie szklanki dziennie, aż wypije wszystko.

Trzeba tego przestrzegać, jeśli chce pani, by syn przeżył.

Kobieta patrzyła na niego badawczo i zawahała się przez moment, jakby chciała powiedzieć, że życie nie jest warte aż takiej fatygi.

- Grzeczny chłopczyk - odezwała się w końcu i odstawiła szklankę z powrotem na kredens. - Śpij dalej, kotku - powiedziała do syna, który zaraz naciągnął koc na głowę i znów odwrócił się do ściany, podczas gdy ona poprawiała włosy, jakby wciąż liczyła na to, że może St. Ives okaże się wart więcej niż te pół korony, które przepadły wraz z marynarzem.

- Cóż, ja tylko... - profesor szukał odpowiednich słów, zbliżając się powoli do okna. Jeszcze raz spojrzął na pękate naczynie z bulionem. W pośpiechu omal nie zapomniał o najważniejszej sprawie. - Trzeba to przechowywać w zimnym miejscu. Radziłbym pani trzymać ten słój na dachu, za oknem - powiedział, zadowolony, że przerwał tę kłopotliwą ciszę.

Prawdę mówiąc, ten pokój był tak zimny, że również świetnie nadawał się do tego celu. Skorzystał jednak z pretekstu, by otworzyć okno i wyjść na zewnątrz. W pośpiechu omal nie poślizgnął się na dachówce. Podniósł się i otrząpał kolana.

- Ma pan zamiar wyjść stąd przez dach? - zapytała urażonym głosem, choć nie mogła mieć już wątpliwości, że St. Ives właśnie to chce zrobić. Okazał zupełną obojętność na to, co chciała mu zaoferować. Najpierw spłoszył marynarza i... co teraz? Będzie musiała znowu wyjść na ulicę. - Schody panu nie wystarczą? - podniosła głos. - Może boimy się, że nas zobaczą, jak wychodzimy od ulicznicy, co? Cholerny doktorek!

St. Ives najpierw niepewnie przytaknął, ale zaraz zreflektował się i gwałtownie zaprzeczył.

- Mój, że tak powiem, powóz...

- Czeka tu, na dachu?

- Tak, to znaczy, chciałem powiedzieć - jąkał się St. Ives - chodzi o pieniądze.

- Niech się pan wypcha swoimi pieniędzmi. Nie wzięłabym ich, nawet gdybym miała skonać. Może pan je wcisnąć komuś innemu. Jeśli mój syn wydobrzeje, będę panu wdzięczna, ale teraz wynoś się pan stąd razem z forszą.

- To nie są moje pieniądze, zapewniam panią. Jakies cztery lata temu założyłem się z pani mężem o małą sumkę i teraz winien mu ją jestem wraz z należnymi odsetkami. - Tu profesor wyjął z kieszeni zabraną z gabinetu wypchaną sakiewkę, której zawartość bez wątpienia olśniłaby kobietę. Na

pewno się jej te pieniądze przydadzą. Wahała się tylko przez chwilę, szybko chwyciła woreczek z pieniędzmi. Ile to dzinu będzie można za to kupić...

Oto straciłem kolejne dwadzieścia funtów - pomyślał St. Ives. Ale nic to. Pewnego dnia, w dość dalekiej przyszłości, odbije to sobie na profesorze Flemingu. W końcu czas i sposobność...

St. Ives, nie mając już nic więcej do powiedzenia, uchylił kapelusza i pomaszzerował przez dach ku maszynie. Musi zawierzyć losowi. Wspiął się do środka i, niemal bezmyślnie, ustawił na nowo parametry. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że rozmawiając z kobietą tam, w pokoju, ani przez chwilę nie utożsamiał chorego chłopca z doktorem Ignaciem Narbondo. Jakby nie istniał żaden realny związek pomiędzy tymi dwiema osobami. Nawet wyraz twarzy tego dziecka, gdy wspomniał o jego ojcu... ta nienawiść, normalnie nie spotykana u jego rówieśników. Aż słabo się robi na samą myśl...

Gdy uruchamiał maszynę, po raz ostami spojrzął przez iluminator. Zdumiona kobieta wciąż stała w otwartym oknie, ściskając w ręku jego sakiewkę. Wkrótce zniknęła mu z oczu razem z całym światem i St. Ives znów przemierzał ciemny tunel czasu, widząc twarz kobiety już tylko jako obraz utrwalony pod powiekami.

Pozostało mu jeszcze jedno zadanie do wykonania. Musi odwiedzić panią Langley. Przywołał w pamięci scenę, kiedy jego gosposia szarżuje przez łąkę w kierunku silosa, gotowa w jego obronie zbić napastników wałkiem na kwaśne jabłko. St. Ives zadumał się nad faktem, że wszelkie dobra tak łatwo trafiają się małej grupie wybranych, natomiast wszyscy inni harują jak konie tylko po to, by zachować te nędzne skrawki, które są ich udziałem.

Tym razem wylądował na trawniku, dokładnie naprzeciw swego gabinetu. Nie podniósł się z fotela od razu; potrzebował trochę odpoczynku. Wnętrze silosa zajmowała „wersja” batyskafu z przeszłości, która nie zdążyła się jeszcze zdematerializować. Jak zauważył St. Ives z przyszłości w swojej złośliwej notatce, lepiej unikać lądowania w tym miejscu.

Profesor próbował określić sekwencję przyszłych wydarzeń. Wkrótce, w ciągu najbliższych dwóch godzin, dawny on wybierze się bez butów do letniej rezydencji lorda Kelvina, by ustalić ostatnie techniczne szczegóły, bez znajomości których nie mógł uruchomić maszyny. Ale na razie rozpadał się na pojedyncze atomy, z wolna posuwając się ku drzwiom gabinetu. Cóż na to poradzić? Sam był sobie winien, że potraktował panią Langley jak niewolnicę, więc teraz, o ile nie jest zakutym łbem, nie powinien mieć do nikogo pretensji z powodu tej krótkiej wizyty.

Profesor odczekał jeszcze kilka sekund i wyszedł na zewnątrz, nerwowo wypatrując Parsonsa, choć wiedział dzięki swoim wycieczkom, że powinien bez problemu załatwić sprawę, zanim sekretarz zacznie tu węszyć. Wyjął zegarek, by sprawdzić, ile jeszcze ma czasu, po czym wszedł przez okno do

gabinetu. Nie mógł patrzeć na swoje biurko, na to pobojowisko połamanych gratów, które zmiądzzył żelaznym słoniem.

Nagle poczuł tak potężny zawrót głowy, że aż się zachwiał i byłby upadł, ale zdążył przytrzymać się oparcia fotela i przeczekać atak. W pierwszej chwili pomyślał, że to jedno z jego przyszłych wcieleń składa mu wizytę i teraz pokój będzie okupować dwóch niewidzialnych St. Ivesów. Wehikuł czasu pozostałby więc bez opieki, gdyby nie to, że sam również zniknie. Profesor był wściekły. Co za głupi przypadek.

Ale słabość minęła, a jego ciało wciąż było nieprzejryste. Nie zniknął. Cóż więc to mogło być? Coś złego działo się z jego świadomością, jakby traciła ciągłość, jakby pojawiły się w niej luki. Zawodziła go pamięć. Całe jej obszary ulatniały się jak dym. Niewyraźnie pamiętał, że dwukrotnie odwiedzał Limehouse, ale nie mógł sobie przypomnieć, po co. Wydarzenia ostatnich kilku godzin - wyjazd do Oxfordu, a potem powrót do Limehouse, by dostarczyć chłopcu lekarstwo - były jeszcze dla niego jasne. Ale dlaczego myślał o „powrocie do Limehouse”? Czy znaczy to, że naprawdę był tam już dwa razy?

Powoli nabierał przekonania, że tak, tylko że jedna z tych wizyt istniała w jego pamięci jedynie jako na wpół zapomniany sen, który rozpływał się, mimo że tak bardzo starał się go zatrzymać. Docierały do niego tylko fragmenty - zapach choroby w ciemnym pokoju, leżąca na podłodze postać dziecka, zimna szklanka przyciśnięta do ucha.

Wszystko to jednak zostało zmyte przez ocean wspomnień, które z jednej strony były dla niego nowe, z drugiej zaś wydawały się być nieodłączną częścią jego osobowości. Te nowe wspomnienia były zmaćcone, wzburzone, pomieszane; jedne przesłaniały drugie. Błądły z każdą chwilą, jak obrazy na falach oceanu pamięci - szklanka, świeca, ciężka księga leżąca na zniszczonym stole. Dalej, na horyzoncie, unosiły się inne fragmenty jego pamięci, już zbyt odległe, by je rozróżnić. Przez czas jakiś tkwił tak zawieszony między czasem - ni to przeszłości, ni teraźniejszości, i tylko sztorm szalał w jego głowie. Wreszcie morze zaczęło się uspokajać i jego rzeczywista pamięć powróciła na miejsce, do swego dawnego kształtu i porządku - zwarta, pełna, prawdziwa.

Szczałki przeszłości - przyszłości? - wciąż jednak utrzymywały się na powierzchni, na wpół zanurzone; rozpoznawał nawet niektóre z nich, choć wiedział, że wkrótce zatoną. Już na zawsze.

Gorączkowo przerzucał rzeczy na biurku w poszukiwaniu pióra i atramentu. W końcu znalazł je i zaczął pisać. Z wysiłkiem przywołał w pamięci wrażenie dotyku twardej, zimnej szklanki przy uchu. Gdy mu się to w końcu udało, wydarzenia z pierwszej wizyty w Limehouse zawitały raz jeszcze, jak słabnąca fala - wymieszane, rozmyte obrazy i strzępy myśli. St. Ives wstrzymał oddech i tylko pióro skrzypiało o papier. W pewnej chwili

wszystko zawirowało i znów znikło; przepadł nawet zimny dotyk szklanki. Co ciekawe, był świadom, że jeszcze kilka sekund temu wyobrażenie tego naczynia miało dla niego jakieś specjalne znaczenie. Wiedział nawet dokładnie, o jaką szklanę chodzi, potrafił przedstawić ją sobie ze wszystkimi szczegółami. Teraz widział ją napełnioną do połowy bulionem, którym matka karmiła chorego syna, przemawiając do niego pieszczotliwie.

Pośpiesznie przeczytał to, co zdążył już napisać - skrawki pamięci ujęte w nie dokończone zdania: „Kobieta na łóżku. Chrapie. Dziecko pod nogami. Wycieńczone, rozgorączkowane. Rozpoznanie - pneumococccis meningitis. Chłopiec bliski śmierci. Zapalenie opon mózgowych powoduje deformację kręgosłupa - czy dlatego Narbondo garbusem? Zostawiony płaszcz, pieniądze na stole. Sprawdzić, czy Parsons nie czai się gdzieś w pobliżu...” I tak dalej w tym stylu, aż w końcu notatka się urwała. Co to wszystko mogło znaczyć? Teraz już nie miał pojęcia. Te zapiski były dla niego jedynie literami, bez żadnego odniesienia do rzeczywistości. Jaki płaszcz? Miał go przecież na sobie. A może miał na sobie coś, co dopiero później stało się jego płaszczem? Garbus? Narbondo garbusem? Umysł St. Ivesa pracował na najwyższych obrotach, by nadać temu jakiś sens. Przecież Narbondo nie był żadnym garbusem. I dlaczego Parsons miałby czaić się w pobliżu? Przecież nie był tu człowiekiem obcym, odkąd lord Kelvin odkrył, że St. Ives jest w posiadaniu jego maszyny. Przychodził codziennie, by upominać się o jej zwrot.

Profesor kątem oka zauważył jakiś nieokreślony kształt, ale gdy odwrócił głowę, już go nie było. Hm, przysiągłby, że widział skulone ciało człowieka leżącego na podłodze pod drzwiami. Serce St. Ivesa biło jak szalone; przymknął oczy i szukał rozwiązania zagadki. Ale nie widział nic. Tylko dalej, na łące, pośród polnych kwiatów, stała jego maszyna - wyglądała jak olbrzymia dziecinna zabawka. Gdy St. Ives odwracał od niej wzrok, na obrzeżu pola widzenia znów dostrzegł ten kształt. Nie przestawał wpatrywać się w jeden punkt - w nicość. To coś leżało pod drzwiami; musiałyby na to nadepnąć, kiedy przez nie wchodził. To on z przeszłości leżał tam, gdzie upadł. A właściwie był to jego duch - nie ogolona, rozczochrana zjawa, czekająca, aż St. Ives z przyszłości opuści pokój.

Duchy, zjawy. To wszystko brało się z wzajemnego przenikania światów - jeden znikał, gdy materializował się drugi. Tak jak konkretne przedmioty - on, maszyna, właściwie wszystko rozpadało się, gdy kopia jakiegoś obiektu przybywała z innego punktu na osi czasu. To samo dotyczyło pamięci. Dwa sprzeczne epizody z przeszłości nie mogły egzystować w pamięci obok siebie; jedno wspomnienie musiało zająć miejsce drugiego. Kimkolwiek Narbondo był wcześniej, czy może - kim by się stał, gdyby St. Ives pozostawił go samemu sobie, z pewnością teraz już był kimś innym. St. Ives napił go lekarstwem Fleminga, dzięki czemu wyzdrowiał. W rezultacie

na jego plecach nie wyrósł później garb, co musiało stać się w tej innej historii, którą St. Ives zdołał wymazać. Znaczyło to, jeśli St. Ives rozumował prawidłowo, że dziecko i tak by nie umarło. Wróciłoby do zdrowia, choć zdeformowane przez ciężką chorobę.

Znów ogarnął go strach. Tym razem to zrobił. Stał się ofiarą własnego współczucia; igrał z przeszłością i w rezultacie powrócił do innego świata, niż ten, który opuścił. Jak bardzo różnił się ten świat, tego nie wiedział. Nie pamiętał. Nie miało to zresztą znaczenia, bo przecież i tak nie można było odzyskać tego utraconego fragmentu dziejów. Wszystko to przestało po prostu istnieć. Nieodwołalnie.

Jakim głupcem się okazał, tak beztrąsko wędrując w czasie, jakby był na niedzielnej przechadzce. Dlaczego na litość boską St. Ives z przyszłości go nie ostrzegł? Przeklęty stary głupiec. Może mógłby jeszcze wrócić tam i próbować „odkręcić” zmiany, których dokonał, gdyby nie to, że te zmiany zaszły ponad pięćdziesiąt lat temu. Musiałby wrócić do Limehouse i przekonać samego siebie, żeby nie zostawiać eliksiru Fleminga matce chłopca, tylko spuścić go z dachu na bruk i pozwolić dziecku cierpieć... Hmm...

Wracając tam mógłby nawet pogorszyć rzeczywistość. Był tego świadom. Westchnął, czując, że nareszcie pojmuje, o co chodzi. Cóż miałoby to znaczyć? Wszystko mogło się jeszcze zmienić - może na lepsze? Może jednak Alicja żyje? Dlaczego nie? Na chwilę ogarnęła go fala optymizmu, ale na krótko. Ona na pewno nie żyje. Zmiany nie mogły zajść aż tak daleko. St. Ives myślał intensywnie, próbując wydobyć z tego jakiś sens. Oto ma przed sobą zagracone biurko i nie ogolonego sobowtóra, zjawę leżącą jak kłoda przy drzwiach. Czy nie mogło to posłużyć za, wątpliwy wprawdzie, dowód, że ten świat jest niemal idealnie podobny do tego, który diabli wzięli?

Co więcej, on go pamiętał. Pamiętał, jak wyszedł z domu bez butów, jak wreszcie udało mu się uruchomić maszynę, jak ocalił psa Bingera... pamiętał, jak Alicja zginęła w Seven Dials.

Ale gdzie jest pani Langley? Musi przecież się z nią natychmiast rozmówić. Wyjaśnić jej wszystko i uciekać stąd. Tylko jeden dzień dzielił go od jego rzeczywistego czasu. Tak, musi tylko zminimalizować szkody i pora wracać do domu.

Zastał ją w kuchni. Wszedł tam w chwili, gdy poczciwa kobieta pakowała do torby swój skromny dobytek. Gdy skończy, odejdzie do domu swojej siostry. Jej twarz wyrażała zdecydowanie, ale oczy były zaczerwienione. Na pewno bardzo to przeżywała. St. Ives znenawidził siebie w tej jednej chwili. Gotów był paść na kolana i błagać o wybaczenie, ale pamiętał, że pani Langley nie znosiła takiego braku godności; on zresztą też.

- Pani Langley - odezwał się. Kobieta spojrzała na niego gniewnie. Usta miała mocno zaciśnięte. Chyba nie ustąpi tak łatwo. A niech to; ona

rzeczywiście chce odejść do siostry, i to zaraz. To trwało już zbyt długo, a ona nie ma zamiaru dłużej znosić takiego traktowania, takiego tonu. Nigdy więcej - odczytał z jej miny.

Ale przecież - pomyślał z radością St. Ives - ona w końcu jednak zostanie. Zostanie, by kiedyś rzucić się z wałkiem na starego Parsonsa. A więc powie mu się przynajmniej w tej jednej małej sprawie. Gospościa patrzyła na niego w taki dziwny sposób, jakby miał na głowie śmieszny kapelusz.

- Ze mną już wszystko w porządku - oznajmił. Kobieta przytaknęła, ale po oczach mógł poznać, że mu nie wierzy. Patrzyła na niego, jakby dopiero teraz zupełnie postradał zmysły, i to bezpowrotnie. Profesor odruchowo pogłaskał się po policzku, myśląc, że coś... Zaraz, zaraz. Oczywiście! Nie był przecież tym samym człowiekiem, co pół godziny temu - gładko ogolony, włosy schludnie przycięte. Na dodatek miał na sobie ubranie ze śmiesznymi wyłogami, utkane z wełny, która pochodziła z nie istniejących jeszcze owiec. Był człowiekiem noszącym piętno przyszłości, ale nie mógł jej tego wyjaśnić nie narażając się na kolejny kłopot.

- Chciałem właściwie powiedzieć, że bardzo żałuję tego idiotycznego wybuchu złości. Miała pani absolutną rację, pani Langley. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie powinienem robić pani takiej awantury o uprzątnięcie biurka. Wiem, wiem, to nie był pierwszy raz. Bardzo mi z tego powodu przykro. Widzi pani, byłem... było mi bardzo ciężko. Tęskniłem za Alicją, i to wszystko. Próbuję to jakoś naprawić, ale na razie nie bardzo mi wychodzi i... - profesor zaczął się jąkać i nie mógł już dalej mówić. Zapomniał o tym, że miał się nie ponizać i zaczął bezwstydnie płakać, zakrywając twarz ręką. W pewnej chwili poczuł, że pani Langley w geście pocieszenia ściska go za ramię. Wreszcie zdołał powstrzymać łzy i stał tak pociągając nosem. Czuł się bardzo głupio, na dodatek dostał czkawki.

Gospościa przyniosła mu szklanekę wody, którą z ulgą wypił.

- Nie każdy człowiek - odezwała się w końcu - potrafi przyznać się do błędu. Często boimy się, że nam korona z głowy spadnie. - Kobieta podkreślała swoje słowa powolnym, miarowym ruchem głowy. - Nie jest źle popłakać od czasu do czasu. To jak deszcz - zmyje każdy brud.

- Niech panią Bóg błogosławi - odparł St. Ives - pani jest naprawdę święta.

- To tylko pozory. Ale nie będę ukrywała, że pan nie jest stworzony do świętych uczynków. Może ma pan jakąś iskrę w sobie, ale brak panu odporności psychicznej. Gdybym była na pańskim miejscu, czym prędzej poszukałabym innego zajęcia. Proszę wracać do swoich badań, tak będzie najlepiej.

- Dziękuję pani. - St. Ives zdołał już się opanować. - To właśnie mam zamiar uczynić, dokładnie tak, jak pani radzi. Pozostała mi jednak jeszcze

jedna sprawa do załatwienia. Bóg mi świadkiem, że jeżeli istnieje na tym świecie osoba, którą chciałbym zabrać ze sobą, by pomogła mi się z tym uporać, to właśnie pani, pani Langley.

- Cóż, potrafię rozwałkować ciasto, ale chyba niewiele więcej.

- Proszę tak nie mówić. Jest pani prawdziwym filozofem, nawet jeżeli pani o tym nie wie. Od dziś podważam pani pensję.

Gospośnia próbowała protestować, ale St. Ives przerwał jej jednym ruchem ręki.

- Muszę się śpieszyć - oznajmił. - Odchodzę, a pani niech się tu rządzi.

Zostawił ją samą i wrócił do gabinetu, by wyjść oszklonymi drzwiami; uważał, by nie postawić nogi w tym miejscu, gdzie spoczywał niewidzialny duch. Udał się wprost do batyskafu i natychmiast wystartował. W tym momencie St. Ives z przeszłości powinien się na powrót zmaterializować i przystąpić do pracy nad maszyną, nie mając pojęcia, że sprawa z panią Langley została już załatwiona. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógł przecież napisać liścik i wyjaśnić w nim, że zdołał załagodzić konflikt. Ale do diabła z tym. St. Ives z przeszłości był głupcem, może nawet większym, niż ten z przyszłości. Niewykluczone, że wpadłby na jakiś szalony pomysł i znowu pokpił sprawę, co groziło całkowitą klęską. Lepiej niech już pozostanie w nieświadomości i robi to, co do niego należy.

St. Ives przeniósł się do wnętrza silosa. Dwie godziny temu uciekł przed Parsonsem i konstabłem. Przyszło mu do głowy, że przez te dwie godziny nie istniał żaden Langdon St. Ives i świat jakoś się bez niego obszedł; działał normalnie, zupełnie ignorując jego nieobecność. Było to doprawdy przygnębiające, ale miało pewien związek z tym, co powtarzała mu pani Langley. Teraz wołał jednak o tym nie myśleć.

Na razie miał ważniejsze problemy. Wolałby jeszcze nie pozostawiać maszyny w silosie, bo to było dość niebezpieczne, ale nie mógł przecież lądować batyskafem wprost na łące za każdym razem, kiedy się tu zjawia. Parsons prosił go, jak naukowiec naukowca, aby oddał maszynę. Ona należy do Akademii - powtarzał. Parsons jednak nie wiedział wtedy, aż do tamtego popołudnia w Harrogate, że aparat działa, że St. Ives po długich staraniach usunął ostatecznie przeszkody. No cóż, teraz już wie. Nie będzie więcej próśb. Następnym razem sekretarz nie poprzestanie na przyprowadzeniu miejscowego konstabla.

St. Ives wygramolił się z trudem z batyskafu i popatrzył wokół na bezładnie porzucane narzędzia i rozmaite części. Kusiło go, by zaraz zając się doprowadzeniem wnętrza silosa do porządku, by poukładać wszystko na swoich miejscach. To tak jakby robił porządek z samym sobą. Nie miał jednak na to czasu.

Ale oto znowu ujrzał napis na ścianie. Panie, miej nas w swojej opiece -



pomyślał, ponownie zły na St. Ivesa z przyszłości. Tym razem jednak nie był to żart, lecz ostrzeżenie: „Parsons na horyzoncie. Zetrzyj to i zabierz maszynę do Bingera”.

Powrót doktora Narbondo Binger pomalutku pykał fajkę i wpatrywał się w radośnie uśmiechniętego profesora St. Ivesa, który wynurzył się do połowy z wjazdu batyskafu. Maszyna właśnie przed chwilą wyłoniła się z nicości, zaskakując tym niepomierne stojącego na pastwisku Bingera.

- Dzień dobry, panie Binger - zawołał St. Ives.

Kudłaty skakał jak szalony, uradowany widokiem gościa. On przynajmniej nie przejmował się tym, że St. Ives zjawił się znikąd. Binger spoglądał na drogę, jakby spodziewał się zobaczyć na niej choćby najmniejszy tuman kurzu. Nie wypatrzył tam jednak nic i ten fakt wydawał się wprawiać go w niejakie zakłopotanie. Wreszcie wyjął z ust fajkę.

- Czy to nie ma w ogóle kół?

- To pojazd kosmiczny - wyjaśnił St. Ives wskazując ręką na niebo. - Pamięta pan tę historię z przybyszem z obcej planety sprzed kilku lat?

- Pewnie, pewnie! - powiedział tylko Binger, kiwając skwapliwie głową. To wyjaśniało sprawę. Tłumaczyło wszystko - nagle przybycie profesora, jego dziwny ubiór, gładko ogoloną twarz i krótkie włosy. Niewiele ponad dwie godziny temu chodził po miasteczku rozczochrany i zaszczuty - wyglądał jak dzikus z Borneo. Plół wtedy coś o krowach i robił wrażenie, że bardzo się śpieszy. Teraz już wszystko wiadomo. To znowu ci obcy z kosmosu.

St. Ives zszedł z maszyny i poklepał Kudłatego po łbie.

- Czy może mi pan pomóc, panie Binger? - zapytał.

- Pewnie - odpowiedział tamten. - Powiadają, że to pan ocalił starego Kudłatego dzisiaj w miasteczku.

- Tak mówią?

- Dokładnie tak. Gadają też, że o mało co się pan przez mojego psa nie zabił, że ten wóz mógł pana stratować. To właśnie mówią.

- No cóż - St. Ives zastanawiał się, co powiedzieć - trochę to wyolbrzymiają. Kudłaty to dobre psisko. Każdy by tak postąpił.

- Ale nikt inny tego nie zrobił, młody człowieku, tylko pan. Bardzo panu za to dziękuję.

Nikt inny nie wiedział, że trzeba to zrobić - pomyślał St. Ives i poczuł się jak oszust. To nawet nie jego własna decyzja; ocalenie psa było jego przeznaczeniem. Chociaż nie, to nie całkiem tak. Ostatnie kilka godzin uczyniło „przeznaczenie” pojęciem bardzo względnym, chyba żeby przyjąć, iż w teatrze świata funkcjonowały niezliczone „przeznaczenia”, ukryte za kulisami, każde obleczone w inny kostium. Ale tylko jedno przeznaczenie pojawia się na raz - pomyślał St. Ives i przy pomocy Bingera i jego synów

zaciągnął maszynę do obory, pomiędzy krowy, po czym Binger podwiózł go spory kawałek w kierunku dworu. Profesor wolał pokonać piechotą ostatnie pół kilometra; obawiał się, że Parsons może kręcić się koło jego domu, a nie chciał, by wyszło na jaw, że Binger jest jego współnikiem.

Było już ciemno, kiedy wszedł do gabinetu i położył się na otomanie. Powtarzał sobie, że nie powinien zwlekać, że to zbyt duże ryzyko, że powinien odejść stąd natychmiast, by zrobić to, co pozostało mu jeszcze do zrobienia. Był śmiertelnie zmęczony, ale czy mógł sobie pozwolić na odpoczynek? Oczywiście, godzinna drzemka...

Ten sam natrętny obraz ulicy w Seven Dials - ten sam deszcz, błoto i ciemność, te same kontury dachów, mroczne zaułki. Tym razem jednak nie bronił się i pogрузzył się w ten sen, bardziej świadomy jego znaczenia, niż przerażony.

Następnego ranka obudził go Hasbro. Słońce było już wysoko na niebie i wiał dość silny wiatr, który wprawiał w ruch potężne konary okolicznych dębów.

- Co pan powie na wędzone śledzie, sir? - zapytał służący.

- Chętnie - St. Ives usiadł i ze znużeniem potarł twarz.

- Sekretarz Parsons już raz nas dzisiaj odwiedził, sir. Przyszedł skoro świt. Zaraz po nim zjawił się doktor Frost.

- Aha - odparł St. Ives. - Czy powiedziałaś im, żeby przyszli później?

- Tak, sir. Przyjdą w samo południe. Została jeszcze godzina.

- W porządku. W takim razie... - profesor podniósł się powoli, zastanawiając się, co takiego miał zrobić. Najpierw chyba jednak coś zje. Właśnie pani Langley wniosła talerz ze śledziami i grzanką oraz dzbanek z herbatą, a do tego jeszcze gazetę - prosto z Londynu. Pierwszą stronę zdominowały doniesienia na temat doktora Frosta, który niedawno zbudził się z długiego, lodowego snu. Wspomniano między innymi, że arcybiskup Canterbury bardzo zainteresował się opinią Frosta na temat rzekomo istniejącego wehikułu czasu, poszukiwanego przez Akademię Królewską.

Dziennikarz pisał o zdumiewającym aparacie w sposób dość sarkastyczny, sugerując, że cała sprawa wygląda na jedną wielką mistyfikację, spreparowaną dla rozgłosu przez znanego fantastę H. G. Wellsa. Frost jednak zdążył już zjednać sobie spore grono zwolenników, czy może wyznawców, i nawet uważał siebie za kogoś w rodzaju świeckiego kaznodziei. Zaczął stroić się w białe szaty, a wyznawcy gotowi byli uwierzyć, że za jego przebudzeniem kryje się jakieś mistyczne znaczenie. Frost zdobył także szerokie poparcie dla swoich roszczeń wobec domniemanego aparatu mogącego posłużyć do podróży w czasie.

Projektem, który poprzedniego dnia tak podbił serce arcybiskupa, okazało się przedsięwzięcie wyprawy ku zaraniom ludzkości, do rajskiego

ogrodu, gdzie Frost przemocą odebrałby Ewie zdradliwe jabłko i zatłukł kijem węża...

Reszta artykułu była utrzymana w podobnym tonie - dziennikarz otwarcie drwił z całej tej historii i pouczał czytelników o zgubnych skutkach łatwowierności. St. Ives nie był jednak tak skory do drwin; nie pozwalała mu na to świadomość, że Frost albo Narbondo zdolni są do sprowadzenia na ludzkość chaosu i nieszczęść. Dziennikarz miał rację, ale tak naprawdę to nic nie rozumiał. Frost przywłaszczyłby sobie maszynę, gdyby mógł, ale na pewno nie po to, by zjeść lunch z Adamem i Ewą.

St. Ives pochłonął ostatniego śledzia i obserwował teraz poruszane wiatrem trawy. Parsons również miał na to chrapkę. Sekretarz zamierzał odbyć kilka ostrożnych naukowych wypraw - on i jego kołesie. Wiedzieli już, że St. Ives ma maszynę. Nie mieli co prawda konkretnych dowodów, ale wszystko na to wskazywało. Dwa dni wcześniej zakończyli przeszukiwanie dna morskiego w pobliżu Dover - maszyny ani śladu; tylko wraki zatopionych statków. Poza tym Parsons nie ukrywał, iż lord Kelvin, nie dalej jak poprzedniego popołudnia, zarejestrował niezwykle zachowanie pola elektromagnetycznego w bezpośrednim sąsiedztwie Harrogate.

Parsons starał się postępować dyplomatycznie. Powtarzał, że St. Ives zawsze był naukowcem największego formatu, że przewyższał ich wszystkich, że był o wiele bardziej złożoną osobowością, niż przypuszczali. Zbyt wiele też włożył wysiłku, by wejść w posiadanie maszyny, za bardzo mu na niej zależało, by ją zniszczyć. Sekretarz doceniał to i dlatego pewnie przyszedł prosić, by St. Ives zwrócił ją dobrowolnie. Nikt na tym nie skorzysta, jeśli dojdzie do bijatyki z jej powodu, a prawo i tak było zdecydowanie po stronie Akademii.

No cóż, dzisiaj jednak dojdzie do bijatyki. St. Ives z przyszłości wiedział o tym i wrócił, by go ostrzec, pozostawiając wiadomość na ścianie silosa. Parsons miał jednak rację. Aparat rzeczywiście należał do Akademii, a już na pewno do lorda Kelvina. Ciekawe, kiedy Kelvin doszedł do wniosku, że to właśnie on, St. Ives, jest w posiadaniu maszyny? Niewykluczone, że domyślał się tego przez cały ten czas i że celowo pozwolił mu zrobić z niej użytek, zamierzając skonfiskować ją później, gdy jej przydatność zostanie już sprawdzona. Ale oto zjawił się Hasbro.

- Sekretarz Parsons - zaanonsował gościa.

- Powiedz mu, żeby dał mi pięć minut czasu. Możesz poczęstować go herbatą.

- Oczywiście, sir.

St. Ives wstał, wygładził ubranie, poprawił włosy i raz jeszcze wyszedł przez okno, by popędzić co tchu ku małej stajence na tyłach powozowni. Czekający w saloniku Parsons nie będzie mógł go stamtąd zobaczyć, a mając

już na starcie pięć minut przewagi, St. Ives nie przejmował się specjalnie tym, co sekretarz ujrzy później. Silos tkwił na swoim miejscu, ale tym razem jego drzwi były otwarte. A więc zdążyli się już włamać; zamierzali tak po prostu wejść i wynieść stamtąd aparat. No, jednak się przeliczyli. To tyle, jeśli chodzi o dobrowolność... St. Ives roześmiał się w głos.

Pośpiesznie zarzucił siodło na grzbiet starego Bena, który na co dzień chodził w zaprzęgu i teraz nadał się tak, że St. Ives nie mógł dociągnąć popręgu.

- Nie próbuj teraz żadnych swoich sztuczek, Ben - St. Ives ostrzegł konia, ale ten tylko popatrzył na niego udając, że nie wie, o co chodzi. Nie było czasu na dyskusje. St. Ives musiał znaleźć się na drugim brzegu rzeki, zanim zostanie zauważony. Wskoczył więc na siodło i skierował konia przez otwartą furtkę ku rzece. Niestarannie zamocowane siodło wkrótce zsunęło się na bok i St. Ives stracił kilka cennych chwil, bo zeskoczywszy na ziemię, próbował poprawić popręg. Stary Ben znów się jednak nadał i profesor dał w końcu za wygraną; nie miał czasu na udowadnianie, kto tu jest sprytniejszy. Dosiadł konia z powrotem i przechylając się na lewą stronę, potruchtał w kierunku okalających rzekę wierzb.

Gdy przejechał przez most, ruszył klusem wzdłuż rzeki, by w końcu przedrzeć się przez zarośla na drugi brzeg. Dwór był teraz całkiem zasłonięty, więc St. Ives przynaglił Bena do czegoś, co od biedy mogło uchodzić za galop. Przejechali przez tyły ogrodu lorda Kelvina, by jak najszybciej znaleźć się na gościńcu. Profesor co chwila musiał poprawiać siodło, by nie zsunęło się całkiem na bok. Gdy znalazł się na trakcie, popędził na wschód, wychylając się maksymalnie w lewo dla przeciwwagi i trzymając głowę nisko, tuż przy szyi konia, jak prawdziwy dżokej. Staruszek Ben, jakby przypomniawszy sobie młode, beztroskie lata, gnał teraz już bez dodatkowej zachęty ze strony jeźdźca, a jego grzywa smagała St. Ivesa po twarzy.

Profesora rozbawiła ta sytuacja. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie Parsonsa, który, nieświadom niczego, popija teraz herbatę i wypytuje Hasbro, kiedy wreszcie St. Ives raczy go przyjąć. Już pewnie ziarno podejrzliwości zaczyna w nim kiełkować. Ależ z niego naiwny głupiec.

Siodło przesunęło się o kolejnych kilka cali i St. Ives uniósł się w strzemionach, by je poprawić, ale choć wyteżał siły, na nic się to zdało - przyciąganie ziemskie działało na jego niekorzyść. Prawe strzemię prawie wlokło się teraz po ziemi i St. Ivesowi nie pozostało nic innego, jak przerwać jazdę i należycie zamocować siodło. Ściągnął cugle i krzyknął: - Prrr! Stój! Gdy koń usłuchał rozkazu i zajął się skubaniem przydrożnej trawy, uwagę profesora zwrócił panujący za jego plecami zgiełk. Odwrócił się i ujrzał, nie dalej jak dwieście jardów za sobą, wzbijający piekielne tumany kurzu czterokonny zaprzęg, który właśnie balansował na zakręcie.

- Jazda! Wio! - krzyknął profesor. Koń spojrzał na niego, jakby ani myślał przerywać posiłku, ale St. Ives kopnął go w bok, wychylając się do przodu w rozhuśtanym siodle i wierzchowiec skoczył do przodu jak żreback, omal nie zrzucając jeźdźca na ziemię. Pędzili co sił, ale powóz był coraz bliżej. St. Ivesowi coraz trudniej było utrzymać równowagę, więc uchwyciwszy się lęku, próbował przesunąć się bliżej szyi konia. Pęd powietrza zerwał z jego głowy kapelusz, a poły płaszcza trzepotały niczym żagiel.

Profesor obejrzał się. Z wielką ulgą stwierdził, że jednak tamci już go nie dościgną, ale w tym momencie siodło całkiem się zsunęło, a jeździec wraz z nim. Profesor chwycił się kurczowo boku konia; potrwało jakiś czas, zanim, zacisnąwszy dłoń na jego grzywie, zdołał odzyskać równowagę. Chwycił teraz za popręg i próbował odpiąć klamrę, podczas gdy Ben pokonywał niewielkie wzniesienie. St. Ives przeklinał sam siebie, że w ogóle zawracał sobie głowę tym cholernym siodłem. Traf chciał, że popręg był teraz maksymalnie napięty i zaklinowany w tej nienormalnej pozycji. Na dodatek sprzączka znajdowała się pod jego udem, tak więc St. Ives nie mógł jej widzieć. Stary Ben wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na zmagania jeźdźca i galopował przed siebie samym środkiem drogi.

Gdy już pokonali wzniesienie, tuż przed nimi pojawił się jadący powoli, bardzo elegancki powóz, powożony przez mężczyznę w jasnoczerwonej liberii, który krzyknął coś do St. Ivesa i ściągnął z całej siły wodze, omal przy tym nie skręcając do rowu. W tym momencie w oknie powozu ukazała się siwa głowa doktora Frosta. Oczy wyszły mu niemal z orbit, gdy zobaczył, kto dosiadał rozpędzonego konia z siodłem przytroczonym do boku. Frost wołał coś za St. Ivesem, ale jego słowa uleciały z wiatrem.

Profesor jeszcze raz szarpnął popręg, czując, że wreszcie ustępuje; po chwili siodło ześlizgnęło się na drogę. Koń potknął się o nie i walczył teraz, by się nie przewrócić. St. Ives zamknął oczy i trzymał się kurczowo szyi wierzchowca, a ten w końcu odzyskał równowagę i dalej gnał w kierunku zabudowań Bingera, niczym rumak czystej krwi.

Gdy St. Ives spojrzał za siebie, wóz Frosta wciąż blokował drogę próbując zawrócić i podążyć za nim. Parsons z kolei zmagał się ze swoim zaprzęgiem, by uniknąć kolizji z wozem Frosta. Świetnie - jeden drugiemu wchodzi w paradę. Gdy St. Ives wyobraził sobie minę sekretarza, który musiał być teraz bliski apopleksji z powodu zwłoki, wybuchnął głośnym śmiechem. Ściskając szyję starego Bena, pomknął wprost przez otwartą bramę ku oborze Bingera.

- Ścigają mnie, panie Binger! - zawołał, zeskakując z konia.

- Czyżby to znowu ci z obcej planety? - zapytał Binger takim tonem, jakim farmerzy zwykle zasięgają informacji w sprawie owiec.

- Nie sądzę. Wygląda na to, że tym razem to naukowcy. Binger wyjął

fajkę z ust i zrobił groźną minę.

- Nie cierpię ich - oznajmił. - Znaczy się nie chciałem pana urazić, pan to co innego. Ja po prostu tak sobie myślę, profesorze, że jeden naukowiec drugiemu nierówny - Binger ponuro przedstawił swój pogląd.

- To są ci bardzo nierówni, panie Binger. - Słowa St. Ivesa zagłuszył łoskot dochodzący od strony drogi; to nadjechały oba powozy i skrzyły w bramę. St. Ives czym prędzej ruszył do obory, a za nim Binger, który wciąż spokojnie kopał fajkę. Jeden z jego synów wygarniał właśnie nieczystości z zagrody i Binger przywołał go do siebie.

- Skocz i przynieś widły - rozkazał. Za chłopakiem wypadł z zagrody Kudłaty, szczęśliwy, że znów widzi St. Ivesa.

Na wzmiankę o widłach profesor przystanął.

- Nie możemy stawiać oporu, panie Binger. Z nimi nie ma żartów...

Z zewnątrz dał się słyszeć jakiś gwar. To Parsons i Frost spierali się o coś między sobą. St. Ives miał ochotę posłuchać, o czym mówią, ale musiał się śpieszyć. Wspiął się więc do wnętrza batyskafu i zatrzasnął za sobą pokrywę włazu. Już usadowił się w fotelu i zajął się instrumentami, gdy nagle serce zabiło mu gwałtownie na widok rozgrywającej się za iluminatorem sceny.

Gdy Parsons i Frost zobaczyli zamykający się właz batyskafu, natychmiast zaprzestali kłótni i pośpieszyli w jego kierunku, a za nimi woźnica w liberii i jeszcze dwóch ludzi, którzy przyjechali z Parsonsem. Binger wskazał na nich palcem i widocznie coś nakazał Kudłatemu, bo w chwili, gdy sekretarz i jeden z jego ludzi wpadli do obory, pies skoczył pomiędzy nich i złapał starego za spodnie, wyrывая długi pas materiału. Parsons zachwiał się, a jego towarzysz odskoczył w bok i wymierzył psu potężnego klapsa.

W tym momencie syn Bingera wbił widły w ziemię tuż przed butem napastnika, który wpadł z rozpędu brodą na drewniany trzonek. Odbił się od niego oszołomiony, lecz nie zniechęciło go to i parł dalej w kierunku maszyny. Kudłaty pogonił za mężczyzną kłapiąc zębami przy jego łydce, aż w końcu udało mu się pochwycić go za nogawkę. Zaczął tarmosić ją na wszystkie strony.

Tymczasem Parsons pozbierał się i natarł znowu, a za nim Frost. Obaj, przepychając się wzajemnie, rzucili się w kierunku maszyny, chociaż zdawali sobie sprawę, że jest już za późno. Kudłaty puścił ofiarę i ruszył w ślad za naukowcami, warcząc i kłapiąc zębami, co zmuszało ich do przedziwnego tańca. Podskakując tak przed samym iluminatorem, usiłowali skłonić na migi St. Ivesa, aby wyszedł i próbował dojść z nimi do porozumienia.

Ale St. Ivesa w tym momencie otaczała już tylko ciemność. Słyszał znane mu dobrze brzęczenie. Wkrótce znów spadał, spadał, spadał, zostawiając daleko za sobą ten fragmencik historii, by może nigdy już doń nie powrócić. Cóż, baba z wozu, koniom lżej. Narbondo jakoś nie pasował do swojej nowej

roli. Wydawał się skrepowany i sztywny w stroju kaznodziei. A Parsons - cóż, Parsons to Parsons. Choćby się i po sto razy lądowało w różnych rejonach historii, Parsons zawsze wkroczy w nową scenerię ze swą nieodłączną, nigdy nie strzyżoną brodą.

Znów ciemność, ale teraz już innego rodzaju - ciemność nocy. Padał rześisty deszcz. St. Ives wziął się w garść. Poklepał się po kieszeni płaszcza, by poczuć chłodną wypukłość rewolweru. Sprawy zaszły już zbyt daleko, by roztkliwiać się nad czymkolwiek, ale co za ironia losu - pomyślał St. Ives: oto ma zabić człowieka, dla którego ocalenia jeszcze nie tak dawno zadał sobie tyle trudu. Zabije go bez względu na wszystko, jeśli będzie trzeba.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się wokół. Zacinał deszcz, ale nie przeszkodziło mu to stwierdzić z przerażeniem, że znajduje się na niewłaściwej ulicy. Zorientował się natychmiast; zbyt wiele razy widział we śnie ten ciąg sklepów i tanich hotelików, by mógł się teraz mylić. To, co widział, było mu zupełnie obce. Zamieszanie u Bingera zmusiło go do pośpiechu i źle ustawił parametry. Ale gdzie tkwił błąd? Ogarnęła go panika. W końcu pobiegł przed siebie, rozchlapując spływającą ulicą wodę i nasłuchując pilnie odgłosów nocy. Nagle przez głowę przebiegła mu niepokojąca myśl, że to może być coś więcej, niż drobny błąd w obliczeniach. Mogło przecież się zdarzyć, że coś - a może nawet wszystko - uległo do tego czasu całkowitej zmianie. Szukał tej samej ulicy, ale co teraz mogło kryć się pod określeniem „ta sama”? Zwolnił, zatrzymał się i stał w miejscu, obojętny na spadające kaskady wody.

Zupełnie niespodziewanie usłyszał nadjeżdżający powóz, potem strzał pistoletu. Oddychając ciężko, ocierając zalane deszczem oczy, pobiegł w kierunku, skąd dochodził hałas. Kolejny strzał, a po nim krzyk. Wreszcie przez szum ulewy dobiegł uszu profesora odgłos walącego się na bruk kabrioletu. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak St. Ives z przeszłości zbliża się coraz bardziej, lecz nie może się zdecydować, aby wystrzelić - aż do czasu, kiedy jest już za późno...

Z gotowym do strzału pistoletem w dłoni pokonał ostatni zakręt i omal nie wpadł wprost na Narbonda, pochylonego nad Alicją, przywaloną wywróconym kabrioletem. Doktor trzymał broń wymierzoną w jej głowę i wpatrywał się w zalaną deszczem ulicę, gdzie powinien się teraz znajdować Langdon St. Ives. Hasbro i Kraken również obserwowali ulicę, ale nie widzieli nic prócz pustego powozu. Tylko St. Ives wiedział, dlaczego tak jest, ale nie myślał o tym, tylko wziął szeroki zamach, by zdzielić Narbonda kolbą pistoletu w głowę.

Jednak ręka mu się obsunęła i zdołał tylko mocno uderzyć doktora pięścią. Głowa Narbonda opadła gwałtownie i naukowiec z rozpostartymi ramionami potoczył się po ziemi, daleko od Alicji, wciąż trzymając w ręku pistolet. Z trudem podniósł się na jedno kolano, popatrzył z wściekłością na St.

Ivesa i nagle, bez zastanowienia wycelował i wystrzelił. Nie trafił jednak, bo profesor już szarżował w jego kierunku. Energia, strach i nienawiść dławione przez lata sprawiły, że St. Ives nacierał nie bacząc na nic. Narbondo zatoczył się do tyłu lądując w wodzie, ale zanim jeszcze dobrze stanął na nogi, rzucił się do ucieczki. St. Ives zrównał się z nim w trzech susach. Był zbyt wzburzony, żeby strzelać, więc chwycił Narbonda za płaszcz i jeszcze raz zamierzył się kolbą - tym razem trafił tuż za uchem, aż głowa doktora odskoczyła w bok. Narbondo jednak zdołał unieść pistolet i wystrzelić na oślep w powietrze. St. Ives znów zadał cios, wciąż ściskając kurczowo ubranie doktora; ten osunął się na kolana i wypuścił wreszcie broń z ręki. Gdy St. Ives podniósł rękę do następnego ciosu, ktoś chwycił go za nadgarstek, więc obrócił się gwałtownie, gotów uderzyć. Był to jednak Hasbro. Wyraz jego twarzy sprawił, że St. Ives upuścił rewolwer do wody.

- Zastrzelił ją - wymamrotał profesor. - To znaczy, chciałem powiedzieć... - Nie mógł mówić dalej, w głowie mu się mąciło. Był śmiertelnie zmęczony i oszołomiony; przypominał mu się mały chłopiec, który dostał uzdrawiający bulion tam, w Limehouse. Obejrzał się. Alicja... Narbondo nie zastrzelił jej - oczywiście, że nie. Kraken pochylił się, by unieść kabinę kabrioletu i uwolnić Alicję z więzów. Kiedy profesor podchodził do nich, odżyły w jego pamięci od dawna tłumione wspomnienia.

Deszcz ulitował się i zelżał nieco; nawet księżyc zabłysnął zza chmur, oświetlając ulicę.

- To była niezła sztuczka - pochwalił entuzjastycznie Kraken, podnosząc się, by ustąpić miejsca St. Ivesowi. - Mógłbym przysiąc, że był pan w powozie. Sam widziałem, jak pan z niego wysiadał. I nagle ciach - pan znika. I ciach - zjawia się znowu, by zdzielić w łeb tego drania. - Kraken patrzył na profesora z nie ukrywaną dumą. St. Ives ukląkł przy Alicji starając się zbadać puls; wciąż obawiał się, że mimo wszystko przybył za późno. Wywrocona dorożka mogła przecież...

Nagle Alicja otworzyła oczy, sięgnęła ręką do karku i skrzywiła się z bólu, ale uśmiechnęła się, jak tylko ujrzała St. Ivesa.

- Nic mi nie jest - oznajmiła, próbując usiąść. Kraken krzyknął z radości, a Hasbro, który skończył odciągać Narbonda na pobocze, pomógł podnieść się Alicji i St. Ivesowi. Zaprowadził ich pod okap pobliskiego domu, by nie mokli na deszczu.

- Zwiąż czymś doktora - polecił St. Ives Krakenowi, który najwyraźniej nie był tym pomysłem zachwycony.

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość - powiedział, biorąc profesora na stronę - ale czy nie powinniśmy z nim skończyć? Uważam, że tak by się należało, biorąc pod uwagę, co z niego za człowiek. Przecież pan zdaje sobie sprawę, że gotów był ją zastrzelić. Dla takich jak on życie ludzkie nie ma



żadnej wartości. Jedno słowo, a załatwię to szybko i dyskretnie.

St. Ives zawahał się, lecz w końcu pokręcił głową.

- Nie zgadzam się. Zbyt wiele ma jeszcze do zrobienia. Tak jak my wszyscy. Bóg jeden wie, jak wyglądałby ten świat, gdyby każdy nie odgrywał do końca swojej roli - bohatera, łotra, widza, klauna... Myślę, że jest już na to za późno - powiedział bardziej do siebie niż do Krakena. - Mogłoby to całkiem zmienić scenariusz. Więc bądź łaskaw związać go. Spędzi trochę czasu w Newgate, zanim stamtąd ucieknie.

Kraken przytaknął, ale tak naprawdę robił wrażenie człowieka zbitego z tropu, który nie bardzo wie, o co chodzi. St. Ives zostawił go z tym problemem i odwrócił się do Alicji. Westchnął z ulgą, widząc, że nic jej już nie grozi. Boże, dzięki ci za to.

- Muszę iść - oznajmił.

- Co takiego? - Alicja spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Dlaczego nie chcesz wziąć mnie ze sobą? Chodźmy stąd wszyscy. Im prędzej, tym lepiej.

St. Ives w porywie namiętności przytulił Alicję i pocałował w usta; odwzajemniła pocałunek z nie mniejszą pasją. Hasbro dyskretnie zakasłał i podszedł do Krakena, który wiązał doktora lejcami z rozbitej dorożki.

Może jednak powinienem zostać? - zawahał się St. Ives. Dlaczego nie? Przecież St. Ives z przeszłości - teraz tylko duch, nic więcej - nie będzie mądrzejszy od niego. I tak już go nie ma, rozplynął się we mgle zapomnianego czasu. Dlaczego nie zacząć od nowa już teraz? Wynajęliby pokój w West End i spędzili tam coś w rodzaju wakacji - nic, tylko jedzenie, teatr i leniuchowanie przez cały dzień. Poczł się jak Atlas, który wreszcie zrzucił z ramion kulę ziemską. Jego nieszczęście okazało się tylko długim, nocnym koszmarem.

Alicja jednak wyglądała na zaniepokojoną.

- Wyglądasz... nieszczęśliwie - powiedziała, wpatrując się w niego, jakby przeczuwała, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafiła tego wyrazić. St. Ives wiedział jednak, co miała na myśli. Chciała mu dać do zrozumienia, że bardzo się postarzał, że wygląda na wyczerpanego, że ogromnie zmizerniał, ale powstrzymała się, nie chcąc zranić jego uczuć.

- Co się stało? - zapytała tylko i serce St. Ivesa stopniało jak wosk.

Rozejrzał się wokół. Gdzieś tu, na ulicy, leży w wodzie i błocie niewidzialny on z przeszłości. Ty głupcze - pomyślał - to moja zasługa, ale muszę zrezygnować z niej na twoją korzyść. Ty sam obróciłbyś to wszystko wniwecz.

Myślał o tym z żalem, ale zdawał sobie sprawę z faktu, że nie jest już tym samym człowiekiem, jakim był wówczas. Ten duch leżący na drodze był pod wieloma względami lepszy od niego. Alicja nie zasłużyła na imitację - potrzebowała oryginału. Może i on kiedyś stanie się oryginalnym St. Ivesem,

ale na pewno nie wtedy, kiedy pozostanie tutaj. Musi wracać do domu, do przyszłości, by na powrót stać się sobą, dogonić czas.

- Nie będzie mnie tylko przez krótką chwilę - wyjaśnił, zerkając w kierunku, gdzie zostawił maszynę - a kiedy pojawię się znowu, to przez pewien czas mogę być nieco... zagubiony. Ale to minie. Kiedy mnie znowu zobaczysz, powiedz mi, że jestem strasznym głupcem, a od razu poczuję się pewniej.

- O czym ty na litość boską mówisz? - nie wytrzymała Alicja. Patrzyła na niego z przerażeniem, jakby obawiała się, że postradał zmysły. Już chciał jej wszystko wytłumaczyć, ale było to ponad jego siły. Teraz, gdy zdecydował się już odejść, czuł, że przyszłość go wzywa, a najkrótsza do niej droga wiodła przez środek najbliższej przecznicy.

- Zaufaj mi - błagał. - Nie będzie mnie tylko przez moment.

Pocałował ją raz jeszcze, odszedł spod domu, po czym, nie oglądając się już więcej, pobiegł ulicą z sercem pełnym szczęścia i żalu.

## Epilog

Wylądował na łące, nie wiedząc zupełnie, czego może się spodziewać. Trudno było przewidzieć, co jest czym w tej nowej rzeczywistości. Może Parsons wyłoni się zza krzaków i zażąda zwrotu maszyny? Może Narbondo, czy Frost, czy jak on się teraz nazywa, będzie groził mu rewolwerem? Wszystko może się zdarzyć, ale on już nie miał siły się tym przejmować. Mogą sobie wziąć tę maszynę; nie potrzebuje jej już więcej. Wykonał swoje zadanie i teraz gotów był czekać co z tego wyniknie. Zamierzał skończyć z błąkaniem się w czasie. Przynajmniej na razie.

Nie mógł tylko się zdobyć, by stanąć oko w oko z samym sobą. Istniały teraz dwie kopie St. Ivesa i chciał tej drugiej dać szansę odejścia w sposób godny i, co najważniejsze, dyskretny. Jakim był teraz człowiekiem? Gdyby był szczęśliwy, to nie zachwyciłoby go pojawienie się w drzwiach sobowtóra, gotowego go zastąpić. Ale równie dobrze może okazać się człowiekiem przegranym, który z ulgą przekaże ster i zniknie na zawsze.

Przesuwały mu się przed oczami bezładne fragmenty wspomnień. Nawiedzające go koszmary - sceny z Seven Dials, jego powrót do tego miejsca, jego trudne do wytrzymania, poplątane życie na przestrzeni tych trzech lat - wszystko to wkrótce po prostu się ulotni. Mówi się trudno...

Będzie cieszył się nowymi wspomnieniami, obojętnie jakie będą. Zdał sobie jednak sprawę, że oszukuje sam siebie. Po raz ostatni pomyślał o Narbondo jako o małym chłopcu, wtulonym w brudne szmaty na poddaszu w Limehouse, o jego matce i stojącym w drzwiach marynarzu. Bywały wspomnienia gorsze niż jego własne. Czyż nie dlatego właśnie wciąż siedzi wewnątrz maszyny? Nie miał pojęcia, kogo zastanie w swoim domu - kim okaże się teraz profesor St. Ives.

Wychylił się z włazu. Dzień był piękny, słoneczny i tylko chłodny jesienny wiatr dawał się we znaki. Obciągnął płaszcz, poprawił krawat, ale i tak zdawał sobie sprawę, że wygląda jak bryła błota. Czuł się jednak, o dziwo, pokrzepiony, jakby pozbył się wielkiego ciężaru.

Nagle jego pamięć zmaćla myśl, że nie będzie już w stanie wziąć do ust bakłażana. O, nie. Zakręciło mu się w głowie i omal nie upadł. Bakłażan? Zaczęło się. Odłamki jego pamięci rozsypią się jak stłuczone lustro. Zaniepokojony, wszedł do gabinetu przez oszklone drzwi, gdzie zastał Hasbro, który wpatrywał się w niego dość dziwnie.

- Będziemy musieli wprowadzić maszynę do silosa - zwrócił się do

niego St. Ives. - Nie byłem pewien, czy jest pusty.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, sir.

- Maszyna. Tam, na łące - próbował wyjaśnić profesor. - Powinniśmy przenieść ją do silosa, żeby nie stała pod gołym niebem.

- Bardzo przepraszam, sir. Nie miałem pojęcia, że doktor Frost ją zwrócił. To ci dopiero... Byłem przekonany, że wykradł ją sekretarzowi Parsonsowi. A więc przyprowadził ją tutaj?

- Wykradł? - St. Ivesowi zakręciło się w głowie. Jego pamięć o mało nie eksplodowała. Z całych sił starał się ją zatrzymać, nie pozwolić, by jej fragmenty oderwały się i uleciały w nicłość. - Ależ oczywiście - powiedział. - Dla mnie to także wielka niespodzianka, ale przecież stoi o, tam - wskazał ręką za okno, gdzie maszyna połyskiwała w słońcu.

A więc Narbondo ją sobie przywłaszczył. To ci dopiero gratka! Jak wspaniale się to złożyło! Skoro on sam, St. Ives, właśnie nią przybył, oznaczało to, że będąca w posiadaniu doktora kopia maszyny musiała zniknąć mu przed nosa i zostawić go, bezradnego, gdzieś daleko stąd, na co St. Ives bardzo liczył. Istniała jeszcze możliwość, że ten łotr błąka się teraz w czasie i pewnego dnia może powróci, a wtedy maszyna St. Ivesa będzie musiała zniknąć. Czas i sposobność... - powtórzył w myślach.

I wtedy nowe wspomnienia, jak duchy zmarłych, nawiedziły jego umysł, wypierając stare.

- Alicja! Czy jest tutaj Alicja? - zawołał niepotrzebnie głośno.

- Wciąż jest w saloniku, sir - oświadczył Hasbro z widoczną konsternacją - tam, gdzie ją pan zostawił. A przy okazji... ośmielam się odradzić panu ten strój. Krawiec chyba zwariował. Może jednak przygotowuje coś bardziej odpowiedniego...

- O, tak - odrzekł St. Ives, wychodząc pośpiesznie z gabinetu - poszukaj czegoś.

Czuł się nieswój, odurzony wspomnieniami, pijany nimi. I jak człowiek naprawdę pijany, czuł się wolny od przygnębiającego poczucia winy i od zmartwień, które przedtem mu towarzyszyły. Wolny? Na jak długo? I dlaczego? Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć. Zdawało mu się, że to wszystko było bardzo dawno temu. Jego umysł był teraz mozaiką przenikających się nawzajem obrazów, będących własnością człowieka, którego duch był gdzieś... gdzie? Może wiatr go unosił nad łąką... A może zostanie tutaj, by nawiedzać dwór, szukając zadośćuczynienia za to, że St. Ives wrócił z innego wymiaru, by zająć jego miejsce.

Z kuchni wyłoniła się pani Langley z rękami białymi od mąki.

- Poszedłem za pani radą, pani Langley - oznajmił profesor.

- Proszę mi wybaczyć sir... za jaką radą?

- Ja... - zawahał się. Rzeczywiście, za jaką radą? Nie miał już pojęcia.

Rozluźnił przyciasny kołnierzyk koszuli. - To nic - powiedział - zapomnijmy o tym. Po prostu głośno myślałem. Niewiasta skinęła głową zdumiona, a on stanowczym krokiem skierował się do saloniku. Opanuj się, trzymaj język za zębami - strofował sam siebie. O zbyt wielu sprawach nie masz zielonego pojęcia, a z kolei to, co wiesz, na nic ci się nie przyda.

Zobaczył Alicję - czytała książkę. Z radością i zdumieniem stwierdził, że nie postarzała się ani o jeden dzień; jej widok przywołał znowu falę wspomnień. Nie mógł utrzymać się na nogach, więc opadł gwałtownie na krzesło. Chyba powinien był odczekać trochę, uporządkować swoją pamięć, zanim wtargnął tutaj tak nagle. Ale nie zrobił tego i teraz, kiedy tak patrzył na Alicję, na jej ciemne włosy przewiązane wstążką, cieszył się, że nie stracił ani chwili.

- Przykro mi z powodu bakłażana - powiedziała Alicja, podnosząc głowę znad książki. Wyglądała na niemile zaskoczona, a on uśmiechnął się do niej szeroko, jakby był pijany. - Ten twój okropny strój - zauważyła. - Wyglądasz jak strach na wróble. Chyba gdzieś już widziałam coś takiego...

- Akurat zamierzałem to spalić - pośpieszył z wyjaśnieniem St. Ives. - To taka pamiętka. Z przyszłości. Coś w rodzaju... kostiumu.

- Rozumiem - odparła żona. - Jednak spodnie wyglądałyby znacznie lepiej, gdybyś nie brodził w nich w rzece. Ale naprawdę jest mi przykro z powodu bakłażana. Nie miałam zamiaru zmuszać cię, byś jadł to co wieczór, ale kucharz Janet, Pierre, bez wątpienia szykuje to dzisiaj specjalnie dla nas. Czy będziesz gotowy do wyjścia za pół godziny? Dopiero co wyglądałeś tak dobrze.

- Bakłażan? Janet? - St. Ives zaczął tropić te słowa w swojej pamięci. Wtedy ujrzał przez okno saloniku ogród Alicji, skopany w równe grządki. Fioletowozielone bakłażany zwisały jak małe baloniki z pół tuzina krzaków.

- Och, tak. Janet - powiedział kiwając energicznie głową. - Ta z Koła Miłośniczek Literatury.

- Co się z tobą na litość boską dzieje? Oczywiście, że ta Janet, chyba że ukrywasz przede mną jakąś inną. I nie chcę już więcej słyszeć o tych bakłażanach, zgoda?

St. Ives nagle poczuł smak tego świństwa. Jadł to nie dalej jak wczorajszego wieczora, z mieloną baraniną. Także dzień wcześniej, uduszone z dodatkiem przypraw z Bliskiego Wschodu. Czyżby był na czymś w rodzaju bakłażanowej diety, niewolnikiem warzywnego ogródka?

- Chyba przydałaby ci się kąpiel. Przynajmniej obmyj ręce i twarz. A twoje włosy wyglądają, jakby przez trzy dni nie widziały grzebienia. Co się w ogóle z tobą dzieje?

- Ja... stary Ben - zaczął. - Błoto. Aż po uszy.

Wtem, z odległego zakątka domu, dobiegło uszu St. Ivesa przejmujące

zawodzenie, jak skarga upiora. Płacz przybierał na sile, by przerodzić się w wycie okrętowej syreny. St. Ives zerwał się na nogi i spojrzał pytająco na Alicję.

- Co...?

- Spokojnie, bywało gorzej - powiedziała Alicja, omal nie wybuchając śmiechem. - Patrzcie go! Myślałby kto, że nigdy nie zmieniałeś mu pieluszek. Nie powinny być o wiele brudniejsze niż twoje spodnie.

Płacz dziecka wywołał u St. Ivesa lawinę zupełnie nowych wspomnień. Mały Eddie, jego syn. Profesor uśmiechnął się. Moja kolej, żeby go przewinąć - spodobała mu się ta myśl. Ustalili wszakże z Alicją, że nie zatrudnią niańki, że będą wychowywać dziecko sami, karmiąc je tym, co ofiaruje ich własny ogród. Eddie również nie będzie chciał wziąć bakłażana do ust. St. Ives był tego pewien.

- Mój kochany Eddie - wyrwało mu się.

- Nareszcie właściwe podejście - stwierdziła Alicja.

W tym pomieszaniu dawnego z nowym St. Ivesowi po raz ostatni było dane ujrzeć wszystko na raz. Nie bał się już przyszłości. Alicja była bezpieczna. Mieli syna. Ogród kwitł jak dawniej. Byli teraz szczęśliwi. On sam szalał z radości. Zdał sobie sprawę, że nie postrzega już świata przez pryzmat własnych wcieleń z przyszłości i przeszłości - nie miały one dla niego żadnego znaczenia.

Był tylko on, Alicja, mały Eddie i... długie, długie grządki bakłażanów. Miał ochotę zagwizdać z radości, ale niemowlę znów zapłakało donośnie i Alicja dała znak mężowi, by temu zaradził.

- Zmieniłem zdanie - oznajmił St. Ives, kierując się w stronę schodów. - Uwielbiam bakłażany - dodał; nie był daleki od prawdy.